

# Lisa St Aubin de Terán



NOKTURN

A L F A

Lisa St Aubin de Teràn

# NOKTURN



Przełożył Łukasz Nicpan

Wydawnictwo ALFA  
Warszawa 1995



# Spis Treści



I. Alessandro .....	11
II. Stefano .....	49
III. Wieś .....	77
IV. Wypadek .....	137
V. Valentina .....	223

# I

## ALESSANDRO

### 1

Jednym z pragnień chłopców w wiosce Alessandra było dorosięcie do wieku, kiedy będą mogli wreszcie pójść do cyrku. Cyrk nie zajeżdżał do ich wioski — gdyby ją odwiedzał, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej — zatrzymywał się na cudzych gruntach, na obcym terytorium oddalonej o trzy kilometry wsi San Severino, za ugrzęzłą w nadrzecznych błotach starą komorą celną. Zjawiał się na początku czerwca, z regularnością *festy* ku czci Madonny del Campo. Alessandro co roku obserwował przybycie i odjazd ciągniętej przez woły karawany, procesję koni, bud, furmanek i klatek. Rozchybotane budy przetaczały się z turkotem po wyboistej drodze, gubiąc łuski spłowiałej farby i płatki rdzy.

„Jak nie będziesz grzeczny, wujek sprzeda cię do cyrku”, groziły matki we wsi swym nieposłusznym pociechom. Opowiadano, że właściciel cyrku skupuje dzieci; wszyscy wiedzieli, że wystawia na pokaz ludzkie dziwolągi, jednak nie słyszano jakoś, żeby wiódł ze sobą czeredę dziatwy. Dla Alessandra było oczywiste, że to sprawa czarów, które potrafią zwykle dziecko zmienić w słynną kobietę-pajaka.

Przed przybyciem cyrku, po jego odjeździe i w czasie postoju snuto nie kończące się domysły. Czy poczwary mocą czarów przeistaczają się nocami w normalnych ludzi? Czy chudy, wyliniały wielbłąd to prawdziwe zwierzę, czy ofiara zaklęcia? Przycupnąwszy na wiszącej nad drogą skale, wciśnięci między krzaki głogu i żarnowca, Alessandro i jego koledzy obserwowali rozkołysaną karawanę ciągnącego powoli do San Severino wędrownego lunaparku. Do środka bud przez okienka i do wnętrza klatek nie dawało się zapuścić wzroku. Te ostatnie były okryte związanymi sznurkiem przed wiatrem i deszczem, pasiastymi zblakłymi od słońca pokrowcami, które niegdyś służyły zapewne jako markizy. Na każdej z tych obandażowanych klatek chwiała się rzeźbiona prymitywnie drewniana tablica, informująca, jaki to dziwotwór wewnątrz siedzi.

A więc *Nando il Nano*, najmniejszy karzeł świata. A więc grubaska, tak ponoć olbrzymia, że nigdy nie opuszczała wozu wyposażonego z jednego boku w specjalną kratę, przez którą się pokazywała. Opowiadano, że siedzi na spływających jedna na drugą fałdach tłuszczu, podobna do rosnącego ciasta, o którym zapomniano i wylało się z dzieży. Opowiadano, że worki pod oczami spadają jej na poliki jak obwisłe cyce, a ramiona sterczą z korpusu niczym dwa grube uda. Niektórzy z dorosłych mieszkańców wioski snuli na jej temat nieprzystojne fantazje. Alessandro nie podzielał ich zachwyty nad grubaską ani jej koleżanką, kobietą z brodą. Jakby nie było, jego rodzinna wioska mogła się pochwalić signorą Eleną, która miała wyraźnie widoczne wąsy oraz coś, co – regularnie golone – mogło się z łatwością rozwinąć w bujną brodę. Signora Elena uczyła w szkole, a choć Alessandro opuścił jej progi w wieku lat dwunastu, brzydota nauczycielki wciąż przyćmiewała mu w pamięci jej okrucieństwo. Wydawało się niemądre płacić za oglądanie signory Eleny jak w fotoplastikonie. Marco, jego najstarszy brat, opowiadał mu, że brodata kobieta

z cyrku ma brodę jak ich stryj Bernardo: rośnie jej kłakami na podbródku, wyrasta z uszu i zwisa jak bokobrody. Twierdził, że oglądał również jej plecy i utrzymywał, że one także są porośnięte włosami, przypominającymi spaloną latem trawę.

Pierwsze miejsce na liście dziwów, jakie Alessandro pragnąłby zobaczyć, kiedy będzie mógł wreszcie pójść do cyrku, zajmowali karzeł, kobieta-pająk, siłacz oraz wielbłąd. Drugie — ruchome domy ze snującymi się za nimi wstążkami dymu i ciągnące je zmęczone perszerony. Najmniej ciekawiły Alessandra małpy, przejmując go jednocześnie okropnym lękiem. Każdego roku przyglądał się z daleka, jak trzymają się łąków hiszpańskich siodła właściciela cyrku, jego rodziny i reszty trupy. Przebrani za kowbojów, Indian, cygańskie tancerki i promieniste gwiazdy, cyrkowcy przeciągali rokrocznie przez wieś w tumanach kurzu wzbijanych kołami zaprzężonych w woły bud, przewożąc na nowe miejsce rozłożoną na części karuzelę. Zdawali sobie sprawę, że przy pięciu lirach dniówki nie stać wieśniaków na trwonienie pieniędzy w wesołym miasteczku. Uiszczenie opłaty za wejście oznaczało dla nich decyzję niełatwą, toteż egzotyczna kawalkada miała do spełnienia niebagatelną rolę: uświadamiała wahającym się, ile stracą, resztę zaś kusila obietnicami zakazanych uciech.

Alessandro nie wiedział, ile małp wiodła ze sobą cyrkowa trupa, ale gdy przeciągała przez wieś, trzy z nich biegały zawsze luzem. Drapiąc się skakały po wypukłych dachach bud, piszczały i pomstowały w niezrozumiałym języku na gorącą blachę, która je parzyła w pomarszczone łapy. Machały do gapiów, wydawały świdrujące w uszach okrzyki, wywijały koziołki i wybuchały śmiechem. Kiwały na widzów małymi paluszkami i obrzucały ich błagalnymi spojrzeniami smutnych, wylupiastych oczu. Przypominały Alessandrowi konające dzieci. Wyglądały jak jego pomarszczony braci-

szek umierający na błonicę, gdy zaciskał pięstki i spazmatycznymi haustami chwycił powietrze.

Alessandro był wtedy dużo młodszy, chodził jeszcze do szkoły. Któregoś ranka, wstąpiwszy do spiżarki za kuchnią, gdzie jego matka przechodziła swoistą kwarantannę, przystanął nad drewnianą kołyską. Spiżarka nie miała okien. Panowała tam taka ciemność, że w pierwszej chwili nawet nie zauważył, że matki tam nie ma. Musiała wyjść za potrzebą. Chore dziecko leżało samo. Umierający braciszek Alessandra był prawie tak duży jak kołyska, w której spoczywał. Stopami dotykał szorstkiej deski z orzechowego drewna. Twarzyczkę miał bladą, napływały na nią jednak plamy we wszystkich kolorach, nawet czarne jak jeżyny. Nim zachorował, bawili się razem, Alessandro uczył malca chodzić. Zmętniałe oczy w kołysce rozjaśniły się i zabłyśły, rozpoznały starszego brata. Wyciągnęły się do niego pomarszczone rączki. Chwyciły go za rękaw i pociągnęły z siłą znacznie przewyższającą jego siłę. Oczy chorego dziecka patrzyły z błagalną rozpaczą, jego palce zacisnęły się, charczący oddech przedzierał się ze świstem przez zaciśniętą krtani.

Przebąkiwano o zabraniu malca do izby chorych w Castello, ale jego rodzice nie chcieli się na to zgodzić; poza opłotkami ich wsi czały się same zagrożenia. Dziecko miało wyzdrowieć lub umrzeć pod okiem księdza, akuszerki oraz innych bab, i albo żyć wśród swoich na kamienistej ziemi, albo spocząć na cmentarzu za wsią.

Alessandro wyszarpnął rękaw z pięstek dziecka o poczerniałej twarzy i uciekł, ale jeszcze długo po śmierci zmarły brat prześladował go w snach, goniąc za nim z wyciągniętymi rączkami, żeby go ściągnąć do swojego podziemnego świata, gdzie nie było czym oddychać. Małpy wygrające słońcu pięściami z łatanych dachów cyrkowych bud napawały go podobną trwogą.

Dorośli mieszkańcy wsi z upodobaniem fantazjowali na

temat cyrku; zebrani w grupki, podniecali się wzajemnie rozważaniami o erotycznych możliwościach cyrkowej trupy. Chłopcy wdawali się w bójki mające rozstrzygnąć, czy chodzi w istocie o cyrk, czy o lunapark. Starsi mówili na to „cyrk”, ale na afiszach i plakatach stało jak wół: „lunapark”. Słowo to było również wymalowane na bokach wozów i na uzdach koni.

— To jest cyrk, bo masz w nim zwierzęta i pokazy dziwolągów. Mój tata mówi, że jak są zwierzęta, to jest cyrk.

— Signora Elena mówiła, że cyrk musi mieć namiot i konrewansjera na arenie.

— Ona to faktycznie powinna wiedzieć, bo już ćwiczy, żeby się przyłączyć! A Maestro Rossi to nie konrewansjer? I po co ci namiot, ty głupi?

Alessandro czasem wdawał się w te bójki, czasem od nich stronił. Większość jego rówieśników, podobnie jak on, nigdy jeszcze nie była w cyrku. Po jedenaście godzin dziennie pracowali w polu, do tego dochodziły obowiązki w domu, więc niełatwo im było się wyrwać. Ci, którzy się na to zdobyli, dostawali po powrocie lanie od rodziców, za to później chodzili w chwale bohaterów. Alessandro nie bał się ojcowskiego lania; dostatecznie często je obrywał. Zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby wymknął się do cyrku, srożej od niego ucierpiałyby z tego powodu matka i siostra, a już i tak trudno mu było patrzeć na matczyne łzy, nawet jeśli sam się do nich nie przyczynił. Jego ojciec, człowiek surowy, kierował się w życiu niezłomnymi zasadami. Rodzinę trzymał krótko, bezwzględniej jeszcze niż jego sąsiedzi. Synów zmuszał do cięższej pracy i większego posłuchu niż inni ojcowie. Był tak dumny, że aż duma go czasem dławiała. Miał nieraz ochotę złagodnieć, ale jego duma nakazywała mu trwać przy zasadach, niezupełnie zresztą własnych. Załamał się dopiero latem 1934 roku, kiedy Alessandro przestał chodzić do szkoły. Wszystkie nadzieje stracił



wraz z plonami na dzierzawionym polu, po czym wycofał się za barykadę milczenia i długów. W końcu z pomocą synów wydobył się z biedy, ale psychicznie nigdy się już nie pozbierał. W ciągu kilku miesięcy zmienił się w starca. Włosy mu posiwiały, a proste dotąd plecy przygarbiły się.

Zanim Alessandro osiągnął czternasty rok życia, władza w jego rodzinnym domu przeszła w ręce matki, która przez dwadzieścia pięć lat żyła w kornym posłuszeństwie; przez ostatnie dwa czekała cierpliwie na swoją chwilę. Urodziła ośmioro dzieci i patrzyła z niemym bólem, jak czworo z nich wynoszono z ich zagraconej kuchni na cmentarz. Nie winiła męża o utratę dzieci; wiedziała, że i on po nich rozpacział. Obwiniła go jednak o to, że nie zechciał dzielić z nią żalu po ich śmierci, podobnie jak nie dzielił życia. Żył z nią jak człowiek obcy. Mężczyzna, którego znała i za którego wyszła, krył się gdzieś stłamszony pod chmurną, posępną powłoką. Czuła, że (troski nie są wystarczającym usprawiedliwieniem zgorzknienia — ostatecznie życie nikogo nie pieści.); Mieszkali na terenach porysowanych i pościętych delikatną siateczką zgryzot. Ich życie przypominało kobiecą nogę poznaną siateczką popękanych żyłek.

Mimo to człowiek powinien się życiem cieszyć. Pragnęła, aby jej synowie to zrozumieli. Chciała, żeby zrozumięła to jej córka, choć zdawała sobie sprawę, że dla kobiety jest to zalecenie praktycznie nieziszczalne. Dziewczynki po skończeniu ósmego roku życia wychowywano na kury domowe. Jedynym posagiem jej córki miała być garść miłych wspomnień z wczesnego dzieciństwa. Matka zawiązała z ocalałymi dziećmi tajne sprzysiężenie przeciwko mężowi. Pomagała im podkopywać jego tyrańską władzę i kryła występki, chcąc ustrzec potomstwo przed ojcowskim gniewem.

Rzadko skarżyła się na swoje małżeństwo, w odróżnieniu od sąsiadek, które wciąż narzekały i lamentowały. „Nie zmienisz wołu w muła”, mawiała. Jej mąż, Secondo, był

człowiekiem na swój sposób dobrym. Ciężko pracował, a wino pijał tylko do posiłków. Nigdy nie przychodził do domu pijany i nie bił żony do nieprzytomności, jak na przykład mąż Grazielly. Secondo ważył swoje uderzenia. Nie oddawał się grom hazardowym i przestrzegał kościelnych obrządków, co niedziela chodząc ze starymi babami na mszę. Kiedy był zmęczony, przygnębiony lub gdy wpadał w złość, winą za to obarczał żonę oraz dzieci i wymierzał im karę. Dni w winnicach i na polach wlokły się bez końca, toteż często wracał do domu jak zranione zwierzę, któremu tylko ślepy instynkt wskazuje drogę do nory.

Czasami, kiedy w letnie poranki leżał przed wyjściem do roboty na szerokim żelaznym łóżku, słuchając śpiewu polatujących nad polami skowronków, nawiedzały go wspomnienia. Przypominał sobie, jak to w chłopięcych latach, spędzonych wśród lasów na stokach Zeno Poggio, wykraadał o świcie jajeczka z ptasich gniazd. Gdzie się nie ruszył, ciągnął za nim orszak młodszych braci i sióstr, błagających go, by im pokazał, jak ich szukać. Jego ulubienicą była Esmeralda, o gęstej czuprynie utkanej cierniami kolcolistu i jeżyn. Włóczyła się za nim jak cień, żywy, pełen podziwu cień, który obrał go sobie za bóstwo. W końcu ta adoracja zaczęła mu ciążyć, choć nie umiałby powiedzieć, kiedy ani dlaczego się to stało. Na początku wzbudzała w nim uczucie przyjemnego ciepła, lecz potem to co słodkie skwaśniało, a rozmiłowane oczy jego siostrzyczki zgasły i zapalał się w nich tylko od czasu do czasu błysk zdrady i zawodu.

Przypominał sobie również odurzający zapach kwiatów żarnowca w maju i upajającą woń żony, Agostiny, wyciągniętej pod złocistymi płatkami, zmęczonej po porannym pieleniu pszenicy, lecz skwapliwie odwzajemniającej jego ukradkowe pocałunki. Przez wszystkie lata małżeństwa dzieci poczynali w maju, zawsze w maju, toteż rodziły się na przedwiośniu i akuszerkę trzeba było wyciągać z domu

w słońce albo w mróz. Jak to się stało, że jego smukła chętna Agostina zmieniła się w to kluchowate niechętnie cielsko, leżące teraz u jego boku? Gdzie te wieczory, kiedy spieszył do domu z pola, by się pobawić z Markiem i maleńkim Eliem i omawiać z nią plany na przyszłość, gdy na kamiennym płycie smażyła na kolację ciacie? Skąd to ciężkie milczenie, które teraz zalegało w ich domu?

Po śmierci Alvara, ich pierworodnego, Secondo poczuł, jak ścisnęło mu się w piersi serce. Kiedy niósł go w trumnie na *camposanto*, rozpacz uwięzła w nim jak w pułapce i jego serce już nigdy nie odzyskało poprzedniej elastyczności. Jak gdyby odrobina beztroski, jaką ocalił z dzieciństwa poddanego rygorom surowego wychowania, została pogrzebana w tej białej skrzyneczce razem z jego synem. Zastanawiał się nieraz, czy nie mógłby jej stamtąd wydobyć lub w jakiś inny sposób nappełnić światłem dom, który przypominał mu jego fajkę, ów przedmiot, który nappełniał tytoniem dla przyjemności, a potem ubijał i przypalał. Była już gorzka, mimo to nadal ją ssał, nie bacząc na gryzący dym i kwaśny smak popiołu w ustach. Dzieci Seconda oddalały się od niego coraz bardziej, jak gałązki odrastające od pnia oliwki. Okoliczności zwarzyły mrozem jego soki; młode pędy brały nad nim górę.

Pewnego wieczoru na początku czerwca, gdy najpiękniejsze kwiaty żarnowca już spłwowały na pobliskich wzgórzach, ale jeszcze nie wyroiły się świetliki, Secondo siedział i wpatrywał się zamyślony w gryzący dym niskiego ognia pod kuchnią. Było ciepło, o wiele za ciepło na rozpalenie ognia, ale trzeba było na czymś ugotować kolację, a pieniędzy na naftę nie mieli. Obserwował spoconą Agostinę lepiącą w palcach ciasto na kluski. Uśmiechała się do siebie. Z daleka, przeciskając się przez tętniące gwarem wąskie kamienne uliczki wioski, dolatywała do niej melodia katarzynki wędrownego cyrku. Słyszała, jak u sąsiadów ugniatają ciasto, a o dno stojącej na schodach przed jej domem ema-

liowanej miski dzwoni woda. To Marco zabierał się do mycia. Głośnemu chlupotowi wtórowało cieniutkie ciurkanie, widocznie ktoś polewał sobie ręce. Słyszała śmiech sióstr Poesini, z hałasem rozkładających łyżki na stole, przy którym miała wkrótce zasiąść wokół jednej miski ich osiemnastoosobowa rodzina. Słyszała, jak karconej Marii Teresie wymierzono klapsa. Dochodziły ją również głośniejsze od tego klapsy i krzyki Giuliany, oddającej się z mężem ich cowieczornemu rytuałowi kłótni i pożądania. Wieś rozbrzmiewała wołaniem matek i sióstr zwołujących swoich na kolację. Dzwony Santa Maria in Alto ogłaszały koniec mszy, na którą nikt nie miał czasu pójść. Jerzyki nurkowały i śmigły przez chłodne prześwity między domami. Z od-dali dochodził szurgot mioteł, którymi służące zamiatały dziedziniec i schody willi *padrone*, wzbijając na ulicę kurz, który wpadał przez jedyne okienko Agostiny i Seconda i osiadał cienką warstewką pylnego *noblesse oblige* na ich prostych meblach.

Uszy Agostiny, podobnie jak słuch wszystkich kobiet we wsi, były nastrojone na wylawianie odgłosów otaczającego ją świata. Zamknięta przez większą część dnia w czterech ścianach, zajęta gotowaniem i łataniem odzieży, nauczyła się rozpoznawać każdą nową nutę i miłosne szepty, jakie się rodziły w wilgoci szarych kamieni. Harmider przejeżdżającego cyrku, napełniający tego wieczoru wieś, był wszakże tak głośny, że nawet La Giuseppina di Franco, półzywa i prawie głucha od dziesięciu lat, musiała go chyba usłyszeć. Składały się nań porykiwania wołów, echem grzmotu przetaczające się po całej dolinie, stukot końskich podków, łoskot wleczonej maszynerii, której turkot na gościńcu przypominał grzechot kamieni w górskim potoku, hurkot i dudnienie wprawiające w dygot wszystkie okiennice w promieniu kilku kilometrów, rejuwach małych podobny do jazgotu czeredy dzieciarni, krzyki „wišta!” i „prrr!”, skrzypienie kół cyrkowych bud, trzeszczenie tablic, werble

bębenków, a wszystkie te dźwięki pospołu współzawodniczyły z krzykami podnieconego i przekrzykującego się tłumu gapiów, który wiwatami i śmiechem witał paradę wędrownego cyrku.

Agostina zanurzyła w roztargnieniu rękę w kopczyku mąki, po czym wetknęła ją z powrotem w ciepłe ciasto. Tyle razy przygotowywała już każdą ze swoich potraw, że mogła to robić bez zastanowienia. Produktów używała niewiele, przepisów miała jeszcze mniej, szykowała więc posiłki machinalnie, wykorzystując czas spędzany przy kuchni na snucie marzeń na jawie. Tego wieczoru oderwały ją od nich odgłosy przeciągającego cyrku. Cieszyła się, że Elio i jego brat Alessandro będą mogli wreszcie pójść na przedstawienie. Secondo nie narzucał już surowej dyscypliny, a jego gniewne pomruki stały się pustymi dźwiękami, i tak też je domownicy traktowali. W tym roku wszyscy synowie Agostiny wybiorą się do cyrku. Uśmiechnęła się, szczęśliwa z ich zwycięstwa i z przegranej męża. Chłopcy będą musieli zanieść coś do sprzedania na targ w Castello. Kurczęta, króliki, jęczmień i pszenica nie wchodziły w rachubę. Podobni im biedacy mieli to wszystko własne, a *padrone* nigdy nie brakowało pożywienia. Im zresztą również nie, brakowało im jedynie zawsze pieniędzy. Tylko tego roku, kiedy wołek zbożowy zniszczył plony, nie mieli co włożyć do garnka. Przez całą zimę musieli jeść chleb z kasztanów. Czy można to uznać za głód? — zastanowiła się. Było im raczej nudno niż głodno. Zaciekawiło ją, czy Elio potrafiłby złapać zająca. Na zające zawsze istniał popyt. Najlepiej jednak sprzedawały się słonki z grzbietu Zeno Poggio. Niektóre rodziny były skłonne sownie zapłacić za parę słonek. Tyle że pora nie była najlepsza. Ptaki własnie gniazdowały i były pod ochroną. Elio trafiłby do więzienia, gdyby go przyłapano. Trzeba będzie zadowolić się zającem albo kilkoma *porani*, jeśli Święta Paniienka zechce łaskawie zesłać w nadchodzącym tygodniu trochę deszczu.

Agostina dwa razy oglądała przejazd kawalkady wzbijającej tumany białego kurzu. Pierwszy raz chyba w roku 1933, roku śmierci jej matki. Matka Agostiny urodziła dwadzieścioro dzieci, z których piętnascioro wychowała. Mimo to trzymała się prosto jak ci faszystowscy oficerowie, pyszniący się swoimi mundurami i wyśpiewujący serenady na rynku pod oknem Rosanny Mariangeli, najładniejszej i najszczęśliwszej dziewczyny w całej dolinie. Inne dziewczyny powychodziły za mąż i wpadły w kierat nie kończącej się harówki albo zrujnowały sobie życie przez to, że wydały na świat nieślubne dzieci. Urodzenie dziecka w ojcowskim domu było najgorszym nieszczęściem, jakie mogło się przytrafić dziewczynie. Nie wszystkie z tych biedaczek przeżyły bicie, jakie sprawiły im rodziny. Usta Nunzii, kuzynki Agostiny, po takim właśnie laniu wykrzywił już na zawsze głupkowaty uśmiech, a Rosina, córka drwała z gór, została od ojcowskich kopniaków chroma na całe życie. Nieboga straciła również dziecko. Malej Nunzii na lata niewoli w kuchniach jej braci pozostał choć na pociechę synek. Rosina nie miała nic, toteż zasługiwała na równe niemal współczucie jak szwagierka Agostiny, Esmeralda, która po stracie dzieci została niemową.

Kiedy Agostina ujrzała po raz pierwszy cyrkową kawalkadę, ogarnął ją smutek. Wyobraziała ją sobie jako paradę uroków życia, które ją, stojącą na skale nad drogą, omijały. Te pstre kolory, rzenie koni, skrzypienie kół, kłęby białego kurzu i cały ten gwar przerażały ją. Miała obok siebie swoich trzech synów i córkę; chłopcy stali z innymi chłopcami i udawali, że matki nie znają. Elena, jej córka, zafascynowana i wystraszona, uczepliła się jej spódnicy i chowała twarz w matczynym cerowanym wełnianym fartuchu. Agostina czuła w pachwinach dobrze jej znane miesiączkowe bóle, od których jej ciało robiło się jeszcze cięższe. Potem poczuła przenikliwe klucie promieniujące na całe podbrzusze. W dole przejeżdżały cyrkowe budy. Po ich dachach

skakały ubrane w pstre kubraczki zwierzęta podobne do kotów, biegające na dwóch nogach i szwargoczące coś między sobą. Stwierdziła, że pomstują na nią i wygrażają małymi piąstkami. Skąd pochodziły te kocie demony? Dokąd jechały? Chciała o to zapytać Marca, najstarszego ze swoich synów, albo Elia, swojego ulubieńca. Ale chłopcy stali za daleko, pokrzykiwali coś i kiwali się na piętach na wydeptanej trawie.

Karawana przetaczała się z łoskotem, pełna niepojętych dziwów. Cyrk nie był dla Agostiny całkowitą nowością, choć nigdy go na własne oczy nie widziała. Matka opowiadała jej o cyrku, który w roku 1916, w czasie wojny, przyjechał do Castello i rozbił namioty na łąkach nad rzeką pod murami miasta. Matka i jej zamężne siostry widziały go — prawdziwy cyrk z dzikimi zwierzętami, kramami, malowanymi końmi, diabelskim młynem i karuzelami. Każdej soboty przysyłano z miasta do ich wioski zaprzężony w woły wóz po żołnierskie żony. W Castello otrzymywały zasiłki, żeby mogły przeżyć do powrotu z frontu swoich mężów. Kobiety, które nigdy nie wychyliły nosa za porośnięte lmem rowy na skraju wsi, całymi godzinami wieziono z paradą po zakurzonych drogach i przywożono do miasta. Zawiały tam przyjaźnie i znajdowały kochanków. W okolicy roiło się od dezertarów. W każdym zaułku w Castello stał rząd uciekinierów, którzy wpadali później jak króliki w sieci w zastawione przez władze sidła. Chłopcy i mężczyźni kryjący się po lasach wychodzili z nich tylko nocami, żeby kraść żywność, co szło im lepiej niż urwisom z miasta. Niewykluczone, że ich również przywabiał cyrk. Być może uważali, że warto stanąć przed sądem wojennym i narazić się na śmierć, byle zobaczyć klaunów i garbate konie.

Matka Agostiny potrafiła opowiadać o cyrku godzinami. Mogła siedzieć i łuskać groch, czyścić ryżową szczotką ubrania, cerować koszule albo miesić ciasto nie przestając

przy tym ani na chwilę bujać myślami w cyrkowym obozie i oglądać w wyobraźni wszystkie jego cuda.

— Wyobraź sobie konia wielkiego jak nasz — mówiła — który ma na grzbiecie dwa garby jeden za drugim, a między nimi dolinę tak rozległą, że można by w niej siać zboże. Jego boki są porośnięte włosami koloru słomy, a z pyska jest podobny do Albertinowego dziadka, tyle że ma jeszcze bardziej wywinięte wargi, które wciąż się poruszają i coś żują. Bestia patrzy na ciebie i nie przestaje żuć, chyba że po to, aby parsknąć śliną. A teraz wyobraź sobie trzy takie potwory, całe obwieszane chorągiewkami, jakimś kopciami i wstążkami. Tyłu wstążek Assunta nie ma w całym swoim sklepie. Wyobraź sobie koty, które gadają i chodzą na dwóch nogach jak leśne duszki. Wyobraź sobie wszystkie kolory, jakie tylko są na polach, cięte w paski i majtające się na wietrze, przeplecione palonym cukrem i winem. Wyobraź sobie kobietę o stu nogach czółgającą się w takim specjalnym pokoju. Ja sama jej co prawda nie widziałam, ale widziała ją La Marisa di Beppe. Słono za to zapłaciła, tyle, ile dostała za jajka i bób, tak że przez parę dni nie jadło się u nich kolacji, ale jak człowiek zobaczy kobietę o stu nogach, mówiła Marisa, całkiem mu odbiera apetyt. Ech... żeby w takie cuda uwierzyć, trzeba zobaczyć je na własne oczy! Gdyby nie wojna, i ja bym tego nie widziała, a tak wszystkie zobaczyłyśmy cyrk i słuchałyśmy muzyki z takiego ula z korbką. Nie wiem, jakie to tam były czary, dobre czy złe, ale że czary, to już na pewno.

Na wojnie miała sześciu synów, z których jeden poległ, a jeden zaginał. Jej synowe bały się jeździć do Castello po zasiłki, podejrzewały, że gdyby opuściły wieś, ściągnęłoby to na ich nieobecnych mężów nieszczęście, a nawet śmierć. Więc to ona, starucha, pojechała do miasta w towarzystwie młodych mężatek i wdów. Cyrk odmienił matce Agostiny świat. Na dobrą sprawę nie otrząsnęła się nigdy po tym, co tam zobaczyła. Przez wiele następnych lat wędrowała ze



skopkami po polach, utrzymując, że widziała najcudniejsze zjawy to za tym, to za tamtym drzewem, to za tym, to za tamtym kamieniem. W miesiącach najcięższej harówki w polu razem z innymi kobietami podkasywała spódnice i w słonecznym skwarze pomagała zbierać plony. Co roku w żniwa snił się jej garbaty koń. Przysięgała, że z nią rozmawiał. Na starość, przywiązana przez artretyzm do swej chaty i nędznego splechcia ziemi, nabrała zwyczaju gawędzenia z garbatym koniem. Opowiadała mu o swoim życiu, jeszcze raz przeżywając jego najpiękniejsze chwile, gdy je wyliczała swojemu urojonemu rozmówcy.

Matka Agostiny umiała cieszyć się życiem. Ciężko pracowała, tak ciężko, aż przygarbiły jej się plecy i zdeformowały stawy. Na starość również nie zaznała odpoczynku. Pracowała aż do tego popołudnia, kiedy w czasie podwiązania pomidorów zwałił ją potężny udar. Swojego męża zawsze nazywała *babbo*. Kiedy wychodził na wyrąb z drwalami, rozmawiała o nim z czeredą ich dzieci, a że one zwracały się do niego *babbo*, i ona tak go zaczęła nazywać. Tego popołudnia, kiedy powalił ją udar, zawołała do niego ze spieczonej ziemi:

— O, *babbo*, nigdy byś w to nie uwierzył!

— W co? O czym ty gadasz, kobieto? — zapytał tkliwie, bo tylko jedna kobieta istniała w jego życiu i była nią nadal jego niezmożona połowica z rzednącymi włosami, unieruchomionymi stawami i nonsensownymi komentarzami. — W co? — powtórzył, nie doczekawszy się zaś odpowiedzi, przestraszył się nie na żarty. Ich dom, odkąd go wspólnie założyli, rozbrzmiewał zawsze gwarem paplaniny. Małżonkowie dzielili i omawiali ze sobą wszystkie swoje troski. — W co? — zapytał znowu, bo nie chciało mu się odwracać. Spodziewał się prędkiej odpowiedzi i dalszego ciągu paplaniny. — W co bym nie uwierzył?

Matka Agostiny była bardzo łatwowierna. Wierzyła we wszystkie opowieści sąsiadów, w każdą zasłyszaną plotkę,

w każdą obmowę i każde zmyślenie, jakie się zrodziły w okolicznych chatach. Wierzyła we wszystko, co zobaczyła i co sobie wyobraziła w tamtym wojennym lunaparku. Wierzyła w syjamskie bliźnięta w skrzyniach i karły w butelkach. Wierzyła w olbrzymów, wiedźmy, cuda i czary, w tyle rzeczy wierzyła, natomiast jej mąż wierzył zawsze tylko w nią i dzieci, które powołali wspólnie do istnienia pod osłoną ciemności powszedniego dnia. Toteż nigdy nie uwierzył, że mogła tak po prostu zawołać coś i umrzeć, nie przyjął do wiadomości, że już nigdy nie wróci i wciąż szeptał do niej czule, bo nawet na stare lata mieli dla siebie tylko czułe słowa. Kierował swe szepty ku nocy i tak pilnie nieraz czekał odpowiedzi, aż łapał się na tym, że nasłuchuje słów garbatego konia, w którego istnienie przecież nie wierzył.

Agostina była tak podniecona przejazdem cyrku, że aż zapierało jej dech w piersiach i przed oczami latały mroczki. Przyczyniał się do tego i dławiący kurz, ale przede wszystkim jej pragnienie. Oto miała przed sobą cyrk, o którym opowiadała jej matka. Oto słynny garbaty koń, a gdzieś tam, spowite tumanami kurzu, przejeżdżały przed nią olbrzymy, karły i kobieta o stu nogach. Jej matka umiała żyć. Borykała się z losem i harowała nawet ciężiej niż ona, Agostina, a jednak w jej ciasnej chatce królowały zawsze wesołość i zrozumienie. Wyglądało na to, że kluczem do jej szczęścia był ten cyrk.

— Widzisz — mawiała — zjawił się tu jako dziwowsko, przelotny ptak, a został na trzy lata, bo rząd zarekwizował im konie i wysłał na front. Co jakiś czas wpadali urzędnicy z komisji poborowej, przeszukiwali wozy i namioty, ale większość cyrkowców to byli ludzie, których jakoś nijak brać do wojska. Nawet się nie wiedziało, czy taki to baba, czy chłop. Na przykład brodata kobieta — ludzie gadali, że to mężczyzna. Może i tak, ale z drugiej strony wszyscy przecież widzieli te dwa pękate arbuzy na jej piersi.

Nie wydaje mi się, żeby urzędnikom z komisji poborowej udało się wtłoczyć w mundur taki biust. Albo weź karty. Owszem, z wieku były nawet zdatne, ale toć cały front by się uśmieł z naszej armii, gdyby je powołali pod broń. No i cyrkowcy zostali, nie mieli wyboru. Konie im zarekwirowali, woły zarekwirowali. A sam garbaty koń, dużo to taki uciągnie? Właściciel zachorował od tego na nerwy. Najpierw wypadły mu włosy, potem zęby. Całymi godzinami furt ino siedział i płakał. Opowiadał, że przed przyjazdem do Castello jadał tylko kawior i popijał winem. Biedaczek, w tamtych czasach trudno było nawet i o kurze jajko. Tylko sobie wyobraź: w mieście panoszyły się bandy cyganów, okolicę grabiły bandy rzezimieszków. Na każdy kęs jedzenia rzucały się zaraz setki deztererów. Wciąż wybuchały jakieś bójki. Niektórzy z cyrkowców trafili do więzienia. Współczuliśmy biedakowi, ale z drugiej strony, jakie to dla nas szczęście! Cyrk na trzy lata unieruchomiony na jednym miejscu! Ile razy jechałyśmy po nasze wojenne zapomogi, wiedziałyśmy, że jak już wystoimy się po nie w kolejce, będziemy mogły potem pójść i napatrzeć się cudów pod murami miasta.

Gdyby matka Agostiny żyła, przecisnęłaby się teraz przez gromadkę chłopaków, roztrąciłaby ich spuchniętymi łokciami swoich chudych rąk. Wiwatowałaby i klaskała w dłonie na skraju wiszącej ponad drogą skały. Agostinę dręczyło poczucie, że zmarnowała życie. Nic jej nie cieszyło, straciła do wszystkiego chęć. Już dawno zamknęła się w sobie. Stojąc na krawędzi skalnej półki stwierdziła z przygnębieniem, że jest w środku pusta jak zimowa dynia. Oto przedefilował przed nią cyrk, ten sławny cyrk, a po jej podnieceniu zostało jedynie uczucie straty. Wydał się jej procesją straconych możliwości, drwiną z niej i jej powszedniej harówki. Kiedy myślała o matce, zdała sobie sprawę, że ona o wiele więcej skorzystała z życia, choć warunki miała nie lepsze. Nie zmieniła swojej chaty w posępny

przybytek kłęski. Wiedziała, jak podtrzymać i zachować nie tylko miłość męża, ale i szacunek dla samej siebie. Agostina popatrzyła na główki swoich dzieci: trzy krótko ostrzyżone, jedna z warkoczykami. Tym dzieciom musi się powieść lepiej niż ich matce. Muszą się nauczyć języka przyjemności, nauczyć się nim mówić i zapamiętać go na całe życie. Postanowiła, że dołoży wszelkich starań, by pomóc im wyrwać się z mrocznego tunelu własnej pustki. Zachęci je, żeby szukały szczęścia, i może kiedyś, gdy go jej trochę przyniosą, jakieś jego włókienko przylgnie i do niej.

Usłyszała dzwon San Crescentino, wzywający na Anioł Pański. Mnisi wrócili już z pola do klasztoru. Zasiądą wkrótce do stołu. Cała wieś zasiądzie niebawem do jedzenia. Tłum rozproszył się, tylko kilku chłopców patrzyło jeszcze w ślad za wzbijającą tumany kurzu karawaną. Któregoś z najbliższych dni wyśle swoich synów do cyrku, postanowiła Agostina. Wsunie Marcowi do ręki swe nędzne oszczędności i każe mu zabrać tam braci. Trapiąc się tym, co stracili, ona i Secondo zapomnieli cenić to, co posiadali. Okaleczyli się nawzajem, zniszczyli uczucia, jakie dla siebie mieli. Życie niepostrzeżenie przeciekło jej przez palce. Nie rozbłysło cudami cyrku, wylało się jak szklanka skwaśniałego wina. Jej synowie staną się już niedługo mężczyznami, nawet Sandro; miał już prawie jedenaście lat i wzrostem dorównywał braciom. Chętnie rozbiłaby cement na grobie matki, wysunęła szufladę, w której spoczywała na *campo-santo*, i zawołała do niej: „Mamo, o *mamma*, czy jest jakiś sposób, abym znowu poczuła, że żyję?! Trzymam się już tylko swoich dzieci, jak uciętych sznurków. Czuję się zagubiona i smutna. Wiem, że już umarłaś, a jednak mam wrażenie, że więcej w tobie życia niż we mnie”.

Korciło ją, żeby podejść do Seconda, spowitego kłębami dymu z fajki, i szepnąć mu jakieś czulsze słówko lub choćby wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia, lecz wiedziała, że się nie zdobędzie ani na jedno, ani na drugie. Czułe sło-

wa zwiędły jej w ustach i wszelka tkliwość do męża w niej wygasła. Ale swoich chłopców wyśle któregoś dnia do cyrku. Dla ich dobra wystąpi przeciwko mężowi. Od tej chwili będzie żyła w swoich dzieciach. Będę pchłą na ich grzbietach, pomyślała. Po krętych schodkach wróciła pod drzwi swojego domu. Nie lubiła pcheł, wołałaby zostać jakimś innym stworzonkiem, ale nic innego jakoś nie przychodziło jej do głowy; ilekroć brakowało jej słowa, pytała Alessandra. Ale tego wieczora wstydziła się go zapytać. Nie przywykła do abstrakcyjnego myślenia, a słowa przychodziły jej z trudem.

Leżąc tej nocy w łóżku, wsłuchiwała się w szczekanie psów w dolinie. Wciąż szukała słowa na określenie rzeczy, którą chciałaby zostać. Może kiedy jej synowie wrócą z cyrku, przyniosą ze sobą i to: słowo, które nada jej kształt, opisze ją i pozwoli jej stać się kimś nowym. Będzie czekała. Swoją wewnętrzną pustką była już zmęczona. Odkąd zaczęły umierać jej dzieci, stale chodziła zmęczona.

Można by uznać, że nazwisko Alessandra predestynowało go do ciemności. Służbę wojskową odbywał na Północy, w koszarach w Desenzano nad jeziorem Garda. Każdej nocy budzono go tam gwałtownym szarpaniem.

— Hej, obudź się, pora na ciebie!

W ich sypialni było całkiem ciemno. Sypialnie mieściły się w długich betonowych barakach bez okien, z otwartą kratą pod dachem dla dostępu powietrza. Na Północ Alessandro przyjechał w styczniu, kiedy noce są mroźne.

— Mezzanotte... — nawoływały go szepty z całej sali.

Nigdy dotąd nie sypiał sam, brakowało mu ciepła śpiących obok braci. Mróz kładł się do łóżka razem z nim i skuwał szorstki wojskowy koc w nierówne fałdy. Alessandro nie bał się innych poborowych; otrzaskany w bójkach, potrafił się dobrze bić. Był poza tym rostry i wyglądał na więcej niż dziewiętnaście lat. Barczysty, po rodzinie matki odziedziczył krzepką budowę. W ciągu dnia z ochotą wystąpiłby przeciwko dowolnej liczbie swoich prześladowców, lecz nocą, w ciemności, był zupełnie bezradny wobec ich docinków.

Znalazł się daleko od domu. Jak daleko, wiedział dokładnie, co do minuty, podobnie jak znał odległości od rodzinnej wioski do wszystkich okolicznych miasteczek. Do szkoły przestał uczęszczać, podobnie jak i inne dzieci, w wieku dwunastu lat, ale odkąd spotkał Valentine, zaczął studiować geografię serca. Kiedy wędrowny cyrk jej ojca przeniósł się na nowe miejsce, on, opuszczony kochanek, wytyczał marszrutę do swojej wybranki. Miał mapę i kolejowe rozkłady jazdy z całych Włoch. Ilekroć Valentina znajdowała się w jego zasięgu, długim krokiem wyruszał o świcie na stację. Następnie kupował bilet i puszczał się w podróż, choćby i wielogodzinną, żeby dotrzeć do swej ukochanej. Bywało, że jechał cały dzień i całą noc tylko po to, by spędzić z nią godzinę. Bracia nazywali go stukniętym. Nie rozumieli natury miłości. Nic dziwnego. Skąd mogli wiedzieć, że w ustach Valentine kryje się eliksir życia?

Desenzano leżało jednak zbyt daleko. Osiem godzin do Mediolanu, potem dwie do Brescii i jeszcze godzina lokalnym pociągami w okolice jeziora. Gdyby cyrk rozbił tutaj obóz, ze swoją karuzelą, cukrową watą i brodatą kobietą, Alessandro nie zdołałby tu dotrzeć ze swojej wsi. Valentina. Wyciągnięty na wąskim zimnym łóżku wyobraził sobie jej kochaną twarz. Valentina.

— Mezzanotte, Mezzanotte!

Grad jakichś przedmiotów wylądował na jego oszronionym kocu. Alessandro zastanawiał się, czy i w domu mają podobną pogodę. Co by się stało w taki mróz z drzewkami oliwnymi? Zwarzyłyby je i niszczyłyby do gruntu. We wsi dużo się gadało o głodzie, szczególnie teraz, w czasie wojny. Ojciec Alessandra mówił, że w ich stronach nie zaznano nigdy prawdziwego głodu. Ludzie chodzili co prawda głodni i życie wiedli znojne, odmierzane przez monotonne wahadło pracy i snu. Choć niezupełnie, istniała przecież Valentina i te wszystkie godziny między jednym i drugim spotkaniem. Ojciec Alessandra był człowiekiem zgorzknia-

łym. Wszyscy to mówili. Żył w depresji. Dwa razy stracił zbiory — sąsiadów to ominęło. Już się po tym nieszczęściu nie podźwignął. Można by sądzić, że zardzewiał kluczyk, którym nakręcano w nim życie.

Jakiś mały ostry przedmiot trafił Alessandra w bok głowy tuż nad uchem. Chłopak krzyknął mimo woli.

— Trafiłem go! Słyszeliście? Trafiłem!

Głos zdradził sprawcę. Większość poborowych miała charakterystyczne głosy, każdy mówił z naleciałością jakiejś gwary. Trzy lata niedzielnych pogoni za wędrownym cyrkiem nauczyły Alessandra nieźle rozróżniać regionalne dialekty. Teraz odezwał się poborowy z Genui, typek o strupowatej głowie. Po pierwszych paru dniach w koszarach Alessandro przestał odczuwać lęk, popadł za to w przygnębienie. Nie dość, że musiał tkwić tu w Desenzano, to jeszcze cierpieć z powodu tych nie przespanych nocy. Przez te wycia i głupie żarty nie mógł nawet skupić myśli na Valentinie.

— Mezzanotte, Mezzanotte, Mezzanotte! — podśpiewywali.

Jeśli leżał bez ruchu, ignorując ich zaczepki, wyśmiewali się z niego tym bardziej. Zabawa, jaką sobie z niego zrobili, wymagała finału. Ich drwiny musiały zostać każdej nocy doprowadzone do jakiejś puenty, dopiero to pozwalało im zasnąć.

— Mezzanotte...

Gdy milczał, sikali na niego.

Jego brat Elio dostał powołanie we wrześniu 1940 roku, ale zdążył uciec w góry, żeby uniknąć poboru. Wszyscy o tym wiedzieli. Elio nie interesował się nigdy polityką. Żył tylko akordeonem. Grywał na okolicznych potańcówkach, a kiedy żadnej akurat nie było, potrafił grać co wieczór całymi godzinami dla własnej przyjemności. Do lasu wziął ze sobą akordeon, ale partyzanci po tygodniu odesłali instrument przez jednego ze swoich kurierów. Oświadczyli,



że się ukrywają, a dźwięk harmonii niosący się po górach bynajmniej im tego nie ułatwia. Alessandro zastanawiał się często, czy Elio przyłączyłby się do nich, gdyby o tym wcześniej wiedział. Elio zjawił się we wsi w listopadzie, w porze zbioru oliwek.

– Słyszałem, że dostałeś powołanie, braciszku – rzekł.

– Cóż robić.

– Mógłbyś przyłączyć się do nas. Zabiorę cię w nocy ze sobą. Potrzebujemy zaufanych ludzi. Nie musisz być zaraz socjalistą, mamy w oddziale całą furę dezertarów.

Elio był tego popołudnia, jak rzadko, dobrze poinformowany i rozmowny. Gdyby wskazał młodszemu bratu jakiś sposób widywania się z ukochaną, Alessandro pewnie by z nim poszedł. Poborowych wysyłano na Północ, a partyzanci siedzieli po wzgórzach niedaleko domu. Ale znów partyzanci nie mogli włóczyć się po całym kraju za wędrownym cyrkiem. Faszyci sprawdzali każdego karła i każdy kuferek. Alessandro nie myślał umierać za swoją ojczyznę, a tym bardziej za jakiś obcy kraj, tak daleki, że nie występował na żadnej z jego map ani w żadnym z rozkładów jazdy, ale chętnie umarłby za Valentine. Dla niej jednej pragnął żyć i dla niej mógłby umrzeć. Jego życie miało wyraźnie wytyczony cel. Obie rodziny były przeciwne ich małżeństwu. Ale ich sprzeciw nie mógł trwać wiecznie; wojna zmieniała wszystko. Alessandro miał nadzieję, że zmieni również nastawienie jego ojca. Matka na dobrą sprawę przeszła już na jego stronę.

Harmider w sypialni trwał nadal. Gdyby Alessandro odpowiedział na zaczepki i wpadłby dyżurny, a w końcu wpaść musiał, winę zwałono by na niego i odebrali by mu przepustkę. Dotąd nie otrzymywał przepustek, ale niedługo należała mu się tygodniowa. Znowu poczuł kwaśny zapach moczu. Intuicyjnie wyczuł też w pobliżu czyjeś ramię. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby je złamać. Zaciśnął pięści. Bardziej niż zemsty pragnął bowiem widoku Valentyny.

Odpędził od siebie upokarzający smród i wyobraził sobie jej długie krągłe udo. Skóra Valentiny pachniała jak gorący piasek i smakowała z lekka gumą. Przesuwał językiem po jej oliwkowej skórze. Byli oboje jak oliwne drzewa, których nigdy nie zwarzy mróz. Pocierał policzkiem o własną dłoń, żeby przypomnieć sobie wyraźniej dotyk jej ciała.

Nagle naśmiewające się z niego głosy ucichły: ktoś nadchodził. W ciemności zakotłowało się i po chwili zaległa w sypialni niezmacona niczym cisza. Nawet wartownik wrócił na swoją połówkę. Przez pierwsze długie tygodnie służby powtarzała się co noc ta sama historia. Wpadał dyżurny, wściekły, że musiał się odrywać od kieliszka i kart. W sypialni panowała cisza jakby makiem zasiał. Pozorujący sen rekruci udawali, że się budzą, po czym zwoływano apel. Alessandro czekał na wyczytanie swojego nazwiska, które tu, w Desenzano, brzmiało mu w uszach inaczej niż dotąd. W jego rodzinnej wsi należało ono do nazwisk szacownych. Ojciec, dziadek, wszyscy bracia i wujowie nosili je z niejaką nawet dumą. To prawda, że ojciec Alessandra był teraz człowiekiem zgorzkniałym, ale straty poniósł nie z własnej winy, a znosił je jak przystało na mężczyznę. Z Alessandra nikt się dotąd nie śmiał. Chłopak był zaś zbyt silny, by ośmielono się nad nim znęcać. Własne nazwisko zabrzmiało mu obco po raz pierwszy tu, w koszarach. W blasku nagich żarówek czekał na jego wyczytanie.

- Gavarini Massimo.
- *Presente.*
- Linate Davide.
- *Presente.*
- Marriotti Mario.
- *Presente.*
- Mezzanotte Alessandro.
- *Presente.*

Żołnierze nie mogli się już doczekać, kiedy wreszcie pójda na front. Jednostki Strzelców Alpejskich wyprowa-

dzano właśnie z koszar, toteż wśród poborowych wzbierał niepokój i rosła wojowniczość. Co noc o dwunastej budzili Alessandra Mezzanottego. Chciał z nimi pogadać, wytłumaczyć, że ma dziewczynę w wędrownym cyrku, z którą musi się koniecznie spotkać. O nic więcej nie dbał. Ich szyderstwa znaczyły dla niego tyle co nic. Ale jak im to wyjaśnić, żeby zrozumieli? Włosy Valentiny były grube i czarne, pachniały pieczonymi jabłkami, cukrową watą, olejkiem rozmarynowym i smarem z karuzeli. Mówiła prędko, jakby przybiegała do niego zawsze zdyszana. Dłonie miała drobne i kruche, o dziwnie ściętych opuszkach palców, jak gdyby je zaprojektował murarz, który się następnie rozmyślił i nie dokończył dzieła.

Alessandro zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy miała ledwie czternaście lat. Cyrk zjechał do sąsiedniej wioski San Severino. Alessandro poszedł tam z obu starszymi braćmi i spędził w nim cały wieczór. On i Elio, obaj z pustymi kieszeniami, snuli się wśród namiotów i kramów, pożerając wzrokiem pierwszy raz widziane kolorowe cuda. Ich najstarszy brat, Marco, wybrał się do cyrku ze swoją dziewczyną. Byli zaręczeni, *fidanzati*, więc mieli prawo pokazywać się razem. Tych parę lirów, którymi dysponował Marco, poszło na karuzelę i cukrową watę. Alessandro do tej pory nosił w pamięci, niczym kameę, widok Marca i jego narzeczonej na malowanym koniu na tle lasów w oddali i wieczornego nieba: ona z przodu, siedząca po damsku, w długiej spódnicy, on z tyłu, siedzący na oklep, roześmiany. Melodia katarynki to wznosiła się, to cichła, a koń cwałował w jej takt, aż niemal zawisł kopytami w powietrzu. Alessandro czuł taki zachwyty, że aż dech zapierało mu w piersi. Kiedy wieczorem piaszczystą drogą wracali do domu, Elio trącił go i burknął:

— Co się z tobą dzieje? Zachowywałeś się jak kto głupi. Wszyscy się na ciebie gapili.

Alessandro potknął się i zmilczał.

Miał piętnaście lat, od trzech pracował w polu. Był czerwiec i należało graczyć pszenicę, konopie i kartofle. Następnego dnia u boku ojca i braci pielił chwasty. Skończyli wcześniej, więc już przed osiemnastą wymknął się z domu pod pretekstem, że idzie wybierać jajka z ptasich gniazd. Pobiegł do lunaparku, jakby go tam ciągnęła jakaś nieodparta siła, w której dopiero później miał rozpoznać splot pożądania, przeznaczenia i miłości.

Zobaczył Valentine, kiedy kucała na kamieniu nad wysychającą rzeką. Miała na sobie bawełnianą halkę, mokrą i lepiącą się do ciała. Patrzył na dziewczynę i czuł, jak napinają mu się i zbiegają wokół serca wszystkie żyły. Z budy wciśniętej między wierzby i krzewy janowca wynurzyła się jakaś Cyganka.

— Ty nicponiu, gałganie, łobuzie! — rozdarła się na niego i zabrała mu przed oczu Valentine. Słyszał jej wysoki głos, kiedy rugała dziewczynę w nie zrozumiałym dla niego narzeczu.

Nazajutrz o świcie poszedł wybierać ptasie jajka z gniazd, kłusownik i zbieracz szczęśliwy jak nigdy dotąd. Znalazł cztery czarne trufle, lęg jaj kuropatwy, pół tuzina jajeczek kosa, prócz tego nappełnił poziomkami kilka zrobionych z figowych liści kobiałek. Sprzedał ten zbiór za drobną część jego wartości pod bramą willi *padrone*, bo w dniu roboczym nie było innego miejsca na handel. Valentine sprzedawała cukrową watę. Twierdziła później, iż zawsze się tym zajmowała, a to znaczyło, że musiała ją sprzedawać również i tamtego wieczora, za jego pierwszej bytności w cyrku. Zmartwił się pomyślawszy, że mógł nie jeden raz przejść obok niej i nie zauważyć dziewczyny. Może to dlatego włosy Valentiny miały mu już zawsze pachnieć cukrową watą. Nawet podczas wojny, kiedy nie było ani cukru, ani waty, doszukiwał się w nich woni tej lepkiej różowości. W koszarach nigdy nie znajdzie okazji, żeby komuś o tym opowiedzieć.

Poprzedniej nocy dyżurny zapowiedział im, że jeszcze jedna taka awantura, a całej sypialni odbierze przepustki. Pewien poborowy z Brescii, najbliższego miasta, wpadł jakiś czas temu w szal i zaatakował bagnetem swojego dowódcę; usiłował go zabić. Szeptano, że zastrzelili go jak krowę w rzeźni. Alessandro nie wiedział, czy to prawda, był jednak pewien, że jeśli ktoś zrobi coś głupiego i uniemożliwi mu wyprawę do Valentiny, on również dostanie szału i kogoś zamorduje. Być może zależało mu głównie na tym, żeby do jego kolegów dotarło to właśnie: nie że kocha, ale że kocha bez opamiętania.

Jego ojciec zawsze powtarzał, że przyjaciel to ktoś taki, na kim można polegać w biedzie. Jeśli tak, Massima Gavariniego należało uznać za przyjaciela. Alessandro był silny i umiał się bić, więc gdyby nie Gavarini, mógłby zatłuc na śmierć poborowego z Genui, gdy postanowił w końcu położyć kres drwinom ze swego nazwiska. Strupowaty genueńczyk nie należał co prawda do jego najgorszych dręczycieli, ale najbardziej z całej ich bandy się wyróżniał. Siedzieli na skrawku ubitej ziemi w odległym kącie obozu, z dala od oficerskich oczu. Wysoki płot, zwieńczony luźnym festonem kolczastego drutu, schodził się tam klinem z betonową szopą, tworząc jedyne w całym obozie miejsce względnie odosobnienia. Poborowi kolejnych roczników odkrywali ten ustronny trójkąt i przesiadywali tam, wymieniając papierosy i sekrety, i udeptując ziemię niczym stado kóz. Jeden z żołnierzy miał dziewczynę w Brescii. Proponował kilku kolegom, że za odstępnę może ich z nią umówić. Miał dwa zdjęcia, z których jedno pokazywał za darmo, a drugie za opłatą: tyle i tyle za popatrzenie, tyle i tyle za pomacanie.

Chłopak z Genui stał w kolejce do pomacania.

— Ej, ty, strupowaty! — zawołał Alessandro.

Tamten obrócił się i spojrzał na niego. Wraz z nim

obejrzało się też wielu innych, niezależnie od stanu swych głów.

– Tak, ty, genueńczyk. Chciałbym z tobą pogadać.

Chłopak z Genui odwrócił od Alessandra spojrzenie swych głęboko osadzonych oczu i przeniósł je na posuwającą się przed nim z szuraniem stóp kolejkę. Kąciki jego ust uniosły się w drwiącym uśmiešku. Niektórzy z jego kolegów śmiali się już całkiem otwarcie, rozbawieni nieoczekiwaną bezczelnością Alessandra. Jakiś wysoki, niebywale kościsty chłopak o pięściach niczym bochny zaczął machać zgiętymi w łokciach ramionami, jakby to były skrzydła, i zagadał:

– Ko, ko, ko! Ko, ko, ko!

Wystąpił nawet z kolejki, żeby zademonstrować pokazowy taniec. Pozostali gruchnęli śmiechem.

Alessandro, wcale nie zmieszany, poczekał, aż minie ich rozbawienie, po czym powtórzył:

– Ty, genueńczyk, chcę z tobą pogadać.

Wykonawca koguciego tańca, pochodzący z Mediolanu i roszcący sobie z tego tytułu prawo do przywództwa, rzucił szorstko:

– Spadaj! Nie mamy ze sobą o czym gadać.

Alessandro wzruszył ramionami w nieokreślonym geście wyrażającym zarazem usprawiedliwienie i wyzwanie.

– *Dio buono*, to dobrze się składa, bo do ciebie nic nie mam. Mówiłem do tego strupowatego.

Tykowaty chłopak, który wziął na siebie rolę mistrza ceremonii, zrobił zdziwioną minę.

– Czy któryś z was rozumie, o co chodzi temu ćwokowi? Co on gada? Czy on mówi do nas?

Przeszedł przed kolegami, wykrzywiając usta, marszcząc nos i wysoko unosząc brwi. Żołnierze rechotali i kręcili przecząco głowami. Połowa z nich mówiła gwarą jeszcze mniej zrozumiałą od wymowy Alessandra, odczuwali

więc ulgę, że to nie oni stali się obiektem drwin, i śmiali się głośniejsz od innych.

— No widzisz, chłopaki nic nie rozumieją. Bardzo mi przykro, ale chyba nie mówimy tym samym językiem. Może byś się kopnął w te swoje góry po swoją kudłatą matulę, żeby nam przetłumaczyła, co gadasz?

Alessandro zachował spokój; z natury był opanowany. Jego ojca cechowała większa popędliwość, ale po Alessandro obraza spłynęła jak woda po gęsi. Czasami wyrównywał rachunki, gdy uznał, że należy to zrobić. Ponieważ nie okazywał gniewu, atmosfera nie była napięta i dominował nastrój dobrotliwej drwiny.

— Niestety, szwankuje łączność między różnymi rejonami kraju. Miałem na myśli inny język. Myślałem, że wy z Genui rozumiecie mowę pięści. A może należysz do tych gnojków, co to nigdy nie wyjmują łapsk z kieszeni?

Alessandro podszedł do swojego przeciwnika i trącił go w ramię. Chłopak z Genui potoczył wokół zdumionym spojrzeniem.

— Widzicie tego pacana? — zapraszał swoją paczkę do wzięcia udziału we wspólnej zabawie.

Alessandro cofnął się; łokcie przycisnął do boków. Ponownie trzepnął genueńczyka po szorstkim suknie munduru. Rozwarłszy pięści zachęcał go do wystąpienia na ring.

— Ko, ko, ko! — zagadał tamten. — Patrzenie, macha łokciami jak kurczak!

Coś się jednak zmieniło, żołnierze odstępowali do tyłu. Woleli bójkę od żartów. Genueńczyk też lubił bójki, ale przede wszystkim lubił brać udział w gromadnych rozróżbach.

— Chodźta — zachęcił kolegów — spuścimy kmiotkowi manto.

— No to już — odrzekł ich tykowały przywódca. — Spuść mu manto. My się poprzyglądamy, co nie, chłopaki?

To, co nastąpiło, zadziwiło wszystkich. Genueńczyk był

zaskoczony, gdyż — choć nie rwał się do bójki — nie przypuszczał jednak, że oberwie lanie. Chłopaki z jego paczki zbaranieli, bo uważali Alessandra za maminsynka, za tchórze, a nie zabijakę, jakim się okazał. Zaskoczony był nawet Alessandro, ponieważ kiedy katował przeciwnika, odkrył w sobie nie znaną mu dotychczas wściekłość. Ale najbardziej zdumiało go to, że zaprzyjaźnił się później z Gavarinim, który miał się stać jego najserdeczniejszym przyjacielem. To właśnie Gavarini interweniował w końcu i uratował genuieńczykowi życie.

Poborowego z Genui wywieźli z koszar w gipsie ambulansem Czerwonego Krzyża. Kiedy zabrano z sypialni torty i rzeczy, nikt o nim więcej nie wspomniał, jak gdyby nigdy nie istniał. Wąską przestrzeń, którą zajmował, zajęli i wypełnili inni, podobnie jak sąsiednie zęby zarastają szczerbę. Alessandra zaczęto traktować z szacunkiem, o który on bynajmniej nie zabiegał. Nie był z siebie dumny. Raczej już zawstydzony. Nie tylko poturbował strupowatego, ale okazało się przy okazji, że nie znał samego siebie.

Myślał o sobie zawsze jako o zwykłym chłopcu, dokładnie takim, jaki spoglądał na niego z kawałka lustra, żyjącego własnym życiem za półką z talerzami, która wisiała nad kamiennym zlewem w ich domu. Myślał o sobie jako o Alessandrze Mezzanotte, o Alessandrze Mezzanotte jako o wysokim barczystym chłopaku o piwnych oczach koloru dojrzałych orzechów laskowych. Twarz miał szeroką i pełną, skórę białą, policzki czerwieniały mu i od gorąca, i od zimna. Jego ciemnokasztanowe kędziory kręciły się jak na złość tym bardziej, im usilniej próbował je poskrocić tłuszczem i brylantyną. Gęsty zarost Alessandra wymagał codziennego golenia, natomiast Elio i ojciec nie musieli się golić częściej niż trzy razy w tygodniu. Nos miał długi i kształtny, prawdziwie rzymski, z niewielkim garbkiem, jakby mu go kiedyś złamano, szyję grubą i raczej krótką,



czoło wysokie i ładnie sklezione (tak zdaniem Valentyny, jak i jego matki), dłonie jak u chłopa — szerokie i silne. To wszystko oglądał codziennie w kawałku lustra podczas gożenia. Przed każdym spotkaniem z Valentina przyglądał się sobie uważniej i dociekliwiej, chcąc odkryć, dlaczego go kocha i w jaki sposób mógłby zatrzymać jej miłość.

Odkąd porachował kości genueńczykowi, nie lubił już zaglądać do lustra. Golił się byle jak unikając nawet widoku własnego podbródka. Alessandro Mezzanotte nie był już wyłącznie chłopcem z lustra i kochankiem we władzy swoich zmysłów. Siedział w nim ktoś jeszcze, ktoś, kogo dotąd nie znał. Ktoś, kogo nie rozumiał. Za każdym razem, gdy wstawał z wąskiej pryczy, ten drugi także wstawał, chodził za nim do latryny i na musztrę. Śnił razem z nim i nie odstępował go zapewne również wtedy, gdy kochał się z Valentina. Razem z nim wsuwał się między jej nogi i gościł tam długo, smakował jej soki i upajał się zapachem jej włosów.

Alessandro zrozumiał, że poty, póki nie pozna siebie — ale całego siebie, a więc również i tę drugą nieznaną połowę — nie będzie mógł twierdzić uczciwie, że kocha Valentine całym sercem. Być może kocha ją tylko połową serca, podczas gdy druga czeka tylko w gotowości, żeby wyskoczyć jak diabeł z pudełka. Ta druga połowa była tak przebiegła i cwana, że potrafiła trwać w uśpieniu przez dziewiętnaście lat. Zastanawiał się, czy Valentina pokocha tę drugą połowę, a jeśli tak, jak mogła przedtem kochać nieznanego? Jeśli zaś nie pokocha, połowa jego istoty obumrze.

Każdej nocy próbował wyplątać się we śnie z tego labiryntu powikłań i wrócić na proste ścieżki swej miłości. Coraz częściej rozmyślał o dziadku ze strony ojca, który mieszkał w małej kamiennej wieży na stokach Zeno Poggio. Staruszek miał dwie owce i muła, które trzymał w ciasnej i ciemnej komórce, gdzie mieścił się również kredens z narzędziami, butelkami wina i workami ziarna. Dziadkowie

Alessandra mieszkali w małym kwadratowym pokoiku na piętrze, czarnym od wżartego w ściany dymu. Babka Alessandra była bez przerwy czymś zajęta. Odnosiło się wrażenie, że stale coś ugniata i uciera: a to popiół, a to ciasto, a to pranie, a to sól, a to sękaty stopy dziadka.

Na piętrze mieszkała również ciotka Esmeralda, osoba tak poczerniała i wyschnięta jak wszystko, co znajdowało się w kuchni. Wyglądała jakby osiadło na niej kilka pokoleń sadzy i wgryzło się w jej skórę, włosy i odzienie. Tylko jej oczy świeciły jasno spod tego matowego forniru. Esmeralda była głuchoniema, więc Alessandro nigdy się nie dowiedział, co usiłowała przekazać spojrzeniem tych oczu, lecz był przekonany, że coś wyrazić chciała. Nigdy nie wierzył, że jest głucha jak pień, podejrzewał, że ma jedynie przytępiony słuch. Obserwował nieraz, jak uśmiechała się na słowa wypowiedziane w taki sposób lub w takim oświetleniu, że nie mogła ich odczytać z warg.

Opowiadano, że ciotka Esmeralda urodziła w młodości całą furę nieślubnych dzieci, z których każde, zawinięte w pieluszki, zanesiono do oddalonej o cztery godziny drogi ochronki w Castello i pozostawiono tam płaczące w kamiennym składziku pod murem zakonu. Opowiadano, że za swoich dziewczęcych lat ciotka Esmeralda umiała mówić, zaniemówiła i ogłuchła dopiero po biciu, jakie jej sprawił ojciec, gdy pierwszy raz zaszła w ciążę. Opowiadano też, że jednego lata uciekła i schowała się w lesie, żeby urodzić swoje ostatnie dziecko, i ukrywała się tam do pierwszych mrozów, żywiąc się jagodami i piastując niemowlę pod kasztanowcami. Lecz ojciec w końcu ją znalazł, zabrał dziecko, i odtąd zamilkła na zawsze. Opowiadano też, że gdy była mała, upuszczono ją i coś w niej trzasło. To znów, że gdy miała trzy latka, wypadła przez okno ze szczytu wieży i przez ponad dwie doby leżała nieprzytomna.

Jakkolwiek było naprawdę, jej pomarszczona milcząca postać zachęcała do plotek i domysłów. Alessandra intere-

sowały jednak nie tyle opowieści o ciotce Esmeraldzie, ile wyraz jej oczu. Podczas każdej wizyty u dziadków siadał na opasującym palenisko wklęsłym kamieniu i usiłował zgłębić znaczenie błyszczącego spojrzenia ciotki.

— No dosyć już tych rozmyślań, chłopcze — karcił go dziadek. — Że też ten dzieciak tak lubi suszyć sobie głowę! Widziałas kiedy podobnego cudaka, Anno? — pytał żonę, po czym zwracał się do swojego najmłodszego wnuka: — Dam ci dwie rady, mój chłopcze: nie myśleć i nie trzepać patafiana. Jedno i drugie to czysta strata czasu, do tego diabelnie osłabia. Myślenie to umysłowy onanizm: im częściej to robisz, tym bardziej tego pragniesz, a kiedy zdarzy ci się chwila odsapki, już ledwo zipiesz. Gdyby dobry Bóg życzył sobie, abyśmy myśleli, uczyniłby myślenie zajęciem o niebo łatwiejszym?

Alessandro słyszał tę radę dziesiątki razy. Zastanawiał się, co by staruszek powiedział, gdyby go ujrzał teraz, uwięzionego w pułapce obu tych słodkich grzeszków. Na przepustkę miał wyjść dopiero za dziesięć dni, a samotne noce w koszarach okropnie się dłużyły. Niekiedy dochodził go daleki terkot karabinowych wystrzałów. Od czasu do czasu nad ich zamaskowanym obozem przelatywały samoloty. Raz rozpętała się chaotyczna strzelanina z broni maszynowej. Valentina obiecała, że za niego wyjdzie, nic innego nie było zatem ważne. Cyrk miał wkrótce zjechać do Gardone del Lago. Alessandro popędzi tam, zabierze ją nad wodę i każdą minutę przepustki spędzi leżąc między jej nogami albo siedząc na niej okrakiem. Być może jej uroda pozwoli mu zapomnieć o jego nowym odkryciu lub przynajmniej pogodzić się ze sobą. Tymczasem od zgaszenia światła do ранней pobudki pieścił własne ciało. Onanizował się przed zaśnięciem i o szarej godzinie przed świtem. Części karabinu, granaty, udręka musztry, wszystko schodziło na drugi plan wobec jego tęsknoty i nie zaspokojonej żądzy.

Minął styczeń i zaczął się luty, mrozy ustąpiły miejsca deszczom. Trójkątne klepisko na końcu obozu zmieniło się w błotniste grzęzawisko. Żołnierze szeptali, że już wkrótce wyślą ich na front. Przepustki skasowano, potem znów przywrócono i znowu skasowano. Cyrk, który miał przyjechać do Gardone del Lago na świętego Walentego, nie otrzymał zgody na wjazd w ważniejsze pod względem strategicznym północne rejony. Nie chciano go dopuścić tak blisko szwajcarskiej granicy. Cyrkowe wozy i cała trupa zostały skrupulatnie przeszukane i sprawdzone zarówno przez cywilne władze faszystowskie, jak i armię, i choć niczego podejrzanego się nie doszukano, zawrócono cyrkowców: kazano im zbierać nędzne żniwo na terenach, które już latem niejedyn raz objechali. Valentina napisała kochankowi, że w pierwszym tygodniu marca znajdą się o godzinę drogi od Bolonii. Alessandro związał z tym miejscem wszystkie swe nadzieje, przed oczyma miał tylko tę datę i żył jedynie pragnieniem kolejnego ujrzenia Valentiny.

Kiedy chcąc ją sobie wyobrazić, zamykał oczy, widział już tylko jej usta, kark i górną część ud. Zaczął się martwić, że może jej nie poznać. Tęsknota zżerała mu jej postać. Mała podarta czarno-biała fotografia dziewczyny, którą zaszył pod kieszonką koszuli, rozpadła się z powodu żrącego działania jego potu. Nigdy nie odważyłby się do tego przyznać Valentinie. Czuł, że gdyby jej powiedział o tej stracie, mogłaby to sobie opacznie wytłumaczyć. Na przykład dojść do wniosku, że nie troszczył się jak należy o jej zdjęcie. Z początku w ogóle nie chciała mu go dać; tak niewiele miała własnych rzeczy w zagraconym kącie cyrkowej budy, w której mieszkała. Prawie wszystkie jej majątkości mieściły się w małym naszywanym paciorkami woreczku, jednej z niewielu pamiątek, jakie zostały jej po matce. Alessandro często widywał ojca Valentiny — mężczyznę o dzikim spojrzeniu, siwych krzaczastych wąsiskach, zakręconych niczym rogi górskich kóz, chodzącego w skórzanych

butach z cholewami — ale nigdy nie widział jej matki. Nie miał pojęcia, gdzie przebywa ani czy w ogóle jeszcze żyje. Valentina często mu o niej opowiadała, ale ilekroć sam o coś zapytał, wybuchala złością. Matka Valentiny stanowiła zagadkę, której nikt z cyrkowców nie kwapił mu się wyjaśnić.

Początkowo sądził, że matką jego ukochanej była ta Cyganka, która zwrzeszczała go wtedy tam nad rzeką. Teoretycznie każda kobieta z cyrkowej trupy mogła być jego przyszłą teściową. Mogła nią być karlica, kobieta z brodą, a nawet kobieta-pająk, diablica o nienaturalnie długich ramionach. Matki Valentiny mogło już zresztą nie być na tym świecie, mogła spoczywać pod murami jednego z tych miasteczek, od których roi się mapa między Rzymem a Chiasso, między Rimini a Savona. A może leżała chora w którejś z bud albo na którejś z furmanek? Najprawdopodobniej jednak uciekła od męża i porzuciła córkę. Jakikolwiek był powód jej zniknięcia, pojawiała się wyłącznie w opowieściach Valentiny, w których występowała zawsze jako kobieta tak cnotliwa, że aż niemal święta, szafarka wszystkich rzeczy pożądanых i przyjemnych. Wedle słów Valentiny była bardzo podobna do wizerunku ukochanej Alessandra z tej zniszczonej fotografii.

— Nie dam ci jej — powiedziała Valentina.

— Ale przecież ty możesz na siebie patrzeć, kiedy tylko zechcesz! Odmienisz moje życie, jeśli mi ją dasz. Gdybyś wiedziała, jak za tobą tęsknię, nie odmawiałabyś mi.

— Wszyscy mówią, że wyglądam na niej jak wykapaną *mamma*.

— Przysięgam, że jej nie zgubię. Będę ją zawsze nosił przy sobie, a jak się pobierzemy, odzyskasz ją przecież. No więc?

Zgodziła się niechętnie, tymczasem on tak przepocił to zdjęcie, aż się podarło na strzępy. Na domiar złego pamięć — pewnie z żądzy, jaką budziła w nim Valentina — zaczęła

mu się mącić, tak zniekształcając obraz ukochanej, że nie mógł już sobie przypomnieć rysów jej cudnej twarzy.

Wojna wydawała mu się bardziej realna, zanim wyjechał z domu. Nad ich wioską regularnie przelatywały samoloty, a raz w tygodniu przechodziła jej ulicami procesja z orkiestrą. Na wzgórzach kryli się partyzanci, w radiu aż huczało od komentarzy. Chłopcy z parafii szykowali się do wyjazdu. Ci, którzy zjechali do domu na przepustki, z dumą obnosili mundury. Jeszcze inni dezertowali i uciekali do lasu, gdzie urządzano na nich obławy. Kwitł czarny rynek, osnuty podniecającą atmosferą tajemniczości, co jakiś czas przejeżdżały przez wieś wojskowe ciężarówki i niosły się po lasach naśladujące głosy ptaków nawoływania partyzantów. W dolinie buszowały bandy dezertarów z dalszych stron, którzy kradli, i spali pod gołym niebem. W wiosce Alessandra stale się coś działo. W porównaniu z tym koszarą wydawały się oazą bezpieczeństwa, jak gdyby rekrutów powołano, a następnie o nich zapomniano.

Alessandro dostał z domu paczkę. Zawierała bochen czerstwego chleba z kasztanów, owinięty w parę nieforemnych skarpet zrobionych na drutach, dzieło ich babki. Brat Marco przysyłał paczkę papierosów i list. Alessandro wyjął pół kartki w kratkę i przeczytał:

Kochany Bracie!

Syn Gelsomina wrócił z Albanii bez prawej stopy. Zasyła ci najserdeczniejsze pozdrowienia, do których przyłączamy się wszyscy, a szczególnie *la mamma*, która tak się o Ciebie martwi, że prawie nie sypia po nocach. Zimę mieliśmy ciężką. Boimy się o oliwki. Ludzie mówią, że wojna się na wiosnę skończy, póki co trzymaj się dzielnie.

Twój brat Marco

Alessandro wyrzucił skarpety i chleb, żeby koledzy się z niego nie śmiali. Na myśl o sędziwej babce, która z mozołem gręplowała wełnę, a następnie przez wiele dni zmagają

ła się z drutami i przędzą, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Inna rzecz, że nikt z rodziny nie nosił jej skarpet; wszyscy je pruli i trzymali wełnę w motkach do ponownego użytku. Cała wieś wiedziała, że babka nie umie robić na drutach ani tkać. Przybyła przed laty zza gór i dziadek ją obłaskawił. Brat zalecał Alessandrowi, żeby był dzielny. Czy można nazwać aktem męstwa granie co noc w karty z Gavarinim? Syn Gelsomina stracił stopę, tymczasem w Desenzano można było jedynie stracić drobne sumy i bezcenną fotografię.

Nim rozegrali dziesiątą partyjkę *briscoli*, Alessandro posmutniał z powodu otrzymanego listu. Chciał wrócić do domu i zanieść się płaczem, pragnął spotkać się z Valentina.

— Mówię ci, bracie, już prawie zapominam, jak ona wygląda. Czy zdołam ją sobie przypomnieć?

— Stary, bzykniesz ją i od razu sobie przypomnisz, jak to idzie i jak ona wygląda.

— Nie śmiej się ze mnie, bracie. Ja ją kocham.

— *Ai, si*, miłość — mruknął Gavarini i zerknął z niechęcią na posmutniałe oblicze Alessandra. — Słuchaj, stary, ciesz się, jeśli ona zdoła sobie przypomnieć twoją gębę. W takim cyrku nie brakuje pokus, a pod kiecką wszystkie dziewczuchy są do siebie podobne.

Alessandro rzucił karty i porwał się na niego przez stół. Gavarini odchylił się i uniknął ciosu.

— Zabiję cię za to, coś powiedział!

— Nie wąpię — stwierdził spokojnie Gavarini i odłożył karty. — Ty byś nic, tylko zabijał. Taki z ciebie siłacz, że mógłbyś służyć jako tajna broń II Duce.

Na twarzy Alessandra malowała się uraza i gniew.

— Oj, Mezzanotte, Mezzanotte, przepraszam, że znowu się z ciebie nabijam, ale sam się o to prosisz, a ja miałem taką paskudną kartę. Teraz musimy rozdawać od nowa. Zajrzyj w przyszłość, a zobaczysz, że nie warto się z tego powodu tak pieklić. Jesteśmy przyjaciółmi, nie zapominaj.

Dni wlokły się monotennie. Alessandro miał małą kryształową kulę, prezent od Valentyny. Od czasu do czasu próbował zajrzeć w przyszłość, ale nie mógł tam niczego dojrzeć. Miał dziewiętnaście lat, więc trudno by mu było wyobrazić sobie, że taka właśnie będzie jego przyszłość: ciemna i pusta. W koszarach nie mówiło się o tym, że któryś z nich mógłby zginąć. Alessandro chciał wrócić do domu, nie przewidział tylko, że zawiozą go tam zmasakrowanego, pokrytego bliznami i bez oczu. Odwiozą go do jego wsi, ale on już jej nie zobaczy.



## II

# STEFANO

### 3

**M**ara Altini zrobiła świetną partię. Jej koleżanki z klasy popełniły mezalianse i poszły za głosem serca do obskurnych piekarń i kuźni, jakich nie brakowało w parafii. Ich beczynne ciotki oceniały te awanse i upadki w czasie długich popołudniowych posiedzeń pod wiekowymi platanami na placyku przed katedrą w Castello, gdzie poddawały krytyce świat, który je ignorował, robiąc na drutach skarpetki i kominiarki dla odparcia ataku niepojętych czasów współczesnych. Obserwowały, jak dziewczęta z klasy Mary, ich chrześniaczki i siostrzenice, wychodzą za mąż powyżej lub poniżej swojej pozycji na drabinie społecznej.

— Dziewczęta są jak przyciąganie ziemskie — zgadzały się — ciągną w dół. Fruną jak plewy na wietrze, a potem spadają.

— Nie wszystkie, pamiętajcie, że Maddalena Betterelli wydała się za tego Marchese z Lazio. Jeżeli to nie jest dobra partia, to już nie wiem, co nią jest. Ojciec Maddaleny miał tylko mały handelek ramiarski, a przed nią było jeszcze siedmiu braci.

— A Mara, twoja własna Mara? Takie mięciuchne sobie umościła gniazdko, że nie będziesz jej nawet potrzebna do robienia przetworów.

Nikt prócz samej Mary Altini nie dostrzegał, że grunt usuwa się jej spod nóg. Jej małżeństwo przypominało serię egzaminów, na których się wciąż obcinała. Choćby nie wiadomo jak starała się wyuczyć poprawnych odpowiedzi, pytania i reguły nieustannie się zmieniały, więc znajdowała się zawsze na straconej pozycji. Kochała męża, ale nie potrafiła dowieść mu tego tak dobitnie, by rozwiązać jego wszystkie wątpliwości. A on wymagał dowodu, jego zawód polegał na ich wyszukiwaniu, przesiewaniu i odrzucaniu każdego, który się nie ostał pod krzyżowym ogniem pytań. Niedostateczna biegłość, jaką jego małżonka wykazywała przed tym sądem uczuć, wywoływała jego rozczarowanie, to zaś objawiało się coraz większą milkliwością. Mara robiła co mogła, żeby go zadowolić, ugłaskać i wykazać, że nie jest taką niedbałą, głupią żoną, za jaką ją uważał, on tymczasem zamykał się w milczeniu, trwającym całe dni, a nawet tygodnie. W czasie swoich samotnych godzin Mara przyglądała się podłogowym mozaikom i czuła, jak jej system nerwowy kruszy się i pęka niczym centralne rozety w czterech największych pokojach ich mieszkania. Kamyki, z jakich się sama składała, wiązała jedynie rzadka zaprawa codziennej dobroci jej gospośi Fabrizii, obecność synka, od czasu do czasu jakiś bodziec z zewnętrznego świata oraz sporadyczne chwile poprawy stosunków między nią i mężem.

Nikt nie zauważał, że Mara Altini się rozpada; trzymała to w tajemnicy, chowając się pod luźnymi, wełnianymi swetrami, jakie zawsze lubiła nosić. Mąż uznał jej bierność za pomyślny znak i dalej cierpliwie kruszył ostatnie kamyki jej odporności. Gdyby zdecydowała się z nim porozmawiać, wyjaśnić mu, że te kamyki to nie tylko resztki jej oporu przed poddaniem się jego absolutnej władzy, ale i ostatni bastion jej zdrowia psychicznego, może by się pohamował.

Kochał ją przecież i nie zamierzał doprowadzić do tego, by wycofała się w siebie tak głęboko, że już nigdy nie będzie mogła stamtąd wrócić. Chciała mu opowiedzieć o swoim rozpadzie, ale był człowiekiem zbyt zajęтым i zbyt skupionym na wykrywaniu jej błędów, żeby mieć czas na wysłuchanie żony, toteż drobne kamyki mozaiki, z jakich się składała jej dusza, skruszyły się na proch, a po osypaniu się utworzyły wyspę ruchomych piasków, na której Mara zamieszkała. Wyszła za mąż za człowieka z wyższej sfery, zdawała sobie z tego sprawę, nic więc dziwnego, że nie była w stanie osiągnąć ani jego, ani swojego małego synka, Stefana, i coraz częściej traciła ich z oczu. W czwartym roku małżeństwa wszędobylskie, nieubłagane i nieobliczalne prądy ruchomych piasków wessały jej drugie dziecko, wątłą wodnistą istotę, która żyła w niej przez pięć miesięcy, a potem się z niej wysliznęła.

— To była dziewczynka — poinformował Marę lekarz.

— Urodzi pani jeszcze niejedną. Teraz proszę zasnąć.

Czy te następne dziewczynki zjawia się, gdy będzie spała? Czy ta, którą straciła, odnajdzie się we śnie? Czy kiedy będzie spała, przyjdzie do niej mąż i dopatrzy się w niej — w kobiecie, którą kochał nad inne — czegoś, co by nie przyprawiało go o rozczarowanie? Czy Stefano przytuli się do niej i umości w jej objęciach, skryty w mroku jej snu przed surowością panujących w domu zasad? I sen wyciągnął swe ramiona i zaofiarował Marze nie tylko odpoczynek, ale i nadzieję.

Mijały tygodnie i w końcu lekarz Mary zwołał kolegów na konsylium, a oni rozpoznali jakieś zakażenie wirusowe. Orzeczenie było zbyt niejasne i mętne, by mogło zadowolić jej małżonka. Domagał się dalszych badań. Marę zawijano więc w szpitalny koc, wnoszono po kamiennych schodach na piętro, odwijano z koca, a potem znowu znoszono do jej pokoju. Przebąkiwano o *la nonna*, śpiączce, której epi-

mia szerzyła się w Castello przed sześćdziesięcioma laty. Płynęły tygodnie i przymilne perswazje przesiadującego przy łóżku Mary męża zmieniły się w polajanki. Im dłużej spała, tym bardziej podejrzewał ją o symulowanie. Raz dziennie budziła się i półprzytomnie, jak przez sen, załatwiała potrzeby fizjologiczne. Jej mążonek, *onorevole* Edoardo Altini, pędził z sądu okręgowego do domu, chcąc być obecnym przy tych krótkich przebudzeniach żony. Ponieważ słowa miłości, jakie jej prawił, okazały się nieskuteczne, chwycił się szczególnej metody tyranizowania Mary. Syn wślizgiwał się czasem za nim do domu i podsłuchiwał pod drzwiami, starając się zapamiętać niektóre z zakłęk, jakie ojciec rzucał na jego matkę, by móc je później odczynić.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, Maro, że to nieuzasadnione spanie nie może trwać wiecznie. Wszystko ma swoje granice. Ciebie, zdaje się, bawi wystawianie mnie na posmiewisko kręgów prawniczych, dowiedz się zatem, że nie zamierzam ustąpić przed twoim szantażem i tolerować dłużej tego sabotażu. To całkiem oczywiste, że takie zaniedbywanie obowiązków jest świadectwem twoich prawdziwych uczuć do mnie, aby już nie wspomnieć o Stefano, który także ma prawo do twojej troski i opieki. Twoje postępowanie to nic innego jak objaw tchórzostwa. Jutro rano masz się obudzić, słyszysz? Obudzisz się i wstaniesz jak każdy normalny człowiek!

Mijał miesiąc za miesiącem owych jutrzejszych poranków, a Mara spała jak zakłeta. Edoardo Altini sięgnął więc po broń, która okazała się tak zabójcza w pierwszym okresie ich małżeństwa: milczenie. Zaczął ignorować żonę, skoro ona ignorowała cały świat. Jego miłość do niej zaczęła usychać, zwijać się na brzegach jak jesienny liść w okowach zimy. Jej kruche jądro przetrwało, lecz reszta obumarła, skazana na śmierć z wyroku niezłomnych zasad Edoarda. Był prawnikiem specjalizującym się w sprawach karnych,

wkrótce miał zostać sędzią; sobie samemu nigdy nie pobrażał, toteż nie zamierzał psuć pobłażliwością innych. Ponieważ nie umiał sobie poradzić z wycofaniem się żony w głąb siebie, ulepszył własną skrytość — schował w głębi duszy ostatnie z czulszych uczuć, jakie żywił do Mary. Stopniowo skupił wszystkie siły na swojej profesji i wychowaniu syna, zdecydowany — jak to często powtarzał swojemu bratu Andrei — wynagrodzić chłopcu trudny start, zgotowany mu przez życie. Porażkę, jaką poniósł w edukacji żony, Edoardo Altini postanowił przekuć w sukces wobec dziecka: nie zepsuje chłopca pobłażliwością.

W pierwszym roku choroby wszyscy wierzyli, że Mara wyzdrowieje. *Gospoia Fabrizia*, która od niepamiętnych czasów — od jak dawna, nikt już właściwie nie pamiętał — prowadziła dom starej wdowy Altini, a następnie Mary od dnia jej ślubu, tłumaczyła codziennie sąsiadkom:

— Mara w gruncie rzeczy wcale nie jest chora, ona tylko śpi. Była ogromnie zmęczona, to poronienie zupełnie ją wyczerpało, ale przed końcem wiosny wydobrzeje i znów będzie zdrowa jak ryba.

Z miesiąca na miesiąc *Fabrizia* przesuwiała termin wyzdrowienia, doliczając dodatkowe tygodnie do zimowego snu swojej pani. To ona ją pielęgnowała, zmieniała pościel i skrapiała jej gładkie ciało wodą różaną. Co rano też wiązała miękką kokardę pod szyją Stefana, pakowała mu kanapki i odprowadzała go do przedszkola za kościołem, a następnie pozostawiała go tam jak porzuconą wronę wśród innych ubranych w czarne fartuszki, zbitych w gromadkę na podwórku dzieci. I to ona przyprowadzała go stamtąd do domu, gdzie, jak wierzył niezłomnie, czeka na niego przebudzona matka.

Ojciec zabronił mu przy niej przesiadywać i oświadczył *Fabrizii*, że im rzadziej chłopiec będzie ją widywał, tym lepiej. *Fabrizia* pracowała u *onorevole* Altini, gdyż wcześniej pracowała u jego matki. Ona i stara wdowa Altini przeżyły

razem dziesiątki szczęśliwych lat, podczas których Fabrizia obserwowała, jak mały Edoardo rośnie i twardnieje niczym cement specjalnego gatunku. Traktowała go jak spuściznę po kimś, kogo kochała, troszczyła się też o niego najlepiej, jak umiała, walczyła dla niego ciasto na makaron i robiła bitki cielőce równie starannie, jak to czyniła dla jego matki. Miała nadzieję, że Edoardo zmięknie po ślubie z Marą. Robiła co w jej mocy, by pomóc swej młodej pani i ją chronić. Zauważyła, że Mara cierpi, lecz nie domyślała się jak bardzo, a gdy się domyśliła, było już za późno. W nadziei, że Stefano pomoże matce wyzdrowieć, prowadziła go do jej sypialni, świadomie łamiąc zakazy jego ojca. Pozwalała chłopcu przesiadywać godzinami w zaciemnionym pokoju w zapachu mydła migdałowego i letnich kwiatów, przez który przebijała stęchlizna nie wietrzonych od dawna pomieszczeń. Malec przytulał policzek do prawie martwego policzka matki, żeby poczuć delikatne ciepło oddechu z jej nozdrzy.

Kiedy czasem we wtorki i soboty towarzyszył Fabrizii na targ, musieli często przystawać w zatłoczonych, kocimi łbami brukowanych uliczkach, bo tyle osób chciało go pogłaskać po ciemnych kędziorach i przyjrzeć mu się, jakby go już od lat nie widzieli.

— Mój Boże, ależ on wyrósł! — dziwili się, a następnie dorzucali: — Biedny gołąbeczek! — Albo: — Biedna mała kruszyna!

Niekiedy, odwracając się od chłopca, dodawali nieomal ze łzami:

— Co za straszna zbrodnia!

Stefano orientował się, że jego ojciec zostanie któregoś dnia sędzią — Altini często mu to powtarzał, wspominali też o tym jego przyjaciele — więc zajmie się wtedy tą zbrodnią, o której mówili ci ludzie. Tymczasem podświadomie sam zaczął czuć się jak zbrodniarz. Zdawał sobie sprawę, że od najwcześniejszego dzieciństwa usiłował ukry-

wać coś przed prawem, to znaczy przed ojcem. Ćwiczył się w oszustwie. Przestał wspominać o matce. Nauczyciel w szkole opowiadał im, jak ptaki wabią drapieżniki, żeby oddalić je od swoich gniazd. Stefano myślał o sobie jako o takim oddalaczu kłopotów od gniazda swojej matki. Wyglądało na to, że mu się powiodło; przez trzy lata leżała w swoim wysokim rzeźbionym łóżku w stanie półśpiączki. Jego ojciec został sędzią i posiadał władzę zamykania ludzi w więzieniu do końca ich dni.

Za miastem, dobrze jednak widoczne z otaczających je wzgórz, wznosiły się księżycowe góry. Prawie każdego roku leżał na nich śnieg i ci, którym pozwalał na to czas, jeździli tam na narty. Kiedy Stefano miał siedem lat, stryj Andrea zabierał go na narty razem ze swoją rodziną. Chłopiec wracał do Castello z głową pełną opowieści, którymi dzielił się z Fabrizią i które zwierzał szeptem matce. Nauczył się dobrze jeździć na nartach, zdobył nagrodę i pokochał śnieg. Pewnego razu pod jego nieobecność zdarzyło się nieszczęście. Kiedy wrócił do domu i wbiegł po szarych schodach do pokoju matki, stwierdził, że jej tam nie ma. Wywieziono ją gdzieś, wyrzucono z miasta do jakiegoś przytułku, położonego tak daleko, że sam nie zdołałby do niego dotrzeć. Fabrizia miała go tam zawozić dwa razy w roku pociągiem. Jego ojciec – pan sędzia, jak go teraz tytułowano – nalegał, żeby wyrażać się o Marze w czasie przeszłym, jakby umarła wtedy w lutym, kiedy Stefano jeździł na nartach w białych księżycowych górach.

Topolowa aleja prowadząca do zakonnego przytułku, w którego murach zamknięto Marę, biegła po grobli usypanej na podmokłej, bagnistej równinie. Rosnące wzdłuż niej szpalerem drzewa przypominały wdrapujących się na groblę po bitwie ocalałych żołnierzy. Wszystkie topole były stare i zmaltretowane: guzowate narośla upodabniały je do weteranów po amputacji kończyn. Stefano pierwszy raz zoba-

czył je wiosną. Skowronki polatywały nisko nad polami, a następnie w gejzerach śpiewu wzbijały się nagle z trzepotem nakrapianych skrzydeł nad mgliste opary. Z pni topól strzelały krwistoczerwone pędy, bujne jak sama szalona emanacja życia. Kierowca taksówki, która przywiozła Stefana i Fabrizię ze stacji, wysadził ich pod bramą klasztoru. Odmówił podwiezienia ich bliżej, więc musieli przebyć pieszo tę długą wilgotną aleję. Stefano odwiedzał matkę dwa razy do roku i dwa razy w roku oglądał te drzewa. Każdej jesieni przycinano im nowe pędy krótko przy guzowatych kikutach. Miał wrażenie, że te drzewa są jak nadzieja zamkniętych w klasztornych murach chorych: budziły się jedynie po to, by je wciąż od nowa przycinano z bezlitosną regularnością. Zaczął się bać tych wizyt, tego przemierzania podobnej do rękawa alei, której odradzające się nadzieje spotykała zawsze okrutna rzeź. Przebywał ją z wiarą, że doczeka się w końcu jakiegoś znaku rozpoznania, lecz nigdy go nie otrzymał podczas długich godzin spędzonych przy pogrążonej w półletargu matce.

Sen pojął ją w niewolę, ukraść jej życie. Codziennie o zachodzie słońca — o różnych więc godzinach niezależnie od pory roku, lecz zawsze o zmierzchu — Mara się budziła. Wiele razy Stefano był świadkiem tych przebudzeń, a od sióstr zakonnych wiedział, że jej zachowanie nigdy się podczas nich nie różniło. Poruszała się na łóżku po dobie całkowitego niemal bezruchu. Otwierała i zamykała usta jak pierzące się głodne piskląt dziobek. Nie wydawała żadnego dźwięku, zdawało się, że nikogo nie poznaje. Wypróżniała się do basenu, nigdy nie później niż po kilku minutach od ocknięcia się. Jeśli ta chwila minęła, a nie podano chorej ani jedzenia, ani basenu, bez protestu zapadała w trans i spała aż do następnego zachodu słońca, który znów naciskał jakiś guziczek w jej mózgu i budził ją do życia.

Stefano boleśniej odczuwał jej przebudzenia niż sen, bo



tym wyraźniej go wtedy ignorowała. Kiedy spała, mógł choć udawać przed sobą, że pozostali sobie bliscy. Przez trzy lata tak uważnie przyglądał się śpiącej matce, że sen stał się najczęstszym tematem jego rozmyślań. Próbował zgłębić jego zagadkę i treść. Usiłował sobie przypominać, co każdej nocy działo się z nim samym po zaśnięciu, stwierdził jednak, że niczego nie pamięta. Obrazował to najlepiej widok tumanu mgieł podnoszących się znad podmokłej lombardzkiej równiny i spowijających go. Wyglądało na to, że wszystkim ludziom coś się śni, co więcej – pamiętają swoje sny, on tymczasem nie pamiętał nic a nic z tego, co się z nim działo między zaśnięciem a przebudzeniem. A jeśli któreś nocy zaśnie i więcej się nie obudzi? I kiedy jego matka w końcu się ocknie, on z kolei będzie leżał pogrążony w śpiączce i rozminą się ze sobą? Fabrizia opowiadała mu, że *la nonna* wpędzała w letarg całe rodziny. Dzieci młodsze od niego wpadały w jej objęcia i nigdy się już z nich nie wyzwalały. Umierały w śpiączce.

Bał się snu, lękał się jego pustki. Bał się ciemności i lękał się matki. Budował sobie życie wokół zapominania o lęku. Były rzeczy, które ukrywał przed ojcem i takie, które ukrywał przed samym sobą. W końcu tyle ich przed sobą ukrył, że zaczął się bać samego siebie. W jego zachowaniu i sercu zaczęła rosnąć otępiałość, tymczasem ojciec z uwagą klinicysty nadzorował jego zewnętrzny wzrost i rozwój. Gdyby ktoś ośmielił mu się powiedzieć, że gubi własnego syna, zaprzeczyłby lub zbył takiego wzgardliwym wzruszeniem ramion. Giudice Altini chlubił się tym, że jest sędzią nie tylko na sali sądowej, lecz i sędzią ludzkich charakterów. Postanowił, że Stefano będzie taki jak on: będą jak dwie kropelki wody, tak wszystkim powtarzał. Chłopiec nie odziedziczył żadnych przywar matki, żadnego z jej śmiesznych urojeń. Giudice często przyciągał go do siebie przy ludziach i mówił:

– Chcesz być taki jak twój ojciec, prawda, synu? Zo-

staniesz prawnikiem, a następnie sędzią i zasiądziemy obok siebie na ławie sędziowskiej.

Wszystkie oczy zwracały się wtedy na chłopca: czy ośmieli się zbuntować, upokorzyć ojca przed jego kolegami? Stefano potrzebował ojcowskiej aprobaty, zabiegał o nią, więc odpowiadał zawsze:

— Tak, ojcze.

— Kim zostaniesz, kiedy dorośniesz? — nagabywał go dalej ojciec.

— Prawnikiem.

— Prawnikiem i kropka?

— Sędzią, ojcze — uzupełniał spiesznie Stefano, mimo to ojciec odwracał od niego wzrok, a jego twarz powlekał cięń rozczarowania. Niezależnie od tego, ile razy w ciągu wieczora padało to pytanie, Stefano winien na nie odpowiadać z niekłamanym entuzjazmem w głosie i zapalem zdolnym przekonać nieprzekonanego Giudice.

— Odniosłem dziś wrażenie, Stefano, że bez szczerego przekonania odpowiedziałeś na moje pytanie, jaką funkcję chciałbyś pełnić w palestrze. Przysięgłbym, żeś się na chwilę zawahał.

— Wcale nie, ojcze.

— Zrozum, powinieneś robić wyłącznie to, na co masz ochotę, zostawiam ci pełną swobodę wyboru. Jeśli nie interesuje cię to, czym się zajmuje twój ojciec, to wyłącznie twoja sprawa.

Wszystko było częścią wojny, każde słowo, a nawet każde danie przy obiedzie.

— Zjadłbym jeszcze trochę groszku, Stefano, może i ty miałbyś ochotę?

Nawet w najprostszym pytaniu kryły się groźne pułapki. Istniała na nie zawsze tylko jedna właściwa odpowiedź. Stefano szybko się uczył gier swojego ojca, szybciej niż niegdyś matka. Zaczął mu we wszystkim ustępować, przyjmując każdą jego propozycję jako wspianiały pomysł.

Stał się kameleonem w ludzkiej postaci, zmieniał kolory, by zadowolić ojcowskie kaprysy i napępiał bezdenną na pozór studnię sędziogo, studnię nienasyconej potrzeby zdobywania we wszystkim pewności. Każdy dzień był istną karuzelą drobnych szykan, z którymi Stefano i Fabrizia nauczyli się jakoś żyć.

Objawy starzenia się omijały matkę Stefana; lata spędzone w Lombardii nie zatarły jej dzieciennych rysów. Zmarszczki nie porały jej twarzy, skóra zachowała miękkość. Stefana dręczyła obawa, co będzie, jeśli on się w przyszłości zestarzeje, a jego matka zostanie już na zawsze zakłęta w młodość. Tymczasem Fabrizia starzała się i za siebie, i za swoją panią, więcej — za całą ludzką rasę. Ilekroć przeszła z wysiłkiem przez rynek, zbierało się zaraz konklawe plotkarek i dochodziło do zgodnego wniosku, że serce Fabrizii krwawi z tęsknoty za Marą.

Jednego lata rój os założył gniazdo w załomie kamiennego muru obok sypialni Stefana. Chłopiec po powrocie ze szkoły potrafił całymi popołudniami przyglądać się, jak owady znoszą szare błoto na budowę. Doklejały komórki do komórki, aż gniazdo wyrosło kulistym wybrzuszeniem ze ściany domu. Któregoś dnia zauważył je sędzia. Stając na parapecie okna pokoju Stefana, strącił je na ziemię. Część gniazda jednak pozostała.

— Załatwimy je raz na zawsze — oznajmił synowi podczas zamurowywania otworu szybko wiążącym cementem.

Stefano przez całą noc słyszał brzęczenie uwięzionych os usiłujących gorączkowo wydostać się z pułapki. Korzystając z ciemności próbował im pomóc krusząc mur scyzorykiem. Dłubał w cemencie i kamieniu nożyczkami, lecz nie zdołał uwolnić zdychających owadów. Poczował taką wściekłość na ojca, jak jeszcze nigdy dotąd.

Kiedy następnym razem pojechał do zakonnego przytułku w Lombardii, porzuciwszy resztki nadziei na grobli obsadzonej guzowatymi kikutami ogłowionych topól,

stwierdził, że w ciele jego matki zagnieżdżyły się umierające osy. Po latach milczenia jej piersi i głowa rozszalały się szumem ich skrzydeł. Stefano poczuł w ustach gorzką nieważność do ojca, który nawet z daleka prześladował śpiącą żonę, dręcząc ją sennymi koszmarami. Przy każdym oddechu rzeziło jej w piersiach. To rżenie nie ucichło aż do jej śmierci, która nastąpiła, gdy Stefano miał siedemnaście lat. Było następstwem zapalenia płuc, ale dla Stefana pozostało na zawsze świadectwem złości jego ojca, jak gdyby sędziemu udało się jakimś niepojętym sposobem kontrolować myśli nieprzytomnej żony. To one, te ukarane myśli, brzęczały tak w głowie Mary, uwięzione przez jej bezlitosnego męża.

Stefano żył w stanie otępienia. Prześlizgiwał się po powierzchni życia, pływając po stawie średniowiecznego miasteczka Castello z wprawą gondoliera. Im był starszy, tym głębiej ukrywał swe uczucia; w odróżnieniu od os, schowane były tak dobrze, że nawet sędzia nie zdołał ich wykryć. Dla Giudice Altiniego życie jego syna było wytyczone tak dokładnie jak drogi na rządowej mapie wojskowej. Jedynie dwie kwestie nie dawały sędziemu spokoju: towarzyskie wzięcie Stefana i jego pociąg do kieliszka. Fakt, że chłopak miał tyłu przyjaciół, świadczył w oczach sędziego o skrytym charakterze syna. A choć Altini nie orientował się, że Stefano każdego prawie wieczoru upija się do nieprzytomności, wyczuwał w jego oddechu zapach alkoholu i wiedział, że chłopak przesiaduje w barze „Italia” bez specjalnej okazji.

Jedyną słabością sędziego była miłość do szlachetnych win. W piwnicy pod jego domem znajdowało się wszystko, co Toskania ma do zaoferowania najlepszego. Posiadał wina z takich winnic z Veneto, które prawie w ogóle nie sprzedawały na rynek. Miał roczniki tak wyborne, że niejednen z jego kolegów siadał do stołu sędziego mimo niechęci do

jego osoby. Każdy, kto chciał sprawić przyjemność lub pozyskać sobie Giudice Altiniego, wiedział, że należy go obdarować jakimś winem dobrego gatunku. Sędzia miał w swoich piwnicach stojaki pełne win francuskich i niemały wybór szampanów. To on nauczył syna pić, poznawać bukiety roczników i odmian winorośli. Toteż ilekroć wyrzwał przez okno Circolo na rynek, tonący w wiecznym cieniu stojących wokół niego pałaców, i zobaczył Stefana opartego o lśniący kontuar baru „Italia”, uśmiechał się z zadowoleniem. Byli jak dwie krople wody: ojciec i syn. Jeśli zdarzyło się przypadkiem, że świadkami takich scen byli inni przebywający w magistracie prawnicy, ogarniało ich zdenerwowanie, brali bowiem skryty uśmiezek sędziego za zły znak. Wyciągali szyje, starając się dojrzeć, kto przechodzi w danej chwili przez plac, kto z kim tam rozmawia i kto może paść niebawem ofiarą wyostzonego poczucia sprawiedliwości pana sędziego.

Aż tak znaczną część powszedniego dnia w domu Stefana stanowiło wynajdywanie usprawiedliwień dla siebie i dla Fabrizii, zacieranie śladów ich potajemnych wizyt najpierw w sypialni matki, a potem w przytułku, że chłopak stał się ekspertem w stosowaniu wykrętów. Podczas gdy innym dzieciom życie rodzinne wypełniało cały niemal czas, Stefano miał pod tym względem niewiele zobowiązań, nie licząc rytualnego obiadu przygotowywanego z coraz większym wysiłkiem przez niedomagającą Fabrizię i spożywanego w atmosferze codziennych przesłuchań, które jego ojciec obmyślał podczas długich godzin spędzanych w sądzie. Stefano, niezdolny do nawiązania serdeczniejszej przyjaźni z powodu dystansu, jaki — w jego przynajmniej mniemaniu — dzielił go zawsze od świata, przyjął zasadę bycia użytecznym. Łatwo nawiązywał kontakt z otoczeniem; jeśli odczuwał do kogoś żal, ukrywał go tak skrętnie, że nikt nie dostrzegał urazy. Ilekroć jego koledzy mieli jakieś kłopoty, w dziewięciu przypadkach na dziesięć rozwiązywał je

Stefano. Nie szczędził czasu i wykazywał niespożyty energię w zdobywaniu potrzebnych zaświadczeń w labiryncie magistratu. Pełnił rolę dobrego Samarytanina, łątał wszystkie pęknięcia i szczeliny i wypełniał drobniejsze ubytki. Zdobywał zwolnienia chorobowe i zaświadczenia lekarskie, znajdował części zapasowe do samochodów, motocykli i rowerów. Wyszukiwał ustronne schronienia dla kochanków i dostarczał alibi awanturnikom. Wypełniał zalecenia i dotrzymywał towarzystwa, pełnił funkcję przyzwoitki i powiernika, na którego ramieniu można się było wyplakać. Czasem docierało do niego, że w ten sposób kupuje sobie przyjaźń, i odczuwał wstyd, przeważnie jednak świadczył różne owe usługi dobrowolnie, bezwiednie niczym lunatyk.

W wieku dwudziestu czterech lat wciąż uprawiał regularnie, choć bez zbytniego zapału, sporty, w których się niegdyś wybijał. Robił to z nawyku, odbębniając liczne mecze piłki nożnej, koszykówki i tenisa. Pił za dużo wina i za często opuszczał treningi, by utrzymać się w formie, lecz był lubiany i zbyt użyteczny, aby chciano się go pozbyć. Piąty rok studiował prawo i zanosilo się na to, że zostanie wiecznym studentem. Był zbyt bezwolny, żeby otwarcie sprzeciwić się woli ojca. Sędzia nalegał, by syn studiował prawo, więc Stefano podjął studia na wydziale prawniczym starożytnego uniwersytetu w Perugii. Przygotowywał się do egzaminów, do których potem w ogóle nie przystępował, aby wejść do palestry, do której w ogóle nie miał zamiaru wchodzić. Jednej przynajmniej słabej strony swojego charakteru był pewien: nigdy nie okaże talentu do zamykania ludzi na całe życie w więzieniu. Nie leżało w jego naturze zamurowywanie os ani kobiet. Być może dlatego, że nie śnił, kiedy spał, zaczął śnić na jawie; stał się marzycielem pozostającym w luźnym jedynie kontakcie ze światem realnym.

Stryj Andrea martwił się o bratanka. Obserwował ko-

lejne etapy jego dorastania i robił co mógł, by mu skompensować oschłość i dumę brata; zabierał go co jakiś czas na wakacje, okazywał mu serce i służył radą. Obserwował, jak Stefano po kilku narciarskich próbach zmienia się w prawdziwego wyczynowca. Miejscowa gazeta pisała o nim jako o młodym fenomenie z Castello, łowcy nagród i pucharów. Zdobył wszystkie trofea, jakie były do zdobycia w jego miasteczku, i zaniósł je sędziemu, jak pies odnosi kij swojemu panu. W tamtym czasie wciąż jeszcze próbował zadowolić ojca, nie rozumiejąc, że po kiju przyjdzie mu aporutować gałąź, po gałęzi drzewo, a po drzewie las. Nie skończyłoby się zresztą i na lesie.

Andrea Altini domyślał się, jak musi wyglądać życie u boku jego brata, sam przecież rósł w cieniu jego potwornego egoizmu. Będąc o dwa lata starszy, jakoś to przetrzymał; ciarki przebiegały mu jednak po grzbiecie, gdy próbował sobie wyobrazić, co by było, gdyby to on był młodszy. Patrzył, jak jego bratanek dorasta w samotności, osłaniany przed chłodem sędziego jedynie przez starą Fabrizię, 1 współczuł mu. Kiedy Marę na dobre zamknięto w szpitalu, chciał go wziąć do siebie, ale sędzia stanowczo się temu sprzeciwił. Edoardo nie cierpiał, by mu się wtrącano w wychowywanie syna. Mimo to Andrea przysiągł sobie, że pomoże chłopcu i faktycznie pomagał mu jak mógł. Przez sześć lat wycofywał jego nazwisko ze spisów poborowych. Biedny chłopak całe życie cierpiał surowy rygor, więc stryj pragnął, by uniknął przynajmniej wojskowego drylu. Prowadził w tej sprawie zakulisową grę ze swoim bratem. Edoardo pragnąłby widzieć syna w mundurze, pojechać na przysięgę i popić z żołnierzami, jak to sam robił, gdy był młodym chłopcem, tymczasem Andrea starał się zatrzymać Stefana w bezpiecznym schronieniu miejskich murów. Martwił się o niego. Odkąd Mara w tak tajemniczy sposób usunęła się z tego świata, bez trumny nawet i grobu, Stefano zamknął się w sobie. Wesołkowatość jedynie udawał.

Andrea był pewien, że popełniono kolejny z licznych błędów, gdy dokonano kremacji bratowej i bez uprzedzenia odesłano jej prochy. Siedemnastoletni chłopak to istota wrażliwa; przeżyty wstrząs zupełnie Stefana odmienił. Odnosiło się wrażenie, że przestało mu na czymkolwiek zależeć.

Po śmierci Mary i w nim coś umarło. Przedtem żył nadzieją, że matka się kiedyś obudzi i albo sama zbuntuje się przeciw sędziemu, albo pozwoli jemu, swojemu synowi, by ją wziął w obronę. Miał nadzieję, że ojcu choć raz zostanie dowiedzione, że popełnił błąd. Starał się uwierzyć w potęgę miłości oraz w to, że siła jego uczucia do śpiącej matki zdoła ją w końcu obudzić. Jej powrót w małej cementowej urnie, którą umieszczono na półce w grobie rodzinnym Altinich, wyglądał na boskie uprawomocnienie woli sędziego. Niechaj wszystko zostanie zacementowane i zapieczęto-owane, niechaj obumrze i będzie mu posłuszne. To wtedy Stefano zarzucił treningi i zaczął pić; wlewał w to nowe hobby nieco dawnego zapachu. Nie wkładał w nie co prawda całego serca, podobnie jak przedtem w sport, wypełniało mu jednak czas i angażowało ciało. Odkrył, że pijany potrafi śmieszyć kolegów, pijaństwo umożliwiło mu ponadto spędzanie jakoś długich godzin dzielących jeden dzień od drugiego. Zaczynał o szóstej wieczorem w barze „Italia” i rzeką z destylowanych winogron i żyta odpływał w zapomnienie. Jego koledzy mieli już przeważnie jakieś zawody lub studiowali na wydziałach, które sami sobie wybrali, niektórzy zarabiali na życie, by się utrzymać w wysokich kamiennych murach Castello. Tworzyli zwartą paczkę ludzi udających, że żyją wyłącznie dla przyjemności. Stefano był tego grona najzagorzalszym członkiem; w odróżnieniu od kolegów nie miał poza ich grupą własnego życia. Dni spędzał w otępieniu, nocami błaznował.

Pięć dni w tygodniu jeździł na uniwersytet do Perugii. Perugia była dla niego obcym lądem: cywilizacją równie da-



leką jak cywilizacja jej budowniczych, Etrusków. Przyzwyczał się mieszkać na jej wzniesieniach, lecz nie wytrzymałby na nich długo: Indianin z równin przeniesiony w góry. Tamtejsze powietrze wydawało mu się rozrzedzone, obce dla jego płuc. Z ostrożnością poruszał się po nieznanych uliczkach starożytnego miasta, czekając jedynie chwili, kiedy będzie mógł wrócić do domu. Jego serce zostało w Castello. To tam opuściła go matka. Gdyby nie umarła, gdyby nie została zamurowana w urnie na *camposanto*, wróciłaby właśnie do Castello, żeby go odnaleźć, a wtedy i on odnalazłby samego siebie, tak mu się przynajmniej zdawało. Niekiedy podczas wykładów zamyslał się i wyobrażał sobie, że wyrwano go z rodzinnego miasteczka i porzucono na pastwę śmierci jak wyciągniętą z wody rybę, która rozchyła skrzela i rzuca się na nieznamym ziemi. To znów wyobrażał sobie, również w czasie wykładów, że znajduje się na prowadzącej do przytułku grobli, pozbawiony kończyn, ze świeżo tylko zagojonymi kikutami w miejscu rąk i nóg. Oddział żołnierzy wali w mokrą trawę u korzeni zniekształconych drzew, wypłaszając kryjące się w niej kadłubki. Następnie zjawia się ojciec Stefana i jeden z żołnierzy podaje mu czarny biret, który on zakłada uśmiechając się złowrogo, po czym skinieniem głowy wskazuje żołnierzom syna, a ci odrzynają mu kikuty. Myśl, że ojciec mógłby się pojawić gdziekolwiek poza granicami Castello, była dla Stefana jeszcze bardziej przerażająca niż wyobrażanie sobie, że on, Stefano, leży porzucony gdzieś na obcej ziemi.

Nie miał najmniejszej ochoty iść do wojska, podobnie zresztą jak żaden z jego kolegów. Nie nęciła go nawet perspektywa spędzenia roku z dala od ojca, oznaczałoby to bowiem spędzenie roku z dala od Castello. Od najmłodszych lat zdawał sobie sprawę, że kwestia jego służby wojskowej stanie się terenem bitwy. Sędzia uważał stanowczo, że jego syn powinien pójść do wojska, stryj Andrea natomiast postanowił pokrzyżować bratu szyki. Stryj miał znajomości

w okręgowej komisji poborowej, toteż wszystko wskazywało na to, że jemu przypadnie zwycięstwo. Za rok i dzień miesiąc Stefano miał osiągnąć wiek, który chroniłby go przed poborem. Raz w tygodniu zachodził do biura stryja, które mieściło się na trzecim piętrze dominującego nad rynkiem ogromnego pałacu w kolorze ochry. Wypijali po szklaneczce whisky, a stryj snuł swoje opowieści, przeważnie wspomnienia o udrękach i zdradach, jakich zaznał od młodszego brata, oraz o pewnym starszym sierżancie z sadystycznymi skłonnościami, pod którym służył podczas wojny.

Jedno z ulubionych powiedzonek Andrei brzmiało: „Nie licząc odrębnej kwestii podatku dochodowego, nie uznaję łamania prawa. Ale nie uznaję też łamania charakterów młodych ludzi. W dzisiejszych czasach żyje się i tak dostatecznie ciężko, nie widzę powodu, żeby nam odbierali tę resztkę ducha, jaka nam jeszcze została”.

Stefano dziesiątki razy słyszał tę opinię. Wszystkie opowiastki Andrei składały się z powtórek.

— Twojego ojca wojna ominęła i on nigdy tego społeczeństwu nie wybaczył. Był za młody, żeby iść do wojska. Najbliżej wojaczki był wtedy, kiedy pastował mi buty. Gdy pod koniec wszyscy spylali do domu, bez przepustek, ale i bez specjalnego ryzyka, ja, psiamac, musiałem zostać. Zdawałem sobie sprawę, że wydałby mnie władzom jako dezertera, gdybym pokazał się w domu i nie okazał mu przepustki do wglądu. Mój braciszek zawsze wiedział, co jest dobre, a co złe. Ale był za smarkaty, żeby wiedzieć, co to znaczy, kiedy człowiek kuli się w okopie czekając na śmierć. Zawsze miał wyraźnie skryzalizowane przekonania Polityczne. Tylko nigdy nie uwzględniał polityki strachu. Niektórzy ludzie rodzą się już na sędziów albo na zbrodniarzy, lubią narzucać swoją wolę innym. Edoardo uważał zawsze, że ma rację, że wie instynktownie, co jest słuszne, i był dość bezwzględny w egzekwowaniu tego przekonania.

Nigdy nie okazywał wyrozumiałości dla słabości ludzkiej, choć w swojej pracy poznał przecież różne jej rodzaje. Nigdy nie akceptował zachowania odbiegającego od jego własnego. On nie chce być okrutny, on okrutny po prostu jest. No, ale ty to przecież wiesz najlepiej, mieszkacie pod jednym dachem. Daj mu tylko szansę, a zgniecie cię.

Każdego wtorkowego popołudnia Stefano siadał za szerokim kasztanowym biurkiem w gabinecie stryja i kołował złocistą whisky w szklance, starając się w nią złowić zabłąkane promienie słońca. Po tylu latach tych rutynowych spotkań przyjemnie było tak siedzieć i słuchać opisu świata według Andrei Altiniego. Wspólne wymigiwanie się od poboru zbliżyło ich bardziej niż wszystkie wspólnie spędzone wakacje. W świecie stryja Andrei istniały lądy zaludnione wyłącznie przez mrozące krew w żyłach opowieści o armii.

— Mów sobie co chcesz, Stefano, ja tam nie widzę, że bym wyniósł jakiś pożytek z wojska. Musiałem się zaciągnąć, ponieważ była wojna. I kto dziś pamięta tę wojnę? A ja dotąd pamiętam upokorzenia, jakich doznałem w wojsku. Teraz, chwalić Boga, nie toczymy wojny, więc odpada kwestia obowiązku czy tchórzostwa.

Kiedy się urodziłeś — ciągnął stryj Andrea — twoja matka poprosiła mnie o przysługę w dniu, gdy wróciła z tobą ze szpitala. Nie było w zwyczaju, żeby położnica tak zaraz po porodzie przyjmowała gości, ale ona mnie wezwała i powiada: „Pomóż mi go osłaniać, Andrea, bo nie wiem, czy sama sobie z tym poradzę.” Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, nie rozumiałem, o co jej chodzi. Niewiele też zrobiłem, żeby ciebie chronić, ani tyle, ile mogłem, żeby ją ochronić... Dostrzegasz, mam nadzieję, że robię wszystko co w mojej mocy, żeby to nadrobić.

Andrea stał się z wiekiem płacziwy. Zawsze był człowiekiem uczuciowym, ale na stare lata niektóre tematy i niektóre wspomnienia roztkliwiały go do łez. Czuł, że to, co kryło się w duszy jego bratanka, cokolwiek tam prze-

trwało, obumrze do reszty poddane drobnym szykanom koszar. Im więcej wlewał w siebie whisky, tym wyraźniej stawały mu przed oczami dni jego własnej służby wojskowej. Zawodziła go jednak pamięć, więc jego opowieści często nie trzymały się kupy. Opisywał kampanie, których nie mógł odbyć nie tylko on sam, ale żaden z włoskich żołnierzy, to znów opowiadał o pięćdziesięciu tysiącach jeńców pozostawionych na rosyjskim froncie, jak gdyby był jednym z tych, którzy zdołali się stamtąd cudem uratować. Te niezborne opowieści tak plastycznie malowały jego chorobliwą urazę do armii, że Stefano jął wzdragać się na samą myśl o koszarach równie silnie jak jego stryj. Nie martwiło go, że wspomnienia Andrei są tak chaotyczne; jego pamięć i z powrotem. Wewnętrzny zegar Stefana wskazywał zawsze jakąś godzinę z przyszłości, a myśli kręciły się bezładnie, zajęte umówionymi spotkaniami i planowanymi machinacjami, powierzchownie tylko dotykając skóry życia, tak by niczego głębiej nie poruszyć. Ledwo osuszali kryształowe szklanki, Stefano wybiegał; w pamięci zachowywał jedynie mętne wspomnienie monologu stryja. Znad połaci czerwonego dachu wpadały do gabinetu pyłki kurzu. Stefano dryfował tak jak one: biegł nie patrząc dokąd, żył nie czując, że żyje.

W dniu, w którym stryj Andrea poinformował go, że jego plany zawiodły, gdyż sędzia znowu dopiął swego i wystarał się o kartę powołania dla syna, Stefano błąkał się myślami tak daleko od gabinetu stryja, że ta nowina w ogóle do niego zrazu nie dotarła. Jego umysł był zaprzątnięty kombinowaniem, rozwiązywaniem cudzego drobnego problemu. Stefano wybierał się do urzędu skarbowego, żeby zapłacić podatek drogowy, a ruch na peryferiach miasta był wartki; trzeba będzie wziąć motorower i wyjechać wcześniej. Stryj coś do niego mówił, coś innego niż zwykle, ale

Stefano w ogóle go nie słuchał. Mózg miał jak zaszpurowany. Płyn w szklance smakował inaczej niż zwykle, Stefanowi cierpł od niego język. Miał wrażenie, że płynie pod wodą, wynurza się od czasu do czasu wynurza się dla zaczerpnięcia tchu. Spojrzał głupekowato na stryja i uśmiechając się sięgnął po szklanę.

— Powiedziałem: złe nowiny, Stefano. Twój ojciec, pan sędzia, nadział na głowę swój czarny biret i podłożył nam świnie.

Bratanek wpatrywał się w niego tępo.

— Zostałeś skazany, już stoisz pod ścianą. Za tydzień od dziś masz się stawić w koszarach w Udine.

Z jego wypowiedzi docierały do Stefana jedynie poszczególne słowa. Usłyszał: „czarny biret” i ujrzał siebie na grobli. Jacyś ludzie przycinali świeże pędy drzew, obrzynali czerwone gałązki i składali je na stosy.

— W Udine — podkreślił miękko stryj.

— W Udine? — powtórzył oszołomiony Stefano. — Dlaczego tam?

To jakby na końcu świata, gdzieś blisko końca alfabetu. Wsadzą go tam do celi, a wejście zamurują szybko wiążącym się cementem.

— Nalej sobie jeszcze szklaneczkę, Stefano, to musiało cię zdrowo rąbnąć — doradził stryj.

Rozlał resztę whisky do szklanek, jedną pchnął ostrożnie w kierunku stojącego wciąż bratanka, drugą sam podniósł do ust. Wypił niemal połowę i skrzywił się.

— Siadaj, siadaj, nie musisz jeszcze stać na bacność.

Poczuł jak jego słowa, w zamyśle żartobliwe, padają ciężko w zaległą między nimi ciszę i zapragnął je cofnąć. Chrząknął i zabębnił palcami o szklanę. Obydwaj przeżyli szok. Zbierało mu się na płacz, nie wiedział tylko, z żalu czy zawodu. Było czymś wyjątkowo irytującym, gdy po dziesięciu latach pociągania za różne sznurki i opłacania kogo trzeba, brała oto w łeb tak chytrze uknuta intryga.

Na cóż się przydają znajomości, jeśli nie można ich spożytkować dla dobra własnej rodziny?

Cały dzień poświęcił Andrea na próby naprawienia zła, jakie wyrządził jego brat. Podczas wydanego w Circolo obiadu dla Klubu Rotarian sędziemu przypadło miejsce obok Alberta Zannettiego z komisji poborowej. Przy *mas-carpone* i kawie Edoardo nachylił się do niego i rzekł:

— Wie pan, mój syn Stefano aż się rwie w tym roku do wojska.

— Doprawdy? — spytał ze zdziwieniem Zannetti i powstrzymał przełknięcie kęsa aromatycznego ciasta, żeby się lepiej rozsmakować w tak niebywałej gorliwości.

— I owszem — powtórzył sędzia. — Odnoszę wrażenie, że chciałby to już mieć za sobą.

Zannetti wysysał leguminę przez garnitur swoich nowych zębów. Następnie nałożył sobie dokładkę. Coś mu się tu nie zgadzało, postanowił o tym porozmawiać ze swoim przyjacielem Andrea.

— Odnoszę wrażenie — wyjaśnił sędzia, gdyż czuł potrzebę wytłumaczenia się, choć właściwie nie wiedział dlaczego — że chłopak chciałby trochę odetchnąć od uniwersytetu. Podejrzewam, że nie życzyłby sobie, by cały świat się zaraz o tym dowiedział, ale mam wrażenie, że chciałby się trochę wyszumieć, wyrwać stąd na parę miesięcy.

Inżynier Zannetti był człowiekiem religijnym mimo odebranego w młodości ścisłego wykształcenia i późniejszego zaangażowania w sprawy wojska. Wierzył w cuda. Czcił Najświętszą Pannę z Canoscio i regularnie pielgrzymował do Jej sanktuarium, grotty, w której znajdowała się szkatuła ze świętymi relikwiami. Zdawał sobie sprawę, iż musiałby zdarzyć się cud, by Giudice Altini zrozumiał swego syna — zresztą kogokolwiek, skoro już o tym mowa — lecz nie myślał pętać wrodzonego sobie optymizmu. Podziękował więc w duchu Najświętszej Paniency i wciągnął Stefana Altiniego na listę poborowych kierowanych do Udine. Sam

również odbywał służbę w tamtych stronach, niedaleko Triestu. Dziewczęta były tam ładne, a wino dobre. Inżynier Zannetti zachował kilka pięknych wspomnień z prześlanych wtedy nocy. Przesunął językiem po sztucznej szczęce i nagle poczuł się znowu młodzikiem. Zwrócił z lekka zamglone spojrzenie na swojego sąsiada i ogarnęły go wątpliwości, czy sędzia jest naprawdę takim człowiekiem bez serca, jak o nim opowiadają. Chłopsko się w życiu nacierpiał. Kto może wiedzieć, jak taka tajemnicza strata pięknej żony odbije się na mężczyźnie? Zannetti próbował sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby to jego Graziella zapadła w śpiączkę. Poczuł przyływ takiej troski o swoich trzech synów, że musiał się pohamować, aby nie wstać, nie poszukać ich i nie przycisnąć do serca piegowatymi rękami. Zastanawiał się, czy podobne uczucie żywi sędzia do swojego syna. Tymczasem sędzia przyglądał mu się podejrzliwie, zaniepokojony natłokiem uczuć, jakie odbijały się na twarzy inżyniera niczym zapowiedź udaru mózgowego.

— Ach, ci synowie — westchnął Zannetti. — Człowiek gotów by żyły sobie dla nich wypruć.

Sędzia pokiwał głową, ale zmilczał; kelner podsuwał im tacę z trunkami.

Zanim Andrea odkrył, co zaszło, było już za późno. Pewne sprawy dawały się czasami odkręcić, inne nie. Castello nie leżało na Południu. Tu gdy raz przystawiono pieczętkę i podpisano dokument, niewiele już można było wskórać. Na interwencje był czas przed przybicciem stempla i złożeniem podpisu. Andrea czuł się osobiście odpowiedzialny za to, co się zdarzyło. Na domiar złego chłopak nie dostał przydziału gdzieś w pobliżu, na przykład do Arezzo czy Foligno. Wysyłali go do miasta, którego nazwy używano do literowania słów: U jak Udine.

Andrea osobiście zaprowadził bratanka do fryzjera, żeby skrócił jego ciemne kędziory do przepisowej długości. Pomógł mu nawet spakować przepisowy podłużny torni-

ster. Stefano był jak oczadziały. Wiedział tylko tyle, że skoro już musi jechać do U jak Udine, pojedzie tam sam. Odmówił ojcu, gdy ten zaproponował, że go odwiezie; tak też potraktował propozycję stryja i kolegów ze swojej paczki. Po co miałby dzielić z innymi swój wstyd? Wojny może i nie będzie, jak tego co parę godzin dowodził stryj Andrea, lecz i tak wyjeżdżał dostatecznie daleko od domu. Poza obręb swojego świata, dalej niż grobla. Czuł strach żeglarza, któremu każą wypłynąć poza obszary znane z map geograficznych. Stefano nie widział bowiem większej różnicy między końcem alfabetu a końcem świata.

Andrea śnił mordercze sny, których bohaterem był jego brat. Śnił, że sędzia jest nadętym sępem, któremu stara się ukręcić łeb. Kręcąc z całych sił obiema rękami, rozciągał chudą czarną szyję, aż wydłużyła się tak, że przypominała linę, i zawiązał na niej supeł.

Andrea użył wszystkich swoich wpływów, żeby odroczyć wyrok, jaki zapadł na jego bratanka. Wiedział, że na anulowanie go nie ma nadziei: było to możliwe jedynie ze względów zdrowotnych, a Stefano był silny jak tur, o czym świadczyły dziesiątki zdobytych przez niego pucharów. Większość chłopców z Castello wykrciła się od poboru dzięki różnego rodzaju zaświadczeniom lekarskim. Nawet lekkiego platfusa można było rozplaszczyc do stopnia, który czynił kandydata niezdolnym do służby wojskowej. Sapa, zez, jakiś stary defekt urastały do ciężkich kalectw w oczach zaprzyjaźnionych lekarzy. Stefano był wszelako zdrów jak ryba.

Pewien przyjaciel Andrei ze szpitala wojskowego w Perugii znalazł w końcu wyjście z sytuacji. Po miesiącu wstępnego szkolenia w koszarach Stefano powinien się zgłosić do szpitala wojskowego i poprosić o służbę zastępczą. Zostanie wówczas przydzielony jako „towarzysz wojskowy” któremuś z miejscowych weteranów wojny. Jego



zadaniem będzie całodzienna opieka nad jednym z czterech kalek, kwalifikujących się do takiej pomocy na ich terenie. Będzie musiał stawiać się do służby w domu weterana o ósmej rano przez pięć dni w tygodniu, od poniedziałku do piątku, ale o szóstej wieczorem, jeśli tylko przydusi trochę gaz w drodze powrotnej, będzie mógł zasiąść na swoim stałym miejscu w barze „Italia” na rynku w Castello. Sędzia nie został wtajemniczony w ten plan. Miał się o nim dowiedzieć dopiero wówczas, gdy stanie się *fait accompli*.

Gudice Altini odczuwał zawód, że nie jest mu dane odwiedzić syna do Udine. Okazał to po swojemu: zaciął się w milczeniu. Najwstrętniejszą ze wszystkich przywar była dla niego niesubordynacja. Pocieszał się nadzieją, że po roku wojskowego drylu jego chłopiec się zmieni i zmadrzeje.

Kilku przyjaciół Stefana wydało na jego cześć całonocne przyjęcie pożegnalne. Uroczystość ta, która skończyła się zaledwie czterdzieści minut przed odjazdem pociągu, omal nie stała się przyczyną jego zguby. Towarzysze odwozili go na stację drogą wykutą w stoku góry, biegnącą samymi serpentynami. Stefano dostał mdłości. W powietrzu wisiał poranny chłód. Dębiny i sośniaki spowijała mgła, zwiewna mgiełka, prześwietlona pierwszym blaskiem świtu.

Stefano, kompletnie zamroczony, miał wrażenie, że przyjaciele wsadzili go na karuzelę; miotany z boku na bok na tylnym siedzeniu auta, nie był tym bynajmniej zachwycony. Radyjko ryczało melodię, którą nawet lubił, lecz nie był jej obecnie w stanie oddzielić od krzyku i śmiechu pijanych kolegów i łomotu we własnej czaszce. Później, w pociągu, zastanawiał się, dlaczego powieźli go tą boczną drogą. Czyżby chcieli, aby się pożegnał z terenami dziecięcych zabaw: zakolami rzeki, gdzie łowili ryby, leśnymi polankami, na których kosztowali pierwszych pocałunków, i kamiennymi kręgami, w których rozpalali zakazane ogniska?

W samochodzie oprócz Stefana tłoczyło się jego czterech rozochoconych przyjaciół. Ryczeli sentymentalne piosenki, nie bacząc na opłakany stan fetowanego towarzysza. Nie zareagowali, kiedy wygramolił się na trawiaste pobocze, żeby zwymiotować. Doszli do wniosku, że gdyby był zdolny wyrazić własne zdanie, życzyliby sobie, aby przyjęcie na jego cześć dalej trwało, więc trwało bez jego udziału. Wisząc za oknem, słyszał wybuchy śmiechu i dźwięki muzyki, to docierające do jego świadomości, to z niej odpływające. Towarzyszyły jeździe jak urywana melodia katarynki. Mario, jego przyjaciel jeszcze z przedszkola, pomagał mu wychylać się z auta i do niego wracać. Choć przyjaźnili się ze sobą od tak dawna, Mario jeszcze nigdy nie widział Stefana równie poważnego, aż go to w końcu zaniepokoiło.

— To ma być jazda na stację, bracie, a nie stacje Męki Pańskiej. Już piąty raz rymsnąłeś na kolana. Spóźnimy się na pociąg, jeśli masz zamiar odbyć całą *via crocis*.

Twarz Stefana rozciągnął jego słynny szeroki pusty uśmiech, który koledzy chłopaka tak lubili, wyrażający zaraźliwe poczucie radości istnienia. Rozlewał się wolno jak w letni poranek wschodzące nad widnokregiem słońce i rósł, rozciągał się do szerokości grożącej rozerwaniem oblicza Stefana na połowy. Nawet kiedy chłopak pogrążał się w pijackim zamroczeniu, uśmiech trwał. Widniał na jego twarzy nawet wtedy, gdy Stefanowi urywał się film. Koledzy za tym uśmiechem przepadali. I teraz chłopak się tak uśmiechał, pozbawiony wszystkich swoich uroków prócz tej maski, wycieńczony torsjami, spocony i drżący na drodze do innego świata.

W pociągu wcisnął się w kąt przedziału i oparł o szybę w nadziei, że będzie go podpierała, gdy wagon uniesie go w nieznaną. Skurcze żołądka towarzyszyły mu aż do Mediolanu. Dobrze znał ten szary płaski krajobraz, wiele razy przemierzał go z Fabrizią w drodze do dalekiego przytułku. Myślał o swojej matce zapieczętowanej w urnie i o Fabrizii

wsuniętej do szuflady na *camposanto*, a potem jego wspomnienia rozmyły się w stanie fatalnego ogólnego samopoczucia. Nie bardzo pamiętał, co jadł i pił poprzedniego wieczora. Jak przez mgłę przypominał sobie jakąś rybę i kilka butelek szampana, które Mario podwędził z piwnicy sędziego. Ładne przyjęcie wyprawili mu przyjaciele! Uśmiechał się do swoich myśli dopóty, dopóki nagły skurcz nie zmienił mu wyrazu twarzy w grymas bóleści. Zastanawiał się, czy razem z rybą nie połknął haczyka i czy to nie on szarpie mu teraz trzewia. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że bardziej prawdopodobne jest to, że połknął popielniczkę lub zjadł którąś z doniczek matki swojego przyjaciela. Cokolwiek to było, dosłownie go teraz skręcało, a wnętrzności próbowały wyskoczyć mu przez gardło.

Pociąg mknął przez puste tarasowate pola wysadzone na miedzach krzywymi topolami. Stefano miał świadomość, że zbliża się do miejsc, gdzie przyjdzie mu porzucić wszelką nadzieję, zdawał też sobie sprawę, że przed zgłoszeniem się w koszarach musi się choć trochę doprowadzić do porządku. Próbował tego jeszcze w pociągu, okupując kilka razy maleńką łazienkę. Obmył się gąbką i wyczyścił buty pod kranem, lecz od schylania się zrobiło mu się znowu niedobrze. Chętnie pochłonąłby teraz wiadro zimnej coca coli. Zadowolili się jej pięcioma puszkami, które kupił od kelnera przepychającego korytarzem swój wózek. Tymczasem pociąg uwoził go coraz dalej od rodzinnego miasta. Na cały długi miesiąc. Stefano nie wyobrażał sobie, jak zdoła to wytrzymać. Postara się być dzielny, lecz czy to wystarczy? Przy życiu trzymała go tylko rutyna codziennych zajęć. On i Mario wyjechali kiedyś na dwutygodniowe wakacje, zatem wiedział, co znaczy tak długa rozłąka z rodzinnym miastem. Będzie musiał jakoś wytrzymać.

Przesunął dłonią po miejscu, gdzie kędzierzawiła się kiedyś jego czupryna. Powiódł dokoła spojrzeniem; szukał pociechy w stracie, jaką poniósł. Otaczali go sami niezna-

jomi, każdy pochłonięty własnymi sprawami. Nawet ubrani w szaroniebieskie mundury pracownicy kolei byli czymś zajęci. Tylko on znajdował się o całe godziny drogi od swojej paczki: zabłąkana owieczka. Nie wygod mu będzie brakowało, tylko towarzystwa. Grupa tworzy całość, bez niej przypominał zagubiony fragment układanki. Rozejrzał się wokół, mając nadzieję, że znajdzie jakąś przyjazną twarz, znajomą układankę, w którą mógłby się wpasować. Pociąg był już prawie pusty; stał już widać od dłuższego czasu. Od jak dawna, Stefano nie wiedział. Szare światło Mediolanu wchłaniało pasażerów, potykając ich kłębiącą się masę długim przetykiem szarego peronu. Ludzie na stacji byli cieniami ludzi; on nie był ani człowiekiem, ani cieniem: był fragmentem. Cokolwiek zalegało w jego żołądku, próbowało się z niego ponownie wyszarpnąć. Nachylił się nad papierowym workiem na śmieci zawieszonym na peronowym słupie, ale nie miał już czym wymiotować: był w środku pusty. Czekala go jeszcze długa droga. Miał się stawić w miejscu, skąd już niedaleko do jugosłowiańskiej granicy. Ludzie łowili tam lipienie, i to nie żyjące się padliną szlamiaście lipienie północnej Europy, ale wspaniałe, podobne do pstrąga lipienie z Adriatyku. Tak mu powiedział Mario.

— Jak ci już zleci ten miesiąc, przyjadę i wezmę cię w obroty. Wybierzemy się na ryby, wypijemy po parę głębszych, zabawimy się i twoje wspomnienia z Udine będą od-tąd zawsze zalatywały lipieniami.

Stefano przeciskał się przez zatłoczony peron, taszcząc plecak i potykając się w drodze do następnego pociągu. Był już na Północy, w krainie topoli. Pod żadnym pozorem nie wolno mu przerwać tej podróży. Gdyby się nie stawił w koszarach, groził mu sąd wojenny, więc Stefano nie miał wyboru i musiał pchać się coraz dalej w te niegościnnie mgły. Krajobraz Północy kojarzył mu się ze stratą, a wspomnienia zabarwiały go lękiem.

# III

## WIEŚ

4

**W**ieś Mezzanottego pęczniała, potem się kurczyła i znowu pęczniała niczym harmonia w rękach akordeonisty. Po wojnie, gdy zmarli spoczęli zacementowani na *camposanto*, a ich imiona poczęły znikać z pogaduszek przy kartach, wieś dokonała bilansu swych aktywów. Roboty nie było. Wioskowi biedniacy przez całe stulecia tyrali jako drwale i tragarze w okropnych warunkach i za nędzną zapłatę. Drwale musieli mieszkać daleko od domów; piłowali tam drzewa i ładowali je na wozy lub wypalali na węgiel w ostępach okolicznych lasów. Zarabiali tyle, że starczało im ledwo na jedzenie, jeśli poprzestawali na ubogiej diecie. Wiedli życie nie tylko nędzne, ale i samotne. Ich dzieci rosły nie znając ojców, żony nie znały mężów. Drwale harowali całymi tygodniami bez dnia przerwy, spali pod gołym niebem lub na gołych deskach bydlęcych szop. Umbrowie od niepamiętnych czasów ścinałi drzewa. Nie wspomina się o tym w Biblii, choć by należało, tym się bowiem umbryjscy mężczyźni trudnili. Ścinałi drzewa dla Etrusków i dla Rzymian, dla papieży i dla Republiki. Po wojnie jednak nie chcieli tego dłużej robić.

Za wyzwolenicznymi wojskami aliantów przyszły różne nowinki. Gdzie dotąd bieżyły tylko polne trakty, wybudowano szosy. Wyzwoliciele przynieśli ze sobą nowe wynalazki: piły mechaniczne, ciężarówki, przyczepy samochodowe i gumę do żucia. Wszędzie trzeba było usuwać zniszczenia wojenne. Linie kolejowe, przecinające niegdyś wzdłuż i wszerz cały kraj, zostały zbombardowane. Brytyjczycy z istic diabelską pasją oddawali się niszczeniu państwowej sieci kolejowej. Wysadzili tory długości setek kilometrów. Podkłady kolejowe we Włoszech pochodziły głównie z lasów wokół wioski Mezzanottego. Można powiedzieć, że im dalej kładziono tory, tym dalej zapuszczali się jej mieszkańcy. Przed wojną za emigrantów i obieżyświatów uchodzili ci, którzy odważyli się rzucić okiem na obce mury Castello czy Castiglione. Wyjście za mąż i osiedlenie się w sąsiednim San Severino równało się dla dziewczyny z pójściem na emigrację.

Odkąd Mezzanotte zaczął studiować rozkłady jazdy, żeby uganiać się za Valentina Rossi i cyrkiem jej ojca, ludzie orzekli, że opętał go diabeł. Jak człowiek przy zdrowych zmysłach może chcieć opuścić swoją rodzinną wieś? Drwale ją co prawda opuszczali, ale dla nikogo nie było tajemnicą, że woleliby raczej siedzieć kołkiem w domu, niż przemierzać podmokłe bory płataniną mrocznych ścieżek. Za towarzystwo mieli tam węże i ropuchy, nad ich głowami krzyczały w nocy ptaki, a po piętach deptały im dzikie zwierzęta. Drwale byli *disgraziati*. Ludzie dobrze traktowali ich kobiety i dzieci, gdyż wiedzieli, że ci biedacy nie mają co włożyć do garnka, a ich domy obracają się w ruinę. A potem, kiedy we wsi zjawilo się wojsko, diabła zastąpiła komisja poborowa. Służba wojskowa istniała od niepamiętnych czasów, a jej ciężar spadał głównie na biedotę. Chłopak mógł jednak zawsze uciec i zaszyć się gdzieś, albo obciąć sobie palec i zdobyć w ten sposób pieczętkę w papierach. W najgorszym razie włókl się noga za nogą do Ca-

stello, skąd zabierano go na rok do koszar, które musiały mu się wydawać koszmarnym obozem koncentracyjnym, po czym, jeśli jego duch przetrwał to uwięzienie, odsyłano go z powrotem do domu.

Dla większości mieszkańców wioski, zmuszonych do opuszczenia jej opłotków, maszerowania i glansowania butów, świat zewnętrzny przedstawiał się jako jedna wielka potworność. Rok wojskowej służby oznaczał dla nich rok wysłuchiwania wrzasków w jakimś ledwo zrozumiałym języku. Oficerowie, w przeciwieństwie do nich, mówili po włosku. Konieczność noszenia butów równała się dla mieszkańców wsi torturze. Buty wkładało się na niedzielę, na wesela i na pogrzeby. Czy innym więźniom również kazano glansować ich kajdany? Czy zmuszano ich do polerowania do połysku oków i karano, jeśli żelastwo zmatowiało? Świat cyrku był dla wieśniaków zjawiskiem niezwykłym, lecz jeszcze niezwykłym wydawał się im świat koszar. Z ojca na syna przekazywano sobie opowieści o tym potwornym dopuszcie. Służbę wojskową osnuwały legendy.

Kiedy Alessandro Mezzanotte zaczął swoje miłosne podróże, wioskowa starszyzna obwołała go wariatem.

— Pomyśleć, żeby człowiek o zdrowych zmysłach robił takie rzeczy! — biadano, zebrawszy się na karty przy którymś z kuchennych stołów. — Pomyśleć, żeby chłopak wyjeżdżał ot tak sobie, i to nie do San Severino czy nawet Castello, ale hen w dalekie strony. Ten chłopak przekracza granice!

Mieszkańki domu, w którym to się działo, zajęte przy dogasającym ogniu cerowaniem lub wyszywaniem, na wzmiankę o granicach żegnały się i mamrotały pod nosem zaklęcia przeciw złym urokom. One także martwiły się wędrownkami Alessandra. We wsi dziewcząt nie brakowało, było z czego wybrać narzeczoną. Dziewcząt było więcej niż chłopców, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Kobiety tworzyły największą armię, stanowiły najliczniejszą siłę ro-

boczą, dysponowały największą liczbą głosów. Stanowiły mamroczącą pod nosem większość. Chłopak nie powinien się włóczyć po świecie, gdy we wsi jest tyle dziewczuch do wzięcia. Wszystkie kobiety we wsi miały córki, dla których o mężów było trudno. Po licha ten Alessandro tak się włóczy? To się nie godzi. Bóg raczy wiedzieć, jakiej biedy może napisać podobnym naruszeniem obyczaju. I baby znowu robiły znak krzyża. Żegnały się raczej dla podkreślenia łączących je więzów niż z religijnej gorliwości. Dotykanie własnego ciała upewniało je, że wszystko jest na miejscu, całe i zdrowe: czoło i piersi. Chytrność, macierzyństwo i płeć, to była babska trójca, końce ramion ich krzyża. Dotykanie tych punktów utwierdzało je w przekonaniu, że muszą dzień po dniu popychać naprzód świat, obracać wielkie koło życia, przerywając codzienny znój jedynie dla trudów porodu co drugi rok, po którym szybko wstawały, żeby dalej pchać, harować i popędzać życie w jego okrężnym biegu.

— Oj, *si, si* — wzdychały. W tym westchnieniu zawierało się wszystko: osąd, akceptacja, rezygnacja, nadzieja i rozpacz. Cokolwiek przynosiło im życie, kobiety miały na to gotową odpowiedź.

Mężczyźni garbili się nad kartami. Czterech grało, a chór sędziów wyrokował.

— *Dio buono* — krzyczał taki sędzia, nie bacząc na nobliwy wiek grającego. — *Dio buono*, jak ty grasz?! Co za dureń, teraz jak nic przegrasz! Wyrzuciłeś *briscole*... o słodki Jezu! — I w rozpaczce podnosił ręce do nieba.

Każdej położonej karcie towarzyszyła kłótnia, po każdej lewie wybuchały żarliwe spory. W kwestiach dotyczących gry nigdy nie było między mężczyznami zgody, choć wykazywali pełną niemal zgodność w sprawach większej wagi i teoretycznie znacznie bardziej spornych.

Wieśniacy razem stali i razem padali. Łączyły ich więzy przyjaźni, krwi lub lojalności. Kiedy zawodziło wszystko



inne, pozostawał jeszcze obyczaj. Znoje życia i warunki bytowania sprzęgały ich razem, różnice wynikały ze sprawiedliwego rozłożenia jarzma. W ich parafii bywało biednie, zdarzał się niedostatek, ale, jak to sobie często powtarzali, nikt nigdy nie głodował. Najroślejszą osobą we wsi był Marcello Pascolino, pastuch. Miał szeroką rumianą twarz i szyję niewiele ustępującą jej w obwodzie. Jego głowa i kark były jakby wyciosane z jednej bryły, niczym prymitywna rzeźba z wrytymi w kamieniu oczami, ustami i nosem, i przypominały ceber nasadzony wprost na ramiona okryte parcianą koszulą. Wiejskie dzieci zatrzymywały się i dziwowały karkowi Marcella. Nie tylko nie zwręzał się on, ale raczej rozszerzał od płatków mięsistych uszu ku dołowi. Marcello przypominał wołu w ludzkiej postaci.

— Nie wołu — poprawiał sąsiadów — a byka.

Dla zilustrowania swoich słów chwycił się wielkim łapskiem za spodnie w kroku. Słynął z jurności. Zdaniem przyjaciół bardziej od ciupciana kochał tylko brzmienie własnego głosu. Potrafił całymi godzinami bawić ich opowieściami o swoich miłosnych wyczynach. Co jakiś czas przywoływał na świadka swą chudą jak szczapa żonę.

— Widzicie wszyscy, jaka ona chuda. Ale cóż... przy mnie nie ma kiedy nabrać ciała. (Kobieta nie obrośnie tłuszczem, kiedy ma za męża karabin maszynowy?) — Robił pauzę i obejmował kručze jak kurze skrzydełka ramiona żony. — Powiedz im, Estelino, no powiedz... kim jest twój mążus? Wołem czy bykiem? No, powiedz im, powiedz...

Estelina uśmiechała się blado i potakiwała.

— Oj, *si, si* — szeptała czekając chwili, kiedy będzie mogła uwolnić ramiona z kleszczy jego niedźwiedziego uścisku.

Przyjaciele Marcella zastanawiali się za jego plecami, co by było, gdyby chuda Estelina ośmieliła mu się zaprzeczyć. Zdawali sobie jednak sprawę, jak boleśnie mogło się skończyć sprzeciwienie się woli takiego olbrzyma. Bywały prze-

cież wieczory, że musieli organizować istne spiski i podnosić rewoltę, jeśli chcieli przerwać potok jego elokwencji, jakże więc słaba kobiecina miała się na to zdobyć w pojedynkę? Inna sprawa, że przed dyktaturą, kiedy życie we wsi płynęło w większej swobodzie i prostocie, mniej było podejrzliwości, za to więcej oszukaństwa — kilku wieśniaków parzyło się z Estelina za szopą jej ojca w Nuvole. Była wówczas nieco pulchniejsza, ale w jej oczach malował się taki sam półżywy wyraz przerażonego rannego ptaka. Pod tą maską kryła się jednak zaskakująca zmysłowość. Gdyby Estelina nie słynęła z niej tak szeroko, niejeden z jej kochanków chętnie wziąłby ją sobie za żonę. Tymczasem dzielili tylko milcząco wiedzę o drzemiących w niej ogniach miłosnych. Skoro Marcello się tak przechwalał, może i miał podstawy. Zawsze chełpił się swoimi świństewkami. Świat według niego był żywym obrazem przedstawiającym spółkowanie. Brzegi rzek były ponoć przesiąknięte nasieniem Marcella. Co prawda nikt nigdy nie widział, żeby posunął się do czegoś więcej niż uszczyplenie w tyłek lub dostał w nagrodę coś więcej niż po gębie, ale kto wie...

Marcello był pierwszym we wsi mówcą, ponieważ głos miał tubalny i odznaczał się zbyt wielką krzepą, by śmiano go zakrzyczeć. Miał się nie tylko za jurnego kochanka, lecz i mądrego człowieka. Nigdy nie przyłapano go na pomyłce, więc choć mówił nieco zbyt rozwlekle jak na cierpliwość tego i owego ze słuchaczy, wieśniacy liczyli się z jego zdaniem. W odróżnieniu od innych, zbyt zmęczonych albo zbyt leniwych na wyrabianie sobie opinii, Marcello miał swoje zdanie na każdy temat. Kiedy Alessandro Mezzanotte zaczął włóczyć się po kraju, Marcello wyczerpująco wyłożył przyjaciółom, co o tym sądzi. Nie nasiedział się w ławie szkolnej dostatecznie długo, by pretendować do pracy w oświacie, mimo to miał się za nauczyciela. Swoje poglądy ubierał często w formę wykładów. Co prawda nigdy nie bił przyjaciół linijką po łapach, jak to robił jego nauczyciel, ale

coś w szerokiej chmurnej twarzy osiłka zapowiadało niedwuznacznie, że uczyniłby to bez wahania, gdyby mu przeszkadzano.

Do tematu „zakochany Alessandro” stosował swoją zwykłą metodę pytań i odpowiedzi.

— Pod czym to my teraz żyjemy? — zapytywał w charakterze zagajenia. — Żyjemy pod dykturą. Unikamy kłopotów, trzymamy się z daleka od pałek i karabinów władzy. A co otrzymujemy w zamian? — Zawieszał głos, dając uczniom okazję do zabłyśnięcia wiedzą zdobytą na ostatniej lekcji. — Otrzymujemy rozmaite przywileje. Na przykład jak urodzi się dziecko, faszyści dają nam zasiłek. Prawdę mówię czy nie?

Kowal Gelsomino, grubo starszy od Marcella, był najmniej z całej wsi podatny na jego nauki. Nieraz nazywał go profesorem od masła maślanego lub rządowym inspektorem od badania wilgotności wody. Gelsomino dużo pił, więcej od innych. Miał dobrą pamięć i ostry dowcip; nawet kiedy był pijany, lubił zakłócać ich wieczorne spotkania wtrącając swoje trzy grosze.

— Chwileczkę Profesorze, więc co to otrzymujemy, kiedy rodzi się dziecko? Powiedziałeś: przywileje? Czy to się również odnosi do drwali, którzy muszą na całe miesiące leżeć do lasu?

Marcello zignorował jego pytanie. Miał swoją ulubioną teorię, według której wioskę opasuje jakby niewidzialny mur obronny. Tak długo, jak długo wszyscy będą siedzieli w środku, nie spotka ich nic złego. Kto by jednak wykroczył poza te szranki, ściągąłby na siebie pewną zgubę, a może i sprowadził niebezpieczeństwo na resztę.

— Zewnętrzny świat jest jak wielki sagan, w którym warzy się gulasz na kuchni. Król jest teraz Imperatorem, kraj rośnie i rodzi nowe kraje: Abisynię, Albanie, a reszta alfabetu już czeka w kolejce do podboju, ale co my z tego mamy?

— Nic! — pisnął Ignazio del Galio, prawa ręka oratora Marcella. — Guzik z pętelką!

— Racja. Jesteśmy jak ślimaki przyklejone do ścian tego sagana. Żyjemy we własnej kolonii, w naszej ślimaczej wspólnocie. Ci co siedzą najbliżej rozpalonych ścian cierpią najsrożej. Reszta ma się kapinkę lepiej, bo siedzi na ich grzbietach. Musimy trzymać się razem i nie wychylać nosa na świat, który w tym saganie bulgocze. Ten twój chłopak, Secondo, może marnie skończyć. Włóczęga to nie dla nas. Ciekaw jestem, swoją drogą, skąd on bierze siły na takie szwendanie się i tłuczenie pociągami?

— Jest zakochany, Marcello. Ślepy z miłości jak kret. Powiada, że powiesi się na tej olsze nad rzeką jak jego kuzyn Albertino, jeśli nie będzie mógł jeździć za tą kreaturą z cyrku. Zapowiedziałem mu, żeby jej noga mi tu nigdy nie stała. Nie chcę pochylić się nad kołyską i stwierdzić, że mój wnuk ma nogi jak pajak. Ale on powiada, Marcello, że się na śmierć zadurzył. Co mogę zrobić? Widzisz/jdyktatura rządzi na zewnątrz, ale i w naszych domach panuje anarchia?)Synowie robią co chcą. Mój ojciec by go zabił, lecz kimże ja jestem, abym miał rozsądzać, co mojemu chłopcu wolno, a co nie? Ja, który przerachowałem się w plonach, teraz mogę rozmyślać wieczorami tylko o swoich długach.

Wybuch wojny zniszczył wiele rzeczy, wśród nich teorię przetrwania Marcella. Wrzący gulasz wylał się z jego sagana i sparzył wszystkie kolonie ślimaków przywarte do ścian naczynia. Marcello wycofał się do swojej muszli, zбитy z pantałyku i rozczarowany. W pierwszych latach wojny wieś podzieliła się na tych, którzy czynnie wspierali partyzantów oraz na tych, którzy popierali ich biernie, co stało się kością niezgody. We wsi zabrakło rzecznika. Zachęcano Marcella, żeby wygłosił swoją opinię na temat toczących się wydarzeń, na co odburknął jedynie kwaśno: „Ja? Dlaczego ja? Przecież ja nie mówię po niemiecku”.

Niektórzy z wieśniaków byli zbyt zmęczeni lub zbyt

zajęci własnymi sprawami, aby w ogóle się w cokolwiek angażować, czy to aktywnie, czy biernie. Ignorowali wojnę, oddając jej synów z taką samą rezygnacją, z jaką posyłali ich co roku do młócki na klepisko, mając nadzieję, że wszyscy powrócą, choć zdawali sobie sprawę, że pewnie i nie wszyscy. We wsi było więcej socjalistów niż faszystów, gdyż partyzanci zjawili się tam pierwsi, a że prawie wszyscy jej mieszkańcy byli ze sobą spowinowaceni, cechowała ich skłonność do stadnych zachowań. Przeciwnicy partyzantów nie mówili głośno o swojej niechęci, przynajmniej nie do ucha władzy. Ponieważ to głównie komisja poborowa kradła im synów, ich sympatie zwróciły się w stronę partii, na której czele stali znani im ludzie, przemawiający językiem dla nich zrozumiałym. Nie mieli teraz dość czasu na karty i sprzeczki, a ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyli, była dezintegracja. Zrozumieli poniewczasie, jakim dobrodziejstwem było mieć Marcella za tłumacza między sobą i światem zewnętrznym.

Kiedy syn Gelsomina wrócił z wojska bez prawej stopy, ubytek ów przydał jak gdyby znaczenia jego ojcu. Przyjaciele Gelsomina zaczęli się do niego zwracać o radę i Gelsomino jął niebawem wygłaszać opinie, zastępując Marcella w roli wioskowego publicysty.

— Wedle mego zdania — objaśniał — są dwa rodzaje kłopotów: kłopot wielki i kłopot mały. Pierwszy jest luksusem, drugi przekleństwem. Nieraz wychodziliśmy w pole, żeby łapać w sieci skowronki. A teraz, *Dio buono*, staliśmy się sami, nie pytajcie mnie tylko jak ani dlaczego, jak te bezbronne ptaszęta. Ano, powiecie, że nadszedł nasz czas, trzeba się szykować na ukręcanie szyjki, ale jest gorzej, o wiele gorzej, niż się wam wydaje. Wpadliśmy w wielki kłopot. Możemy się pocieszać, że to się skończy do wiosny, jakeśmy się w ubiegłym roku pocieszali, tymczasem żołnierze wciąż tratują nasze pola i grabią nasze chaty. Robimy co w naszej mocy, przykazujemy naszym dzieciakom posłu-

szeństwo, lejemy smarkaczy, każemy im się zachowywać jak należy. Zamykamy córki, a wiecie równie dobrze jak ja, że gdybyśmy mogli, zamykalibyśmy im majtki na kłódkę. I co? Odchodzą od nas. Rozum i rozsądek odchodzą z tego świata... Ano — zakończył i wskazał na siebie oskarżycielsko obiema rękami — czy nie prawda?

Massimo, wuj Alessandra, podniósł się z krzesła.

— Mów dalej, mów. Co byście powiedzieli na jeszcze trochę wina? Jestem zdania, że lepiej je wyłopać, bo jak je znajdują faszyci, i tak wszystko zabiorą, więc lepiej ich ubiec. Ale co ma wojna do mojego siostrzeńca?

— Wiesz, gdzie trzymamy wino, Massimo, nalej sobie. Zwykle nie robisz takich ceregieli, coś dzisiaj taki oficjalny? Giuseppina! — krzyknął Gelsomino, choć żona siedziała od niego ledwo o metr. — Przynieś no wina. Idź po nie z Massimem do piwnicy.

— Sama pójde — odburknęła kobiecina, wytarła ręce w gruby fartuch i położyła śpiące niemowlę na kolanach Massima.

Gdy Giuseppina wyjęła zatyczkę ze skobla, wiatr pchnął drzwi i w izbie powiało wieczornym chłodem. Zapadła nagle cisza, którą przerwał Gelsomino:

— A mój chłopiec na stację kolejową już nie pójdzie, choć dużo bym dał, żeby mógł.

Jego syn bez jednej stopy leżał teraz pewnie koło studni w szopie z sianem, gdzie wieczorami zbierali się chłopcy. Jeśli udało im się zdobyć dość wina, pewnie się już popili. Był sobotni wieczór. Pójdą potem włóczyć się po wzgórzach, gwizdząc sobie na godzinę policyjną, szukając, gdzie by się zabawić. Jeśli nie znajdą nigdzie potańcówki, II Galio rozciągnie harmonię Elia Mezzanottego i przygra im do tańca. Syn Gelsomina nie zatańczy.

Gelsomino wiedział, że niektórzy młodzi ze wsi podziwiali Alessandra za jego odwagę. Chłopak ośmielił się przekroczyć granice i nauczył się żeglować po świecie.

Udawali, że się z niego naśmiewają, ale w duchu zazdrościli mu, że skosztował gulaszu z sagana. Przed wojną zjechał w pogoni za cyrkiem wszystkie centralne regiony kraju, a i teraz, rzucając wyzwanie historii, jeździł za nim wszędzie. Nie tak często, co prawda, i w mundurze, ale przecież jeździł.

Dziewczęta chętnie zawarłyby bliższą znajomość z tym egzotycznym śmiałkiem, ale on był stale nieobecny — jak nie w podróży, to nieobecny duchem. Ignorował je, odrzucając nawet najśmielsze ich zaloty. Odsunął się też od dawnych przyjaciół. Myślał tylko o Valentinie: nieznanym z innego świata, o której nic nie wiedzieli. W każdy dzień świąteczny wypuszczał się w drogę, czym ich zarazem obrażał i poniżał. Podziwiali go i zazdrościli mu nie tylko jego podróży, lecz i miłosnej pasji. Romantycy zazdrościli mu miłości, nastroszeni mniej romantycznie — seksu, na którym mu nie zbywało. I jedni, i drudzy widzieli w nim bohatera.

Po roku 1939 i jeszcze jakiś czas po wojnie we wsi ciągnięto losy, kto pojedzie do Voltery po sól. Chłopcy jeździli tam po trzech na rowerach, tłukąc się godzinami po piaszczystych gościńcach, zatrzymując się na nocleg w drodze w tamtą stronę, a z powrotem wioząc w zaszytych woreczkach bryłki soli. Dzięki tym wyprawom poznali świat, ten świat za krawędzią, tę otchłań, w którą się wpada, kiedy człowiek ośmieli się przekroczyć granice swojej wsi. Zobaczyli rzeczy straszne i podniecające, kuszące i zwariowane. Uwzględniając wszystkie blaski i cienie, ten skurczybyk Alessandro Mezzanotte był szczęściarzem, który mieszkał między nimi jak przelotny ptak.

Kiedy go wzięli do wojska, żalowano go chyba mniej niż innych poborowych. Tak często wszak bywał i wcześniej nieobecny. Nie miał już przyjaciół, a obaj jego bracia jeszcze przed jego wyjazdem poszli w góry. Tylko matka za nim tęskniła. Ona, która dotąd najbardziej kochała Elia,

teraz przelała swoje uczucia na najmłodszego syna; związała z nim wszystkie swe nadzieje, jak z jakimś nowym i cudownym drzewem mającym wydać owoc, który będzie osłodą jej ostatnich dni. Tęskniła za jego senną przygarbioną postacią, snującą się po ich zagraconej chacie, brakowało jej atmosfery buntu, jaką wnosił. Secondo już na niego nie napadał, więc nie musiała go bronić, choćby i milcząco. Jej mąż stał się tak ocieślały i cichy jak pogrążone w zimowym śnie zwierzę. Niezależnie od pory roku siedział zgarbiony przy kuchni i z nieobecny spojrzaniem ćmił fajkę.

I on, o czym jego żona nie wiedziała, tęsknił za najmłodszym synem. Buntownicze wycieczki Alessandra obudziły i w ojcu ciekawość świata. Była ona światu niechętna, ale jednak w Secondo powstawała, ożywiała się wieczorami, a wieczory miał teraz wolne. Najmłodsza z rodzeństwa, Elena, młodsza od Alessandra o pięć lat, ubóstwiała brata. Ponieważ od piętnastego roku życia pochłaniała go miłość, prawie nie zauważał tej małej, gotowej na każde jego skinienie, włóczącej się za nim wszędzie dziewczynki. Pędził ją czasem od siebie, czasem posyłał po drobne sprawunki, ale przeważnie nie zauważał jej obecności. Dzielili jedną izbę; Elena spała za przybitym do krokwi parawanem z juty. Jego siostra o kasztanowych warkoczach, piwnych oczach i pachnących czosnkiem palcach także tęskniła za bratem.

Na długo przed powrotem Alessandra z wojny Secondo Mezzanotte otrzymał list z wiadomością, że jego syn został ranny w akcji. Agostina chciała zaraz jechać na Północ, żeby go odszukać. Chciała pocieszyć leżącego w szpitalu syna, wyznać mu, jak bardzo za nim tęskniła, jak go jej brakowało, jak odmieni się teraz ich życie. Chciała go zapewnić, że usunie z ich domu pustkę i — jak to niegdyś uczyniła jej matka — wypełni miejsce po niej miłością i ciepłem. Postanowiła, że dopomoże mu posłubić tę dziewczynę, tę Valentinę z cyrku. Wystąpi przeciw mężowi i pobłogosławi



młodych na ślubie. Prośbą i groźbą wydusi z Seconda zgodę i przyjmie synową w progi swego domu. Stawi czoło sąsiedzkim plotkom, a gdy będzie trzeba, jeśli z tego związku urodzi się dziecko z nienaturalnie owłosionymi rączkami i nóżkami lub nadmierną liczbą kończyn, pomoże ukryć je przed światem. Nie mogła się już doczekać, kiedy oznajmi to wszystko Alessandrowi, i będzie odtąd stała murem przy swoim synu jak tyle matek we wsi.

Chciała lecieć do niego w te pędy, lecz świat był labiryntem, w którym nie umiała się poruszać. Choćby nawet posiadała odpowiednią sumę pieniędzy, choćby zebrała się na odwagę i wsiadła do autobusu, który raz dziennie odjeżdżał do Castello, choćby się jej nawet poszczęściło i znalazłaby przewoźnika, który przewiózłby ją na drugi brzeg Tybru, czy wiedziałyby, co począć dalej? Alessandro przebywał w mieście, którego dziwnej nazwy nawet zapamiętać nie umiała. Wpadała w przygnębienie na samą myśl o nim, nie mówiąc już o pojechaniu tam. Trzeba by się przesiadać z pociągu na pociąg i wydać dużo pieniędzy, których przecież nie mieli. Starsi chłopcy siedzieli w górach. Piwnica świeciła pustką. Faszyści zarekwirowali tę resztkę zapasów, jakie Agostina mogłaby ewentualnie sprzedać, na przykład miód i jajka. Secondo zgubił duszę gdzieś między Zeno Poggio a ich kamienną chatą i wypatrywał jej teraz w płomieniach ognia. Szukał jej tam od tak dawna, że całkiem prawie stracił głos. Przypominał Agostinie jej niemą i opuszczoną bratową Esmeraldę, która mieszkała na wzgórzu po drugiej stronie doliny. Elene starała się pocieszać matkę, ale ta marzyła tylko o tym, żeby przytulić do serca Alessandra.

Opowiadano potem we wsi, że Agostina nigdy nie otrząsnęła się z szoku, jaki przeżyła na widok syna w szpitalu wojskowym w Perugii. Przewieziono go tam zaraz po „wypadku”. Elena pierwsza zapytała o znaczenie słowa, które zaczęto tak często powtarzać w ich domu.

— Wiec wojna to wypadek, *mamma*? Czy to wypadek, kiedy bomby wypadają z samolotów?

Niektórych spraw nie nazywa się jednak po imieniu, to też wszyscy określali nieszczęście Alessandra mianem „wypadku”. Agostina nie była nigdy dalej niż w Perugii, dalej niż w Castello. Kiedyś nawet marzyła o wyrwaniu się z doliny, ale znalazłszy się teraz w tym szerokim świecie, poczuła się winna, winna, że pragnęła czegoś, z czego zrodziło się nieszczęście. Wiedziała, że jej syn został ranny, wiedziała, że przeszedł serię operacji. Prosiła Boga, żeby Alessandro ucieszył się na jej widok i wybaczył te niemądre okresy milczenia z przeszłości. Modliła się, żeby dało się jeszcze coś naprawić w sprawie jego dziewczyny. Zamęt i strach, towarzyszące Agostinie w drodze do Perugii i potem przez miasto, zniosła z młodzieńczym niemal humorem. Obiecała sobie nawet, że przebaczy Secondowi jego wieczne ponuractwo. Postanowiła, że po powrocie z podróży wejdzie do domu i wyciągnie męża z zadymionej izby na tętniący życiem świat.

Kiedy znalazła się w końcu na oddziale o nazwie „chirurgia męska”, była tak podniecona, że ledwo mogła iść. Towarzyszyła jej Elena. To dzięki Elenie dotarły tak daleko. To córka przeprowadziła ją między rzędami łóżek, na których leżeli pokotem ranni. Śmierdziało tam eterem i nieświeżą krwią. Na oddziale panowała duchota, a w powietrzu wisiała złagodzona mydłem woń wydzielin. Niektórzy żołnierze byli tak ciężko ranni, iż Agostina musiała się przełamywać, aby na nich spojrzeć, że jednak szukała syna, który także był ranny, zmuszała się do zagłądania we wszystkie mijane twarze, by mieć pewność, że nie przejdzie obok swojego dziecka nie poznawszy go. Za każdym razem, gdy mijała łóżko z ciężiej rannym, serce skakało jej do gardła z przerażenia, a następnie z powodu ulgi. Podano im numer łóżka. Wszystkie były ponumerowane. Alessandra miało numer dwadzieścia dwa. Kiedy pielęgniarka podawała

im ten numer, Agostina miała ochotę zaprzeczyć i sprostować: „Nie, on nie ma dwudziestu dwóch lat, dopiero dwadzieścia, urodził się w roku 1922.” Nie powiedziała jednak nic, gdyż pielęgniarka miała groźny wąsik i duży kieszonkowy zegarek, na który bez przerwy zerkiała, jakby chciała powiedzieć: „Zabieracie mi tylko czas”.

Kiedy stanęły w końcu przed łóżkiem numer dwadzieścia dwa, Agostina ledwo na nie spojrzała i zaraz się odwróciła.

— Wiedziałam — oświadczyła nieomal z triumfem — że ta wąsata siostra się myli. Czułam to. Tylko gdzie jest Alessandro? Jak my go teraz znajdziemy pośród tylu mężczyzn?

Elena nie odpowiedziała matce. Podeszła do łóżka. Kiedy Agostina patrzyła na twarze leżących, ona przyglądała się rękom. Dotknęła zaciśniętej na szpitalnej kołdrze dłoni brata. Po drugiej stronie jego tułowia, tam gdzie powinno się znajdować jego prawe ramię, sterczał jedynie ciasno obandażowany kikut. Matka wodziła smutnymi oczami po sali o wysokim sklepieniu. Wciśnięta twarzą w poduszkę zabandażowana głowa nie świadczyła wcale, że tyle tylko zostało z syna Agostiny. Elena dotknęła ocalałej dłoni brata, lecz ta cofnęła się szybko — ranny odmówił przyjęcia pocieszenia.

Spod bandaża owijającego twarz zaczęły się wydobywać jakieś dziwne odgłosy. Przypominały dźwięki dolatujące z szopy, w której szlachtują świnie, zwierzęce jęki, jakie następują po cięciu noża. Elena poczuła się zupełnie bezradna i rozplakała się. Tam gdzie powinna się znajdować twarz Alessandra, przesiąkała przez bandażę krew.

— Pomóżcie mu, błagam, niech mu ktoś pomoże, to mój brat! — wołała przez łyzy.

Agostina nie słyszała córki, była głucha na jej płacz i błagania. Słyszała tylko odgłosy, jakie wydawał jej syn, i poznała w nich zduszony płacz swojego konającego

dziecka. Bóg przed tyloma już laty powołał do siebie czwórkę jej drobiazgu, a oto znowu słyszała Alvara, ich pierworodnego, który zawinięty w powijaki dusił się, bulgocząc przez zajęte dyfterytem gardło.

A teraz Bóg zabrał jej najmłodszego i zmienił go w wijącą się larwę jakiegoś monstrualnego owada. Zmusiła się do spojżenia na przykryty kołdrą kształt na łóżku. Kiedy stwierdziła, że Alessandro nie ma ręki, wezbrała w niej dzika wściekłość. Poczowała przemożne pragnienie, żeby mu ją zwrócić. Zapragnęła ją podnieść i położyć obok niego, tam gdzie jej miejsce. Zapragnęła odszukać wąsatą siostrę i nakazać jej, a choćby i zmusić, by mu oddała rękę. Potrząsnie nią z całej siły. Jak śmieli odcinać mu rękę, jak śmieli tak okaleczyć jej syna? Nie wiedziała jeszcze, że stracił również oczy, bo gdyby wiedziała, zażądałaby, aby je także zwrócono, aby je położono na zakrwawionej gazie nad wyłupionymi oczodołami, tam gdzie ich miejsce.

Przywieźli go jej dopiero w pół roku później, w 1943, białą karetką, tak szeroką, że nie zmieściła się w wąskiej uliczki wioski. Zatrzymała się przy zrujnowanym prześle kamiennego akwaduktu, który spinał niegdyś oba krańce wsi. Rodzinę uprzedzono, że przywiozą Alessandra tego właśnie dnia. Elena i przyjaciele jej brata udekorowali na jego powitanie kościół: zapomnieli, że Alessandro jest niewidomy. Kolorowe chorągiewki zeszytywniały na mrozie. W pierwszych dniach po jego powrocie, a nawet przez kilka następnych lat, jego bliscy wciąż zapominali, jak zupełna jest ślepotą ślepców.

Agostina bardzo się postarzała między pierwszymi odwiedzinami w szpitalu wojskowym a powrotem syna do domu. Żółtawa siwizna okryła jej włosy, a mięśnie twarzy zwiotczały, co nadawało jej wygląd osoby znajdującej się stale na granicy łoża.

Elena i wuj Massimo przeprowadzili Alessandra przez

wieś pod próg rodzinnej chaty. Ramię, za które ujmowała go Elena, było zrobione z plastyku. Wyziębło w drodze z Perugii; przyciskał je prawdopodobnie do szyby ambulansu. Było zimne, twarde i straszne. Z uczuciem winy zerknęła na brata, by sprawdzić, czy nie spostrzegł jej odrzazy. Oczodoły zaszyto mu w sposób pośredni między artystycznym ścięciem, jaki wychodził spod igły ich matki, a jej partacką łątaniną. W miejscu gdzie powinny się znajdować oczy, widniały dwie zacerowane dziury; reszta jego twarzy wyglądała gorzej niż cerowane skarpety babki. Była poprzecinana, pokreślona i nabrzmiała od blizn, mnóstwa ładnie oszpecających jego ładne niegdyś rysy. Elena wzdrygnęła się.

— *Dio buono*, witaj w domu.

Chrząknął coś, czego nie zrozumiała.

Ścisnęła go za rękę, i przypomniała sobie zaraz, że to przecież nie jego ręka, ale rządowa proteza. Miał szczęście, że w ogóle ją dostał, powiedziano jej w Castello, dla większości weteranów nie starczało protez. Szczęściarz, mówili o nim zawsze dzieci. Wprowadziła go do chłodnej i ciemnej kuchni ich domu. Choć kilka razy potknął się na schodach, poszło jej to łatwiej, niż jemu szło później wprowadzanie siostry w tajemniczy świat ciemności.

Mieszkańcy wsi nie byli zgodni co do tego, kiedy dokładnie Mezzanotte zaczął włóczyć się po ulicach muskając ręką kamienne mury i zbierać plotki. Co jakiś czas wybuchały na ten temat spory między mężczyznami, których losy wyrzuciły ze wsi, a którzy teraz wracali do domów i niszali jak na nitkę paciorki gromadzkiej historii, odtwarzając wydarzenia z lat swego wygnania. Wyjechali zaraz po wojnie, kiedy trudno było o pracę i brakowało jedzenia. Poruszył ich exodus pokładów kolejowych; opuścili wioskę tropem przyczep leśników, załadowanych miejscowymi dębami. Pojechali do Mediolanu do pracy na budowach i podnosili to miasto z gruzów. Wielu z nich wyjechało jeszcze dalej, do Szwajcarii, gdzie było łatwiej o pracę i można było dobrze zarobić. Wyjeżdżało właśnie pokolenie Alessandra Mezzanottego, a także chłopcy z młodszych roczników, oddając swoją dumę wraz z paszportami celnikom na podniebnej szwajcarskiej granicy.

Brygady szwajcarskie żyły w hańbie i poniżeniu. Robotnicy pogardzani przez swoich gospodarzy, byli traktowani gorzej niż bydło. Jak sami o tym mówili: „Za bydło musisz

dużo zapłacić, ale potem należy do ciebie, a my, imigranci, przychodziliśmy i odchodzili." Ponieważ byli robotnikami wykwalifikowanymi — większość stanowili rzemieślnicy: stolarze, kowale, murarze — zatrudniono ich głównie do pracy w kościołach. Nad brzegami jezior odbudowywali zgrabiętymi z zimna rękami surowe kamienne świątynie wzniesione ku czci zimnego Boga Alp. W przybytkach tych nie było posążków Madonny ani świec i niewiele wisiało obrazów, toteż nawet kościoły ukazywały przybyszom z Południa oblicza nieprzyjazne i posępne. Gdziekolwiek pracowali, biegli myślą do swojego kościoła Santa Maria. Wspominali dumę ich matek, bogato wyszywane zasłony ołtarza, cienkie pachnące świece, nalot kopca na żebrowanych sklepieniach, kwiaty, wykonane za pomocą szablonu ozdobne malowidła za chórem i posąg Najświętszej Panny. Wcześniej nie zdawali sobie w pełni sprawy, ile dla nich znaczył ich mały kościółek. Kościół był domeną bab. Obiecywali sobie, że po powrocie będą chodzić regularnie na niedzielne nabożeństwa. Będą prowadzili na msze swoje nie narodzone jeszcze dzieci i wpoją im wagę ciepła i miłości. Ich dzieci nigdy nie zaznają takiej poniewierki, jaka im przypadła w udziale. Nie staną się wygnańcami na cudzej ziemi. Będą dumne z płynącej w ich żyłach umbryjskiej krwi, lecz nie tak jak szaleńczy Dyktator. Ich uczucie będzie trwalsze i szlachetniejsze: będzie zdrową dumą z rodzinnej wioski.

Robotnicy-wygnańcy jeździli do domu, żeby wybrać sobie żony; kursowali między skwarnym latem Castello a chłodem zdyscyplinowanej Szwajcarii. Szwajcarzy żyli dostatnio, w zbytku, który na przyjezdnych czynił wrażenie rzeczywistości rodem z literatury science fiction. Wrogość do nich była powszechna, choć zdarzały się szczeliny w tej zbroi północnej niechęci, jak na przykład ta dziwna szwajcarska rodzina, która starała się im nagradzać niesprawiedliwość, a często i brutalność sąsiadów. Ani jeden

z Umbrian nie został jednak 'w Alpach. Wszyscy wrócili, jak to zresztą zapowiedzieli, aby osiąść we wsi, skąd ich wygnała bieda. Wracali z pieniędzmi, dzięki którym mogli się ożenić i żyć jak ludzie, a nie woły robocze. Wojna odmieniła wszystko.

Wśród emigrantów z brygad szwajcarskich, gdy w końcu wrócili do domu, obudziła się zazdrość o minione lata. Chcieli wiedzieć o wszystkim, w najdrobniejszych szczegółach, co się zdarzyło pod ich nieobecność. Pragnęli się więc dowiedzieć i tego, kiedy Mezzanotte opuścił mroczną chatę i wyniósł swoją wieczną noc na światło dnia. Czy był na pogrzebie ojca? Czy siedział w domu, czy błakał się po wsi, kiedy Secondo umierał przy piecu? Czy wyprowadziła go potem jego owdowiała matka, czy Elenita, jego siostra? Partyjki kart nabrały fundamentalnego znaczenia; przesiewano podczas nich i wymieniano informacje. Gracze i kibice układali i zatwierdzali kronikę wydarzeń, racząc się nadwyżkami miejscowego wina i wznosząc toasty za lata minione i przyszłą pomyślność.

Ustalono więc, że Elenita zmarła na chińską gripę w roku 1946, a Secondo, jej ojciec, złożony tą samą chorobą przewrócił się co prawda na dogasający żar, ale ani nie spłonął w palenisku, ani nie umarł „od wirusa”: umarł na polu *padrone*, na którym przetyrał całe życie. Potężny atak serca wstrząsnął nim tak, jakby go kopnął jeden z tych nowych drutów elektrycznych. Nim Secondo upadł w kłoszące się zboże, coś głośno krzyknął, aż zerwała się w niebo chmara skowronków i krążyła nad konającym. Zgodzono się ostatecznie, że Alessandro był na pogrzebie ojca, podobnie jak na pogrzebie siostry. Prawdę powiedziawszy, choć nie wszyscy zauważyli jego obecność, stał pod *camposanto* za każdym razem, gdy chowano kogoś z jego przyjaciół lub rodziny — a więc często. Musiał zatem stać tam i wtedy, kiedy grzebano zmarłą w czasie połogu młodą żonę Marca. Zaraz po pogrzebie Marco pojechał do Mediola-



nu, skąd nigdy nie napisał do matki i do ślepego brata. Spodziewali się, że wróci na Wielkanoc albo Capodanno, ale nie wrócił. Agostina miała nadzieję, że przyjedzie na pogrzeb ojca, lecz się nie pokazał, więc dla wszystkich stało się jasne, że wchłonął go szeroki świat.

— Kiedy się nad tym lepiej zastanowić — powtarzał Estelio kompanom od kieliszka w nowym barze — ci Mezzanotte to pechowa rodzina. Wymarli co do jednego. Weźcie tylko: czworo dzieci, wujowie, ciotki, powinni mieć teraz kupę kuzynów, wnuków... Secondo wiedział, nad czym się tak smuci przy tym kuchennym piecu. A powtarzaliśmy mu wszyscy: „Głowa do góry, Secondo, nie jest aż tak źle”.

— Oj, *si, si* — wtrącał się Gelsomino, który wciąż zabierał głos na tych towarzyskich zebraniach; miał go jeszcze zabierać jako dziecięciniały starzec. — Ano, widać to prawda, biedaczysko zajrzał w przyszłość i zobaczył, że cała jego rodzina wymrze. Dobry Pan Bóg też się czasami mści, i oto macie: cała rodzina wymarła, do szczętu wytracona.

— Mezzanotte jako jedyny we wsi nie ma żadnych krewnych — zauważył Estelio.

— Ma przyjaciół. Ma nas.

— To prawda, ale my siedzimy tutaj i raczymy się winkiem, a on tymczasem włóczy się, licho wie gdzie, trzymając się murów.

Niełatwo było się zbliżyć do Mezzanottego. Paru jego kolegów ze szkoły nawet próbowało, przede wszystkim z litości, lecz z marnym skutkiem. Popili trochę razem i pogwarzyli przez uprzejmość, ale ślepiec wprawiał ich w zakłopotanie, niczym fałszywy ton w ich chórze.

W połowie lat pięćdziesiątych zaczęto w dolinie uprawiać tytoń, co nie tylko zapewniło pełne zatrudnienie, ale położyło też fundamenty pod kulejący co prawda z początku, nigdy tu wcześniej nie zaznany dobrobyt. Skończyły się czasy poddaństwa. Zniknęły tradycyjne uprawy: ziemniaki, jęczmień i len, a wraz z nimi codzienna harówka za symbo-

liczną zapłatę. Mediolańskie i szwajcarskie zarobki zsumowane z dochodami z tytoniu uczyniły dolinę bogatą. Skończyły się złe czasy. Gdyby trochę poskrobać, każdy z wieśniaków miałby do opowiedzenia jakąś wojenną historię, ale wojenne dzieje zarosła już cienka ochronna błonka, nie grubsza od wysuszonego liścia tytoniu, i zablizniła rany. Ci, co zginęli, zginęli, ci, co wrócili, wrócili. Ocalali cywile poskładali swoje wspomnienia jak żołnierze mundury. Karabiny partyzantów odkopano i oddano władzom. Wyrzucono z pamięci ból i rozpacz po zmarłych, bombardowania i strach przysypano, zakopano w ziemi, aby wyrosły szerokolistną rośliną. Przebąkiwano, że Secondo, który pośmiertnie urastał powoli do rangi jasnowidza, przewidział tabaczną pomyślność, zobaczył ją w dymie, który tak pilnie studiował, siebie samego zaś ujrzał jako zgnieciony przez los niedokurek, który nie doczeka czasów dobrobytu.

Kiedy w połowie lat sześćdziesiątych umarł okaleczony syn Gelsomina, wojna wydawała się już tak odległa jak opowieść z bajki. Niektórzy z wieśniaków nie mieli co prawda palców u rąk albo i całych dłoni, ale stracili je podczas pracy w fabrykach. Chłopom, wciąż pamiętającym harówkę na roli, w fabrykach tych zapewniono pracę i godziwe zarobki. W okolicznych miasteczkach powstały tartaki, gdzie drewno sprowadzano do brył geometrycznych, z których układano parkiety. Ubaldo Bernacchi stracił dłoń właśnie na tartacznej pile. Chodził z obandażowanym kikutem, nie przyjął bowiem oferowanej mu przez ubezpieczalnię plastikowej ręki. Wyglądało to więc stale tak, jakby wypadek zdarzył się niedawno i rana goiła się jeszcze pod czystym opatrunkiem.

— *Oddio!* — mawiał Ubaldo do Estelia i jego przyjaciół. — Pracujemy w tych fabrykach, ale w duszy pozostajemy nadal wieśniakami. Przeleci jastrząb, coś zaszeleści w rowie, pokaże się na wzgórzu listonosz, a już stajemy i gapimy się z przyzwyczajenia. Mówię wam — dowodził,

wymachując cienkim kikutem nadgarstka — w takim tartaku człowiek musi uważać jak jasna cholera, a tego my jak raz nie umiemy. Owszem, umiemy pracować, umiemy tyrać, tu się z wami zgodzę, ale niech no tylko ktoś wejdzie do warsztatu albo osa wpadnie w wentylator, zaraz się zagapiamy i... trach!... po grabuli.

— *Dio buono* — westchnął Estelio z ciepłym uśmiechem przeznaczonym dla mówiącego, którego bardzo lubił, ale i dla samego Boga, który, jak wierzył, musi być naprawdę dobry, jeśli nie liczyć okaleczenia Ubalda.

Wiek i ciężka praca przerzedziły szeregi kontuzjowanych i okaleczonych. Reszta parla naprzód, ciesząc się zamożnością i oddając marzeniom. Przeszłość podróżowała z nimi jako szacowny zabytek. Mieszkańcy wioski zawiązali w duży toboł wszystko, co pragnęli ocalić ze swojej niedawnej przeszłości, czcili też i obchodzili uroczyste dawne obrzędy. W dni świąteczne tańczyli pod drzewami, śpiewając te same pieśni, które kochali ich ojcowie i dziadowie. Kobiety wstawały o czwartej rano, żeby upiec specjalne chleby i ciasteczka, jakie zawsze podawano w te tradycyjne święta. Sposób żywienia wieśniaków pozostał wierny regionalnej kuchni. Ich życie obracało się niemal wyłącznie po ciasnej spirali ich wioski. Rozjeżdżali się swobodnie swoimi drogami samochodami, do Castello, a nawet do Perugii, rzadko jednak zapuszczali się dalej, gdyż najlepiej czuli się u siebie, w zielonej dolinie między lasami na stokach Zeno Poggio a Sant'Agnese.

Jako że początki mieli trudne, jako że byli potomkami pokoleń, które swój los znosiły w pokorze, jako że dostrzegli szansę uczynienia ze swojego życia spełnionego snu, usunęli z tobołków pamięci większość przykrych wspomnień. Przeszłość stała się dla nich szacowną tradycją, mitem. Tylko Mezzanotte, niczym niepokojący ciężarek na lince, sięgał głębi wspólnego koszmaru. Nawet cmentarz zapełniły nowe twarze. Owalne fotografie w nogach gro-

bowców nie przedstawiały już żołnierzy. Podobnie jak nowe środki chwastobójcze wypłeniły trawy i dzikie kwiaty, które wyrastały na tytoniowych polach, tak nowa kultura i upływ czasu starły z cmentarza zdziwione czarno-białe twarze poległych rekrutów. Nadal co prawda wstawiano kwiaty do dziurawych wazoników, aby w nich uschły, ale pamięć zbiorowa zacierała się i obyczaj ten z wolna zanikał. Ze wszystkich poległych na wojnie najlepiej pamiętano Mezzanottego, który wszak nadal żył. Wszyscy z jego rodziny już pomarli: bracia, siostry, rodzice, wujowie i ciotki. A on, mimo tylu ran, brakującej kończyny, zaszytych oczu, połatanej twarzy, poszarpanych płuc, spalonego gardła i porwanego jelita, wciąż uparcie wykręcał się kostusze.

Wziął na siebie obowiązek patrolowania wsi. Obchodził ją niestrudzenie jak muł klepisko w kieracie tłoczni oliwnej. Dźwigał brzemię swojego kalekiego ciała w górę i w dół stromego wzgórza, którym wiodła droga od baru przy trakcie do baru przy kościele. Niektóre fragmenty wsi nie zmieniły się nie tylko od czasów jego dzieciństwa, ale wręcz od stuleci. Ten sam był szary przysadzisty kościółek Santa Maria z hałaśliwą, dzwoniącą jak opętana sygnaturką, i ten sam budynek parafii przy kościele. Kościelni się zmieniali, ale wszyscy używali takich samych kadzideł, a ich oddech zalatywał słodkim i tęgim *vin santo*. Szkoła mieściła się jak dawniej w gmachu naprzeciwko kościoła, choć dzieci było we wsi wciąż za mało, by opłacało się ją otwierać. Wyglądało na to, że im więcej ludzie mieli pieniędzy i jedzenia, tym mniej było chętnych, by się czymkolwiek dzielić. Chlebowy piec Pascolinich wciąż tkwił jako zawalidroga w wąskiej uliczce, która górą obiegała wieś.

Rosina Pascolini w lecie nadal wypiekała chleb wczesnym rankiem, zanim upał stał się nie do zniesienia. Mezzanotte często nasłuchiwał jej kuśtykania, gdy rozpalala w ceglany piecu ogień, wsuwała z chrzęstem kamienny ruszt nad gorący popiół i pilnowała wypieku. Rosina była

jeszcze przyjaciółką jego matki. Matka Alessandra, gdyby żyła, miałaby teraz przeszło dziewięćdziesiąt lat, więc tyle ich też musiała mieć Rosina. Pamiętał, jak kiedyś wyglądała: ładna, rozszczebiotana kobieta o zdumiewająco białych udach, które lubiła obnażać; kiedy przychodziła do nich do kuchni, podnosiła spódnicę i wachlowała się nią dla ochłody. To Marco, jego brat, poradził mu, żeby pod tę spódnicę zajrzał. Alessandro skończył właśnie jedenaście lat i obudziło się w nim dzikie zainteresowanie sprawami ciała. Pierwszy raz brał tamtego lata udział w żniwach. Wraz z innymi chłopcami, podobnie jak on nie opłacanymi robotnikami rolnymi, napatrzył się dość ukradkowej miłości za krzakami i belami siana, by miał o czym rozmyślać i za czym tęsknić do końca swych chłopięcych lat. Po rozluźnieniu obyczajów, jakie następowało w żniwa, później, po zakończeniu zbiorów, ciała zostały na powrót zakryte i ustały erotyczne orgie, ale w nim pragnienie oglądania nagości nie wygasło.

Gdy był chłopcem, różnica wieku między nim a Rosina wydawała się ogromna. Nikt nie żenił się ze starszą od siebie kobietą, nie było takiego zwyczaju, lecz on zawsze z tkliwością myślał o Rosinie. Marzył sobie nieraz, że wyrывa ją z katorgi poddaństwa, jakie znosiła. Dotąd pamiętał, jak pierwszy raz zaglądał pod jej spódnicę; napatrzył się wtedy do syta, potem uciekł i onanizował się z braćmi. Najpierw zobaczył jedno białe udo i natychmiast poczuł w kroczu i w gardle taką żądzę, że aż oblał się rumieńcem. Po chwili dojrzał drugie udo o równie przezroczystej skórze, zniekształcone przez złamaną kość i siną pręgę blizny. Jego pożądanie pierzchło, ale rumieniec pozostał, przyszpilony wstydem, że jakiś mężczyzna, ojciec Rosiny, zniekształcił tę nogę kopniakami, gdy karał córkę za to, że uległa żądzy innego mężczyzny. Chroma Rosina, którą tyrania ojca i braci uczyniła niewrażliwą na inne dyktatury, która uciekała do kuchni jego matki, żeby się wyśmiać i potajemnie cieszyć mimo wszystko życiem, póki ich wściekle

wrzaski nie zmusiły jej do spieszego pokaśtykania z powrotem do domu.

Musi być już stara, tak stara i brzydka jak czarownica Befana, lecz dla niego już na zawsze pozostanie młoda i ładna.

— Ej, Mezzanotte — wołała, kiedy przechodził — czekaj no, skosztujesz ze mną gorącego chlebka. My, starzy, musimy się trzymać razem.

Mówiła to po prawdzie przez wzgląd na jego matkę, z którą się kiedyś przyjaźniła, gdyż od Mezzanottego była dużo starsza i niewiele z nim miała wspólnego. Nadal prowadziła dom pełen mężczyzn i dzieci, podczas gdy on od tyłu już lat tłukł się po świecie w ciemności. Współczuła mu, że jest taki beużyteczny, taki samotny i beczynny.

Mezzanotte siadywał na rzeźbionej ławie obok pieca, i jeszcze bardziej tarasował drogę. Przez ostatnich pięćdziesiąt lat chętnie częściej rozmawiałby z Rosina, ale pamiętał ją jako Madonnę śmiechu, Madonnę, której zabrano dziecko, a która mimo to starała się zachować pogodę ducha, balansując na cienkiej linii między szczęściem a obłędem. Jej rodzina została zdziesiątkowana podczas wojny. Opowiadano, że Rosina była świadkiem, jak za stodołą podczas jednej akcji pacyfikacyjnej rozstrzelano wszystkich jej krewnych. Rozpamiętywanie jego ran oznaczałoby rozdrapywanie ran Rosiny. Nie rozmawiał więc z nią w ogóle, choć była jedną z nielicznych osób, z którą miałby o czym rozmawiać. Nie rozmawiał z nią nawet o najcięższej ze swoich ran, o złamanym sercu. To nie wiek ich zbliżał, ale miłość i to, co stracili oraz to, że oboje wstawali skoro świt i lubili gorący chleb.

Dzień po dniu Mezzanotte obchodził wieś, wcierając bratki z powrotem w szczeliny, z których wyrosły, i strącając z kamieni ślimaki, gdy — sam jak ślimak — sunął pod murami ogrodów. Niektóre domy pachniały geranium, inne ptakami, które trzymano w klatce, kawą, spalonymi pióra-

mi, pudrem, praniem i dymem drzewnym. Po pięćdziesięciu latach tych obchodów znalazł doskonale zewnętrzne kształty wsi, lecz nie jej wnętrze. Wchodząc między ciasno stłoczone, znane mu z dzieciństwa domy, wciąż je widział, oglądał oczami wyobraźni. Wiedział, że bomby obróciły w ruinę górną i dolną część parafii, ale środek zachował się nieknięty. Wszyscy mu to mówili. Na miejscu dawnych stajni mieścił się teraz sklep, a tam gdzie kiedyś była zagroda Fermiego, otworzono nowy bar z tarasem. Ludzie mówili, że jest tam pergola cała obrośnięta kanadyjskim winem.

Mezzanotte nigdy nie widział kanadyjskiego wina, ale Estelio opisał mu je jako zwyczajne wino, tyle że bez winogron, którego liście mienia się wszystkimi odcieniami czerwonego wina. Obraz tej płomiennej pergoli był niemal równie intrygujący jak nowe domy zbudowane na stoku wzgórza poniżej leżącego ongiś w ruinie kościoła San Crescentino. Plac budowy stał z powierzchni ziemi winnicę. Mezzanotte dobrze ją pamiętał, ale nowych domów nie potrafił sobie wyobrazić. Codziennie zmuszał się do skrzywienia w lewo na rozwidleniu dróg, z których jedna biegła na *camposanto*, a druga na nowe boisko, i przecinał małe osiedle składające się z kilku wspaniałych domów, wzniesionych przez nowych tytoniowych magnatów. Na końcu tej oszalałająco czystej i bezwonnej ulicy witała go stara akacja. Dalej zaczynał się piaszczysty trakt, boczna droga prowadząca z powrotem do trafiki i baru na górcę. W chwastach pasły się gęsi Giulianich.

Mezzanotte nigdy nie korzystał z tego skrótu. Był człowiekiem przywiązany do starych nawyków. Zdawał sobie zresztą sprawę, że to właśnie stałość jego zwyczajów czyni go znośnym dla reszty mieszkańców wsi. Wszyscy tak przywykli do widoku ślepeca w czarnych okularach i z plastikową ręką, że nikt już na niego prawie nie zwracał uwagi. Dla jednych stał się praktycznie niewidzialny, innym jego pojawianie się przynosiło otuchę, przychodził

bowiem tak regularnie, jak regularnie rozlega się bicie ich zegarów. A gdy ktoś chciał się dowiedzieć, gdzie w danej chwili przebywa dowolna osoba w promieniu pół kilometra, mógł całkowicie polegać na wiedzy Mezzanottego.

Wszędzie po drodze witał Alessandra okrzyk: „*Sahe, Mezzanotte!*”, na co ten odkrzykiwał: „*Buon di...*” i dodawał imię tego, kto go pozdrowiał. Wszystkich znał z imienia. Jak nieomylny iluzjonista wyciąga króliki z cylindra, tak on wyciągał imiona ludzi z brzmienia ich głosów. Powitania stanowiły jednak najłatwiejszą część pogawędki i tylko nieliczni ze spotkanych wiedzieli, o czym dalej rozmawiać z tym przeżytkiem, który ocalał z przeszłości i przeniósł ją w dzień dzisiejszy w formie nie do poznania. Pod jego bliznami kryły się wspomnienia zbyt bolesne, by je odgrzebywać. Nikt nie pragnął wracać do tamtych ciemnych czasów, których odkryciem groziła zmasakrowana twarz Mezzanottego. Wielkie szczęście, że miał opłacanych przez rząd opiekunów, inaczej bowiem musieliby delegować do niego kogoś z własnego grona, męczennika, który siedziałby przy nim i wysłuchiwał jego opowieści.

Stosunki Alessandra z gromadą cechowała powierzchowność. Sąsiedzi prowadzili z nim błahe rozmowy, a chwile zamilknięcia wypełniali powszednimi plotkami. Kaleka stawał się stopniowo wyrocznią w drobiazgach. Można było być pewnym, że potrafi określić co do dnia, kiedy ma się urodzić dziecko lub pisklęta wykluc z jajek. Wiedział, gdzie szukać dzieci, kiedy spóźniają się na posiłek. Wiedział, gdzie zostawiono pożyczone narzędzia i kiedy wypadają czyjeś urodziny tudzież dni świąteczne. Wiedział, kiedy przyjeżdża i kiedy wyjeżdża proboszcz, kiedy będzie otwarta chimeryczna stacja benzynowa i czy przejechał już autobus, który trzy razy dziennie zatrzymywał się we wsi; wiedział też — dawały mu o tym znać liczne blizny — czy idzie na deszcz.

Dwa razy z rana i dwa razy po południu wstępował do



baru na górcie na kielicha. Pijał wyłącznie *cynar*, gęsty czarny i gorzki napój pędzony z karczochów. Pił *cynar* nie dlatego, jak utrzymywali niektórzy, że jego czarna i mdła gorycz odpowiadała stanowi jego ducha, ale dlatego, że jego przyjaciel z wojska, Massimo Gavarini, uważał *cynar* za napitek poważny, jedyny, jaki warto w siebie wlewać. Niektórzy we wsi, na przykład Marcello Pascolini, pili, żeby zapamiętać; Mezzanotte pił, żeby pamiętać. Wszedłszy po pokonaniu trzech schodków w drzwi baru, podchodził wolno do kontuaru i opierał się na nim, pewien, że zawsze przy nim znajdzie wolne miejsce.

— *Salve*, Mezzanotte — witała go barmanka, śpiesząc za ladę ze sklepiku po drugiej stronie izby.

— *Buon di*, Concetta — odpowiadał i cierpliwie czekał, podczas gdy ona krzątała się za kontuarem.

Pachniała zawsze serem, pieprzem i warzywami, którymi handlowała, oraz z lekka woskiem z papieru, w jaki zawijała towary. Nosila w sercu sekrety, które chętnie zwierzyłaby ślepcowi, niestety, nie śmiała. Mąż Concetty nigdy jej nie słuchał. Dręczyły ją koszmarne sny i wiecznie nękał jakiś niepokój. Chciała spytać kogoś o to, co ją gnębiło, a raczej zwierzyć się komuś, a czuła, że Mezzanotte umie dochować tajemnicy. Zawsze się do niego uśmiechała, najzalotniej jak potrafiła, trzepocząc rzęsami jasnoniebieskich oczu w nadziei, że stary kaleka zasiedzi się u niej i zechce z nią pogwarzyć. Słyszała od niektórych bab we wsi i kobiet z tych nowych domów, że Mezzanotte umie słuchać i wiele potrafi zrozumieć, czym zachęca do zwierzeń, toteż miała nadzieję, że mimo ślepoty dojrzy jej potrzeby. Ile razy podnosił szklanke, żeby wychylić jej gęstą lukrecjową zawartość, wyczuwał drżące napięcie Concetty i odbierał je jako lęk. Nie był to jednak, jak mu się zdawało, lęk przed jego kalectwem, lecz przed tym, że znów odejdzie nie wysłuchawszy jej. Zazdrościła poborowym, którzy przyjeżdżali do ich wioski, żeby dotrzymywać ślepcowi towarzystwa. Ci

to się mogli nasłuchać jego opowieści, natomiast jej synowie bliźniacy rozmawiali wyłącznie między sobą i z ojcem, więc Concetcie pozostawały tylko rozmowy z klientami lub – częściej – mówienie do siebie.

Zanim Stefano Altini przyjechał do wsi, żeby pełnić funkcję jego opiekuna z ramienia wojska, życie Mezzanotego było już uwikłane w pajęczą sieć nieporozumień. Udało mu się wydobyć z głębi swej samotności i przywdziać całkiem znośną maskę. Kiedy umarł ostatni z członków jego rodziny, Mezzanotte przeniósł się do Giulianich; wynajął u nich duży pokój z łazienką i spiżarnią w piwnicy. Płacił im za to hojny czynsz, znacznie wyższy niż początkowo godzili się przyjąć, ale on uparł się, że będzie płacił tyle, ile uważa za stosowne, dostaje bowiem miliony lirów miesięcznej renty wojennej, których nie miałby na co wydać, spodziewa się zaś, że gdy wybije jego godzina, wyprawią mu pogrzeb, jaki wyprawiliby mu rodzeni krewni, gdyby żyli. Rodzina Giulianich była bardzo zżyta z Mezzanottem – z Assuntą Giuliani chodził do szkoły – rozumiało się więc samo przez się, że zajęliby się nim po jego śmierci, kiedykolwiek by nastąpiła, i bez tego przekupstwa. Tak mu powiedzieli.

– Nie bardzo sobie dogadzam, jak widzicie, więc czemu nie chcecie mi pozwolić na ten mały kaprys? Pozwólcie, żebym dzielił się z wami pieniędzmi, na których mi nie zbywa, to dla mnie bardzo ważne.

Zamieszkał więc na dole w pokoju obok *cantiny* pełnej beczek z winem. Mógł wchodzić i wychodzić, kiedy chciał. Obiad przygotowywał mu poborowy, który się nim opiekował. Ślepiec siadał i przeżuwał powoli, gdyż poruszanie szczękami sprawiało mu ból, pajdę niesolonego chleba z dwoma plastrami szynki lub salami. Kolacje jadał samotnie. Składały się nieodmiennie z podgrzanego makaronu z sosem pomidorowym. Dało to podstawy do plotek, że gospodarze go zaniedbują. Nawet w ciężkich, przedtyto-

niowych czasach mężczyźni jadali solidne posiłki. Mogła to być tylko polenta z sosem lub chleb z kasztanów z okrawkiem sera, ale zawsze gorące i świeże. W tej jednak sprawie Mezzanotte okazał się nieustępliwy. Uparł się jadać sam.

Chleb w dni powszednie kupował mu pełniący przy nim służbę żołnierz. Concetta, płonąc z ciekawości, powoli zawiązała bochenek.

— Zastanawiam się nieraz — zagadywała z chytrym uśmieszkiem — o czym on też opowiada?

Żołnierze przeważnie wzruszali tylko ramionami. We wsi czuli się obco, nawet po jedenastu miesiącach służby, bo rzadko wychodzili i spotykali ludzi — Mezzanotte nie tolerował na swoich przechadzkach towarzystwa, a większą część dnia spędzał poza domem. Szczególny sposób obrony ojczyzny: kupowanie chleba i salami dla włączającego się gdzieś ślepeca. Z drugiej strony taka służba to prawdziwy raj, i człowiek nie musi po powrocie do koszar wysłuchiwać kąśliwych uwag.

— Gada on coś w ogóle czy nie? — dopytywała się Concetta.

— Nic takiego — odburkiwał niechętnie żołnierz.

Te odmowy wyjaśnień jedynie podsycaly ciekawość. Nikt nie wierzył, by Mezzanotte trzymał u siebie tych żołnierzy dzień w dzień od ósmej rano do szóstej po południu tylko po to, żeby mu robili zakupy i sprząтали. Sądzono, że ci chłopcy zastępują mu rodzinę. Nie domyślano się, że dla swoich tak zwanych „opiekunów” stanowił taką samą zagadkę jak dla reszty wsi, był dla nich kimś równie obcym. Nie dopuszczał nikogo do swojej samotności, okopał się milczeniem i żył tylko we wnętrzu własnej głowy. Jedynie od czasu do czasu wymieniał ze znajomymi pozdrowienia, co go ratowało od całkowitej ciszy, trwającej pół wieku.

Podczas wielomiesięcznej służby Stefana w domu Mezzanottego ten zastanawiał się nieraz, czy i dalej wiódłby takie życie, gdyby w ich strony nie zawitał znowu cyrk.

Przyjazd cyrku do San Severino był niegdyś wydarzeniem roku. W czasie wojny uległo to zmianie. W cudownych okrucinach tego ruchomego kalejdoskopu zaczęto widzieć to, czym w istocie były: garść kolorowych szkiełek. W świecie samochodów i ogrodów zoologicznych nie dopatrywano się już czarów w kosmatym wielbłądzie. Ludzkie potworki straciły na atrakcyjności i zostały zamknięte w różnych instytucjach. Odkąd chłopcy nie musieli zdobywać darmowego łyku z butelki za pomoc w rozładunku ciężarówki napojów gazowanych, cynowe kubeczki z tymi płynami utraciły swój powab. Napoje gazowane mogli teraz kupować skrzynkami, a watę cukrową na bele. Każde dziecko, które odwiedziło miasto, mogło się przejechać na jednym z metalowych koni zainstalowanych przez magistrat, zbladł nawet czar karuzeli. Wędrownie cyrki utraciły dochody i powab. Zamiast procesji cudaczných wozów, bud, furmanek i zwierząt z klapkami na oczach, dwie lory i kilka ciężarówek rozbijały obóz na skrawku pustego pola, cyrkowcy rozstawiali diabelskie młyny i karuzelę i wyczekiwali na rzadkie odwiedziny wybrednej klienteli.

Lunaparku, który niegdyś rozkwitał co roku nad zakrętem rzeki w San Severino, nie widziano tam od ponad czterdziestu lat. Z początku niektórzy obarczali za to winą Amerykanów, którzy zbombardowali to miejsce, inni jednak uważali, że główną przyczyną był romans między Mezzanottem i córką Maestra Rossiego. W Castello tłumaczono to emigracją zarobkową. Skoro tylu mężczyzn wyjechało, a we wsiach aż piszcząca bieda, nie opłacało się rozbić namiotów cyrkowych. A gdy robotnicy powrócili w końcu z tych wypraw za chlebem, pojawiła się też masa nowych rozrywek — sale do tańca i radio, adaptory i samochody, telewizja i kino — nikt więc nie tęsknił do wlezionej przez woły karawany ani do porcjowanej euforii lunaparku. Niektórzy mieszkańcy wsi byli nawet radzi, ze względu na Mezzanottego, że cyrk już do nich nie przyjeżdżał. Dość się już biedak nacierpiał i bez upokorzenia, jakiego by doznał, gdyby przyszło mu stanąć przed narzeczoną i jej rodziną w tak zniekształconej postaci.

Nikt nie wiedział, co się stało z jego narzeczeństwem. Po „wypadku” wszystkie mniej ważne sprawy zeszyły na drugi plan. Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości: gdyby Mezzanotte wybrał sobie miejscową dziewczynę, wytrwałaby przy nim niezależnie od tego, do jakiego stanu zostałby zredukowany. Miejscowa dziewczyna wyślaby za mąż za mężczyznę jeszcze dotkliwiej okaleczonego; w barze mówiono, że nawet za takiego, z którego zostałyby tylko pięćdziesiąt procent, a może nawet jeszcze mniej. Gelsomino utrzymywał co prawda, że z człowieka musi zostać przynajmniej połowa, żeby miał prawo się podpisać na urzędowym dokumencie, inaczej ślub nie byłby ważny. Mezzanotte użyłby sobie z żoną, a później miałby w niej jeszcze pielęgniarkę. Przestrzeganie obyczajów wsi rzecz święta. Po latach ludzie zaczęli skłaniać się ku przekonaniu, że Mezzanotte sam jest winien swojej samotności. Chłopak nie powinien uganiać się po kraju za Cygankami. Wystar-

czy popatrzeć na emigrantów, tych z brygad szwajcarskich i mediolańczyków — żaden nie złamał tabu: po żonę wszyscy wrócili do domu. Mezzanotte zarzucił haczyk na cudzych wodach. Z pozoru słodkich, lecz obcych i zakazanych. Prawdę mówiąc, tylko do samego siebie może mieć pretensje. Nic dziwnego, że dziewczyna go rzuciła; po takiej jak ona należało się tego spodziewać.

Cyrk przyjechał latem roku 1990, i to nie do San Severino, lecz do rodzinnej wsi Mezzanottego. Od stycznia panowała susza i wody gruntowe obniżyły się do niepokojąco niskiego poziomu. Uprawom tytoniu groziła zagłada. W regionie ogłoszono stan klęski żywiołowej. W Castello wprowadzono racjonowanie wody, a mieszkańcom wsi, którzy nie mieli własnych studni, wolno było zraszać pola tylko w wyznaczonych godzinach. Musiano odwołać zaplanowane urlopy; opuszczanie gospodarstw mogło się okazać niebezpieczne. Jeśli do połowy maja nie spadłby deszcz, na ogromnych obszarach doszłoby do katastrofy. W kwietniu temperatura skoczyła do ponad trzydziestu stopni. Z nieba dzień w dzień lał się żar. Początek maja nastął upalny jak środek lata. Kiedy zaś wreszcie w tym miesiącu nastąpiły deszcze, towarzyszyły im gradobicia; grad podziurawił tytoniowe liście i zniszczył zboża. Nadchodziły długie wakacje letnie. Nauka w szkołach kończyła się w czerwcu, a wznawiano ją dopiero w końcu września. Wioskową starszyzną niepokoiła panująca we wsi nerwowość. Ludzie spekulowali na temat pogody i martwili się o wysychające zbiory. To starszyzna postanowiła sprowadzić cyrk, w nadziei, że rozrywka oderwie ludzi od obsesyjnych rozmyślań o suszy. Nastroje były ponure, cyrk i muzyka miały je poprawić.

Przybycie cyrku wywołało zaskoczenie; stanowiło letnią atrakcję. Zainstalował się niemal niepostrzeżenie na terenie budowy za ostatnim z nowych domów, w cieniu San Crescentino. Dla większości dzieci, rozpuszczonych ciągłym

oglądaniem telewizji, cyrk od pierwszego dnia okazał się rozczarowaniem. Od dziadków nasłuchali się opowieści o garbatym koniu, o dziesiątkach wielkich białych wołów ciągnących cyrkowy dobytek po piaszczystych gościńcach, o rozwrzeszczanych, pstro odzianych małpach biegających po dachach bud, o gromadach Cyganów obsługujących kramy, o kolorowych dzikusach i dzikuskach, którzy jedli surowe mięso, palili gliniane fajki, grali na skrzypcach i niczym opętani derwisze tańczyli pod osikami.

Jednomyślnym werdyktem wszystkich młodych mieszkańców wioski od lat pięciu wzwyż orzeciono, że półkrwi wilczarz irlandzki, melancholijna papuga, najwyraźniej sfiksowana małpa i samotna lama przywiązana do dyszla rozlatującej się przyczepy samochodowej nie dorastają do swojej legendy. Młodzi uznali opowieści swoich dziadków za jeszcze jedną przesadną pochwałę starych dobrych czasów poddaństwa i byli na siebie źli, że dali się na to nabrać.

W epoce, kiedy nie znano jeszcze kremów do depilacji, mogły się oczywiście zdarzać brodate kobiety. Każdy miał w rodzinie przynajmniej jedną zanadto owłosioną krewną. Czuli się jednak głupio, że uwierzyli na serio w kobietę-pająka. Większość widziała już inne cyrki — w Castello, w Perugii albo jeszcze dalej — podczas szkolnych wycieczek i wakacyjnych wyjazdów, ale starzy mówili im z pogardą: „Trzeba było widzieć cyrk, który przyjeżdżał do San Severino! To był cyrk, *Dio buono*, prawdziwa ludzka menażeria!”

Jeszcze trapezy nie zawisły na długich łańcuchach umocowanych do masztu w czerwone, białe i zielone skośne pasy, a dzieci już wróciły do gry w nogę i złane potem uganiały się za piłką w słonecznym skwarze. Lecz później, wieczorem, kiedy zagrała muzyka i z dalej położonych gospodarstw rodzice przyprowadzili swoje pociechy, żeby sobie pojeździły na falującej karuzeli i ozdobiły buzie wąsami z cukrowej waty, kilkoro miejscowych dzieci wróciło. Nato-

miast pod koniec tygodnia przy lamie czuwała zawsze warta maluchów, donosząc zwierzęciu wiadra wody i zachęcając je, żeby parskało nią na przechodniów.

Stefano Altini stawiał się na służbę do Mezzanottego dziesiątego czerwca, w dniu przyjazdu cyrku. Sądził, że widok żołnierza w mundurze wzbudzi we wsi niejakie zainteresowanie. Sytuacja, w jakiej się znalazł, wydawała mu się tak niezwykła, iż mniemał, że równie niezwykłą musi się wydawać innym. Nie wiedział wtedy jeszcze, że był już czterdziestym z kolei opiekunem ślepego kaleki. Wszyscy jego poprzednicy mieli, podobnie jak on, krótko ostrzyżone włosy, mundur, byli równie młodzi i zdecydowani utrzymać się na tak wygodnej placówce. Kiedy wszedł do baru w dole wioski, barmanka za kontuarem ledwo na niego spojrzała.

— Jeśli szukasz Alessandra Mezzanottego, mieszka na wzgórzu, za kościołem w prawo.

Stefano bywał już w tym barze, zatrzymywał się tu czasem z kolegami w drodze do Castiglione, żeby zjeść lody i zatankować benzynę, lecz nigdy jakoś nie zauważył, że wokół baru rozłożyła się wieś. Wspinając się na strome zbocze do domu ślepcy odnosił wrażenie, że zagłębia się w królicze nory. Zewsząd cisnęły się wąskie uliczki i zaułki, krótkie tunele i przepastne kamienne drzwi. Miał nadzieję, że uda mu się trafić z powrotem. Otoczenie przestało wyglądać jak mała średniowieczna wieś, zmodernizowana od środka i przeniesiona na próg dwudziestego pierwszego wieku. Nie widział już nowych domów w dole, powiewających pod starożytnymi murami obronnymi halek z falbankami ani nagiego masztu rozstawionego namiotu cyrkowego. Miał wrażenie, że wchodzi do jakiejś pułapki, złowrogiego labiryntu, który go pochłonie i już nie wypuści na rozległe, otwarte przestrzenie wokół Castello. Nim jeszcze dotarł do domu ślepego kaleki, ogarnął go lęk. Od swojego poprzednika wiedział, że przyjdzie mu przez cały dzień sie-



dzieć w ciemnym pokoju i udawać, że coś robi. Będzie musiał obijać się w ciszy po jakimś wielkim pomieszczeniu. Kiedy stary wychodził, opiekun miał zostawać w domu. Powinien przebywać przy kalece albo w miejscu, które ten mu wskaże. Zaniedbanie tego obowiązku groziło sądem wojennym.

— Wsadziliby cię do pierdła, gdybyś się samowolnie oddalił. I niech cię Bóg broni, żebyś próbował mu pomagać, kiedy tak kuśtyka dookoła. On musi wszystko zrobić sam. Pojęcia nie mam, po cholere mu całodzienna opieka, rok po roku. Najwyraźniej w ogóle mu na niej nie zależy. Myślałem, że idzie o mnie, że stary mnie za coś nie lubi. A że nie chciałem stracić takiej posadki ani wylądować za kratkami, więc pytam mojego poprzednika, co jest grane, a ten mi mówi: „Stary w ogóle się nie odzywa. Kup sobie stos komiksów, słuchawki i słuchaj radia.” Tak też zrobiłem.

Stefano miał ochotę zadać odchodzącemu ze służby żołnierzowi znacznie więcej pytań. Chętnie spotkałby się z nim po swoim pierwszym dniu spędzonym na nowym posterunku, żeby omówić z nim kwestie, jakie mogą się wyłonić. Ale poprzedni opiekun pochodził z Gubbio, więc nie pałał do Stefana zbyt dużą sympatią. Oba miasta, Gubbio i Castello, miały ze sobą na pieńku. Poza tym po roku więziennego odosobnienia chłopak marzył już tylko o ucieczce z podziemnego świata Mezzanottego.

Samego Mezzanottego nikt nigdy nie pytał, po co mu opiekunowie, skoro ich odtrąca. Gdyby go o to zapytano, odpowiedziałby szczerze, iż to rząd przydziela mu całodziennego opiekuna; przysługuje mu po prostu takie prawo, podobnie jak czterem innym ciężko okaleczonym weteranom wojennym z ich okręgu. Nauczono go, że nic się nie powinno marnować, wyrastał w atmosferze ubóstwa i oszczędności. Ojciec Mezzanottego był człowiekiem zgorzkniałym, ponieważ zawiodły jego bohaterskie wysiłki, by do drzwi ich domu nie zastukała bieda i nie przyniosła

wilgoci i chłodu. Mezzanotte nie opłacał opiekuna z własnej kieszeni. Podobnie było z zapasowymi plastikowymi ramionami, których miał pełną szufladę: i one go nic nie kosztowały. Co pięć lat przysługiwało mu nowe. Urzędnik z wydziału zdrowia przyjeżdżał i mówił: „Nie potrzebuje pan co prawda nowego ramienia, ale jeśli pan sobie życzy, może je pan otrzymać, to pańskie prawo.” Więc Mezzanotte brał je i leżały nie rozpakowane: makabryczna kolekcja nie używanych protez. To samo było z wojskowym opiekunem: skoro mu się należał, grzech byłoby nie skorzystać. Więc przez dom Mezzanottego przewijała się procesja rekrutów. Na noc ich nie zatrzymywał; gdyby zostawali na noc, potracono by mu pewną kwotę z renty wojennej, a tego nie chciał. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie potrzebował opiekunów, ale byłoby marnotrawstwem odrzucanie tego, co mu dawano darmo.

Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, ile musiała się natrudzić rodzina takiego rekruta i jakich użyć wpływów, zanim szczęśliwiec wylądował u jego boku. Teoretycznie wybór opiekuna należał do samego inwalidy, lecz Mezzanotte już dawno wyraził brak zainteresowania tym, kogo mu przydzielają. Ze wszystkich więc tego rodzaju posad w całych środkowych Włoszech służba u niego była najłatwiejsza, najbardziej więc pożądana. Czterdziestu uprzywilejowanych młodzieńców przewinęło się już przez jego dom. Podejmując tę służbę zacierali ręce i szykowali się na jedenaście miesięcy wywczasów. Oto fucha co się zowie. Mezzanotte: północ. Czyż samo to nazwisko nie zapowiadało bombowej zabawy, dyskotek, zakazanej miłości? Jechali na tę służbę mając w głowie obraz księżycowej, zmysłowej, aksamitnie czarnej nocy. A gdy po roku jałowej pustki wracali, słowo «Mezzanotte» budziło w nich jakiś nieokreślony lęk. Jakby ślepotą można się było zarazić. Bali się samotności tego ślepcy, bali się przebiegających po jego twarzy skurczów bólu. A gdy się uśmiechał krzywo, marszcząc bliz-

ny na lewym policzku, bali się jeszcze bardziej, było to bowiem wydarzenie rzadkie, świadczące na domiar złego o tym, że pod tą bliznowatą skorupą kryje się ktoś nieznajomy.

Zbliżając się do drzwi mieszczącego się w piwnicy mieszkania kaleki, Stefano miał wrażenie, że wszystkie strzępy informacji, jakie zdołał zebrać, obciążają mu teraz kieszenie munduru. Ponieważ bał się wejść, długo się wahał przed progiem. Pomyślał o koszarach w Udine. Wbrew temu, co mu zapowiadał jego przyjaciel Mario, nie myślał wcale o lipieniach, przyponach ani stawach, lecz właśnie o koszarach, otoczonych wysokim płotem zwieńczonym drutem kolczastym, o ciemnej sypialni i własnej samotności w tym obcym otoczeniu, znośnej jedynie dzięki temu, iż miał pewność rychłego przeniesienia do służby zastępczej. Stefano bał się ciemności. Zawsze się jej lękał, jeszcze jako dziecko. Matka to rozumiała, pozwalała mu zostawiać zapaloną nocną lampkę przy łóżku, aby jej światło rozpraszało lęk przed nieznanym. Lecz kiedy po raz pierwszy zabrano ją do kliniki, sędzia zabronił mu palić w nocy lampkę. Nakazał swemu siedmioletniemu synowi, by się okazał mężczyzną. Dla Stefana mężczyzna był kimś w rodzaju hybrydy, formą pośrednią między ojcem a stryjem Andrea. Tak zniechęcił koszary, że gotów był zrobić wszystko, co mu każą, nawet dotykać tego ślepego starca, który na dobrą sprawę już nie istniał. Dwa razy w tygodniu będzie mu poprawiał plastikowe ramię, jak go tego nauczono w szpitalu w Perugii. Będzie tłukł się po domu w ciemności, kiedy kaleki weteran wyjdzie na swój rutynowy obchód. Zrobi wszystko, byle nie wrócić do Udine.

Kościelny dzwon wzywał wiernych na nabożeństwo o ósmej. Hałasował wyjątkowo głośno, jakby jakaś niedokładność ludwisarza sprawiła, iż bił donośniej niż inne dzwony. Stefano przestraszył się, że jeśli zaraz nie zapuka, podejdzie i zrobi to za niego jakiś uczynny śpieszący na

mszę przechodzić, zebrał się więc na odwagę i zastukał — głośniejsz niż zamierzał — w surowe drzwi z kasztanowca.

Mezzanotte siedział zgarbiony na wysokim żelaznym łóżku.

— Altini Stefano melduje się na służbę, proszę pana — zaraportował salutując, po czym, nie tak już żwawo, podał nazwę swojego batalionu i kompanii. Znowu się pomylił, poplątał kolejność. Jeśli chodzi o łamigłówki językowe, dobry był tylko w świńskich żarcikach, jakich się nauczył na boisku szkolnym. Te wojskowe w ogóle nie wchodziły mu do głowy. W pokoju unosił się jakiś dziwny, przesiąknięty starością zapach: nieświeżego jedzenia, znoszonych ubrań, stęchłego powietrza i zgrzybiałego ciała. Stefano zakonotował sobie, żeby otworzyć okno, kiedy stary powlecze się na swój codzienny obchód. Uprzedzono go, że Mezzanotte prawie nie będzie zwracał na niego uwagi, przygotował się więc na przyjemny dzień.

— Ktoś ty taki? — nie podniósłszy prawie głowy spytał ślepiec.

— Altini Stefano, proszę pana, melduję się na służbę. Ze szpitala wojskowego w Perugii.

— Widzisz? Wrócił. Po tylu latach wrócił, żeby mi rozpruć szwy!

Nikt nie uprzedził Stefana, że głos starego jest tak wziębrany żalem ani że od jego postaci bije taka siła, skupiona wokół niego jak stóg gorczy.

— Pijesz, chłopcze?

— Tak jest, proszę pana — odpowiedział Stefano i zaraz tego pożałował. Nie była to może odpowiedź właściwa.

— Napij się ze mną trochę *cynaru* — zaproponował zgaszonym głosem stary.

Stefano przyjął postawę „spocznij”, po czym ją rozglądać się po nędznym pokoju za trunkiem. Na długiej półce przy łóżku stały w trzech rzędach puste butelki po *cynarze*,

każda zwrócona w jego stronę nalepką z liściem karczocha.

— Ktoś ty taki? — powtórzył Mezzanotte.

Stefano postanowił opieprzyć poborowego z Gubbio, jeśli owego kiedyś spotka. Dlaczego go nie uprzedził, że stary piernik ma sklerozę? Że milczący to jedna sprawa, że spierniczały, druga. W kącie pokoju znajdowała się kuchnia. Składał się na nią zlew z nierdzewnej stali, suszarka i mały prymus, taki, jaki Stefano i jego koledzy brali ze sobą na plażę. Obok prymusa, przylepiona do laminatowego blatu stołu kręgiem z rozlanego sosu pomidorowego, stała butelka *cynaru*. Stefanowi zbierało się na wymioty, gdy płucał dwa wyszczerbione kubki emaliowane, które znalazł w przepelnionym zlewie.

Kiedy obaj z Mezzanottem schodzili krzywą uliczką poniżej szkółki wiejskiej, Stefano miał wrażenie, że odbył już dostateczną praktykę w obsłudze niewidomych. Drobnymi czynościami, takimi jak podawanie napojów i wkładanie ślepcowi naczynia do ręki, opanował do perfekcji. Co do *cynaru*, nigdy dotąd nie kosztował tego trunku. Jego niezwykła gorycz owinęła mu się wokół mózgu i praktycznie pozbawiła go głowy. Kiedy pierwszy raz odbiło mu się zgęszczonym środkiem na przeczyszczenie, zrozumiał, dlaczego ten stary to pije. Prowadząc go pod rękę, uświadomił sobie w pewnej chwili, że jeden drugiego nawzajem podpira. Nie mógł się doczekać, kiedy wróci do Castello i opowie kolegom, że ta służba to nie tylko fraszka, ale i flaszka. Dzwony obwieszczały dopiero godzinę dziewiątą, a na obliczu Stefana rozlewał się już błogi uśmiech szczęścia.

Kiedy piął się przez wieś ku domowi Mezzanottego, budził lekkie tylko zainteresowanie, lecz gdy schodzili ze starym pod rękę, każdy spotkany przechodzień zatrzymywał się i wywalął na nich oczy. Nikt, kto nie widział Mezzanottego w objęciach nowego opiekuna, nie uwierzyłby, skąd w nim nagle taka odmiana po pięćdziesięciu prawie

latach pustelniczego życia. Opowiadano to później w barze każdemu, kto wtedy pracował i kogo ominęło to widowisko: „Szli razem ze wzgórza do winnicy, ten nowy rekrut z cielecym uśmiechem od ucha do ucha i Mezzanotte, któremu omal szwy nie pękały na gębie”.

Posuwali się w tempie konduktu pogrzebowego, acz w nastrojach zgoła nie żałobnych. Ilekroć mijali jakieś drzwi, witało ich pozdrowienie:

— *Salve*, Mezzanotte.

— *Buon di*, Giuliana. — Lub inaczej, zależnie od osoby pozdrawiającego.

Reguły raz naruszone pękały dalej. Kobiety zarzucały Stefana pytaniami; ciekawość brała górę nad powściągliwością.

— Wreszcie znalazłeś sobie prawdziwego opiekuna, Mezzanotte! — wołały, po czym zwracały się do Stefana: — Wy się chyba znacie? Jesteś synem Marca? Kiedy przyjechałeś? Ojciec też przyjedzie? Jesteś jedynakiem, czy masz jeszcze jakieś rodzeństwo? Ile was jest? Zostaniesz tu u nas?

Po każdej takiej serii pytań Mezzanotte ścisnął Stefana za ramię. Rozumieli się doskonale: ani słowa tym babom, w ogóle nikomu. Ich rozmowy i sekrety nie są przeznaczone dla niczyich uszu.

Słońce stało już wysoko; po obchodzie zasycha człowiekowi w gardle, trzeba wstąpić do baru.

Przedpołudnie zeszło im na kursowaniu między barem na górze a barem na dole. Przed jedenastą Stefana ogarnęły wątpliwości, czy zdoła dotrzymać staremu tempa. Odetchnął z ulgą, gdy Mezzanotte zawlókł go wreszcie do cieniatego ustronia swej izby.

— Od niegadania zardzewiała mi już gęba — oznajmił stary i zwałił się ciężko na nie posłane łóżko. Miał wrażenie, że w gardle uwiązał mu ptak. Chciał coś powiedzieć, ale oblepiały mu głos zakrwawione pióra. Chciał zapytać o cyrk. Musi się dowiedzieć. Czy to nie cyrk Maestra Rossiego?

Czy to możliwe, żeby przyjechała z nim Valentina? A może będą choć wiedzieli, gdzie jej szukać? Może mu powiedzą?

Wojna wydarła mu oczy, ale nie zabrała wzroku ze środka głowy, odjęła mu ramię, ale wciąż czuł je u swojego boku. Nawet gdy odpinał ten gruby plastikowy bumerang, który mu dali, czuł ciężar brakującego ramienia i swędzenie nie istniejących palców. Valentinc również stracił. Została mu zarazem wydarta i odjęta, ale wciąż nosił ją w sobie. Pamiętał smak jej potu i ust, choć zgasła w nim pamięć o wszystkich innych smakach; te zmatowiały i zblakły, tylko smak jej ciała nie. Nosił Valentinc w swojej ocalałej ręce, pieścił ją brakującymi palcami. Żyła w jego zranionym mózgu. Zawsze tam istniała. Wieś rosła, potem pustoszała i znowu rosła, lecz drobna wyrazista postać Valentiny nigdy go nie opuszczała. Posiadał jej część, nosił ją w sobie od czasu tamtej ostatniej przepustki, tych kilku bezcennych godzin spędzonych z nią w Bolonii. Któregoś dnia dopasuje ją do brakującej części, do drugiej połówki Valentiny Rossi, jego *fidanzaty*. Mieli się pobrać, jak tylko skończy się wojna. Powinni się pobrać wtedy, w roku 1945. Czekał na nią i czekał, nie porzucając nadziei i nie poddając się zgorzknieniu jak jego ojciec.

— Mój ojciec był człowiekiem zgorzkniałym — powiedział do młodego towarzysza — wciąż tylko siedział i gapił się w ogień. Pamiętam to jak dziś. Przysiągłem sobie wtedy, że sam nigdy się taki nie stanę. Nie tylko dlatego, że psu na budę by się zdało moje gapienie się w ogień, ja ogień noszę w sobie, wypalił mi głowę. Rzecz w tym, że zawsze wymyślałem się rozpaczy. Nie siedziałem i nie czekałem, aż mnie przydusi. Miałem piętnaście lat, gdy się zakochałem. Dotąd wydawało mi się zawsze, że gdybym o niej opowiadał, to jakbym coś z niej kradł, jakby mi jej ubywało. Teraz zrozumiałem, że muszę o niej mówić, bo inaczej zacznę o niej zapominać. Pamiętałem przez czterdzieści dziewięć lat, aż do tego rana, kiedy usłyszałem, że znowu przyjechał cyrk.

Los rozpruwa wszystkie moje szwy. Świat zamknięty w mojej głowie zaczyna mi się rozsypywać... Byłeś kiedyś zakochany, chłopcze?

Mezzanotte przysunął do Stefana swoją wielką wolą twarz, jakby dzięki jemu tylko znanemu sposobowi chciał wyczytać z odpowiedzi chłopaka prawdę.

— Tak, parę razy.

— Parę razy, mniej niż wiele, a więcej niż dwa. Czy byłeś wtedy tak nieszczęśliwy, że tylko to się liczyło? Nieszczęśliwy aż do zapamiętania się w sobie?

Stefano nic nie odpowiedział. Nikt by go nie nazwał nieszczęśliwym w miłości, w dziewczętach mógł przebierać jak w ulegałkach. Prawdę mówiąc, miał wśród nich więcej przyjaciółek, kumpelek od serca niż kochanek. Nie zaśpiewał jeszcze swojej „Pieśni nad Pieśniami”, ale ostatecznie miał dopiero dwadzieścia cztery lata, a to nie czas na takie apokaliptyczne brednie.

— Panie Mezzanotte, panie Mezzanotte! — zawołał i dotknął lekko ramienia starego.

Mezzanotte spał. Stefano nie wiedział, czy go rozebrać, czy tak zostawić. Wciąż zbierało mu się na wymioty po wyżłopanym *cynarze*, pozwolił więc staremu spać i zabrał się do usuwania ze zlewu jego ciepłej, przelewającej się zawartości. Raz wzięwszy się do roboty, poczuł się w obowiązku jej dokończenia, stwierdził jednak, iż wymaga to odeń wielkiego samozaparcia. Musiał odbyć kilka wypraw do sklepiku Concetty po bielidło, szczotkę ryżową, miotłę, śmietniczkę, ścierkę do naczyń, dwa nowe emaliowane kubki, trochę chleba i kawałek świeżego sera pecorino. Na śmierć zapomniał, że za każdą z tych krótkich wycieczek można by go postawić przed sądem wojskowym. Nie miał prawa opuszczać mieszkania Mezzanottego bez pozwolenia starego. Dano mu nawet książeczkę, podobną do dzienniczka ucznia, w której Mezzanotte miał składać swój podpis,



ilekroć Stefano od niego wychodził. Pamiętał, jak śmiali się z tego w Castello z Mariem i Rosanną:

— Spodziewam się, że ten rozkaz mówi ci coś o wrodzonej wrażliwości twoich przełożonych i ich poczuciu taktu.

Przed opuszczeniem Mezzanottego wieczorem Stefano czuł się w tym pustym betonowym pomieszczeniu niemal jak u siebie w domu. Otworzył okno i wywietrzył pokój, wymył małańką kuchenkę, posprzątał, pochował żywność, wyrzucił śmieci i dokonał chrztu ubikacji — wyrzygał się do niej dwa razy. O wpół do szóstej był gotów do wyjścia. Mezzanotte wciąż spał. Stefano w ostatniej chwili pohamował odruch, by mu zostawić kartkę. Niewykluczone, że jego dowódcy nie byli aż tak głupi, na jakich wyglądali; rzeczywiście łatwo się zapominało, że ten stary jest ślepy. Stefano nie miał pewności, czy okazał się dobrą pielęgniarką i gosposią, był jednak z siebie zadowolony.

Wracając zatłoczoną szosą do Castello planował sobie, jak wieczorem pozgrywa się przed kolegami na starego kalekę. Ludzi tak łatwo rozśmieszyć naśladując innych. Odstawiłby Mezzanottego jak ta lala: kuśtykanie, sztywna ręka, gruby głos. Nagle poczuł ochotę, żeby zawrócić i sprawdzić, czy stary dobrze się miewa, i skreślił gwałtownie na trawiaste pobocze. Kierowca jadącego z tyłu auta zatrąbił i wrzasnął:

— Ty pacanie! Krowy ci pasać! Nie wiesz, dokąd jedziesz jełopie?!

Stefano uśmiechnął się do siebie, odbił kierownicą i wrócił na szosę. Wiedział, dokąd jedzie: do Castello, do baru „Italia”. Choć dochodziła dopiero szósta i nie miał jeszcze ochoty na kielicha, czuł się jakoś dziwnie wzruszony.

Kiedy nazajutrz rano zjawił się u Mezzanottego, odniósł wrażenie, że stary na niego czekał. Stefano jechał do niego bez śladu lęku z poprzedniego dnia, zaopatrzony w paczkę pigułek na niestrawność. Przedsięwziął też środki ostrożności w postaci dodatkowej bułki do kubka kawy z mlekiem, by nie pić *cynaru* na pusty żołądek. Ślepiec siedział na brzegu łóżka jak za pierwszym razem, lecz ani zgarbiony, ani przygnębiony. Stefano przyswoił sobie pozdrowienie, jakie słyszał we wsi, ale dopełnił je wszakże bardziej oficjalną formułą:

— *Salve*, panie Mezzanotte. Altini Stefano melduje się na służbę.

— Altini... — powtórzył kaleka, jakby po raz pierwszy słyszał to nazwisko. — Altini... Byli jacyś Altini w dolinie Petriolo. Sprzedawaliśmy tam jajeczka kuropatw, jak byłem chłopcem. Szmat drogi pod górę, najczęściej się nie opłacało. Czekałem na ciebie. Mam dla ciebie zadanie. Chciałbym, żebyś poszedł do cyrku i zasięgnął języka. Przede wszystkim: jak długo tu zostaną? To rzecz główna. Następnie: kto jest właścicielem? Szukam dziewczyny, która nazywa

się Valentina Rossi. Cyganie są zazdrośni o swoje kobiety, więc uważaj, z kim rozmawiasz. Oczy ma brązowe, w cętki, jak skrzydełko wróbla, włosy czarne, długie aż do kostek, skórę koloru skoszonego siana. Dłonie ma wąskie i ruchliwe, o palcach zakończonych jak dłutka. Na jej szyi widnieje znamię tuż poniżej ucha, tyle że trudno je dojrzeć, bo jej kark zakrywają ciemne gęste loki. Idź do cyrku i sprawdź, czy ona tam jest.

Stefanowi nie zabrało wiele czasu wypytanie o to pracowników cyrku. Była ich tylko piątka, plus trzech małych chłopców, którzy włóczyli się za nim dumni, że i za dnia ktoś przejawia zainteresowanie ich światą. Premierowy wieczór okazał się klapą, tak sromotną, że właściciel, choć serdecznie nie cierpiał policji i wojska i starał się unikać osób umundurowanych, ucieszył się, że może upuścić choć część porannej żółci w rozmowie z tym ciekawskim rekrutem. Był człowiekiem wychowanym w cyrku. Niektórzy twierdzili, że wyrósł w lunaparku, on wolał jednak nazywać tamte wspaniałe, bogate widowiska z czasów swojego dzieciństwa cyrkiem, w odróżnieniu od dzisiejszych żalonych jarmarków stłoczonych wokół mechanicznych diabelskich młynów. Chowano go na opiekuna zwierząt. To on musiał wstawać o czwartej, piątej rano, żeby nakarmić tę pstrą hałastkę.

Początkowo był pomocnikiem karmiciela i podlegał pewnemu ordynarnemu starszemu chłopaczysku. Kiedy z czasem stanowisko to jemu przypadło, zdążył już pokochać zwierzęta. W ich towarzystwie czuł się najbezpieczniej. Dbał o nie najlepiej jak umiał; był dumny, że kradnie dla nich siano i zboże z cudzych stodół. Mieli oczywiście własny zapas paszy, na wypadek gdyby zjawili się *carabinieri* dla zbadania skarg o kradzieże, ale przede wszystkim polegał na hojności nieświadomych ofiarodawców. Wstawał świątek i piątek wcześniej rano, aż w końcu weszło mu to w krew. Obecnie, gdy nędzne resztki ich cyrku jemu

przypadły na własność, nadal wstawał do świtu, choć nie miał już nic do roboty. Poranne godziny straciły dla niego swój urok. Nie bacząc na szyderstwa rodziny wciąż trzymał lamę, papugę i psa. Czasem wydawało mu się, że więcej łączy go ze zwierzętami niż z własną żoną. Największą miłością darzył małąkę Titę, która udawała, że pogardza całym światem, wyłącznie dla swojego pana rezerwując zainteresowanie i dobry humor. Była jak uwielbiana i wierna kochanka, która przed innymi ukrywa swe wdzięki i nie flirtuje ani z przyjaciółmi, ani z obcymi mężczyznami.

Właściciel cyrku wstał tego dnia jak zwykle przed świtem i w podłym nastroju wałęsał się po łysym ugorze. Na widok zbliżającego się żołnierza, ucieszył się w duchu.

— Dzień dobry — przywitał go Stefano. — Proszę wybaczyć najście, ale nigdy jeszcze nie widziałem z bliska cyrku, więc pomyślałem, że zajdę i rzucę okiem. W Castello nie widuje się na co dzień lam. Bo to lama, prawda?

— W istocie, peruwiańska lama, ostatnia z trójki. Miały wspólny numer, skakały przez płonącą obręcz, a potem gasiły ogień parsknięciem śliny. Jej koleżankom zmarło się przed paroma laty...

— Ojciec opowiadał mi kiedyś o pewnym cyrku. Właściciel nazywał się Maestro Rossi. Zdarzyło się go może panu spotkać?

— Czy mi się zdarzyło? — roześmiał się tamten. — *Sono io*, we własnej osobie! — Mówiąc to wskazał na siebie palcem i poklepał się po piersi, jakby sobie czegoś gratulował.

— Więc to pan jest Maestro Rossi?

— Czy wyglądam na kogoś, kto ma sto lat z okładem, nie mówiąc o tym, że od ponad czterdziestu nie żyje?

— Proszę wybaczyć, ja...

— Owszem, to cyrk Maestra Rossiego, ale sam Maestro Rossi zginął zaraz po wojnie w Kalabrii. Byłem wtedy małym smarkiem, więc słabo to pamiętam. Ci, co go znali,

opowiadali, że awanturnik był z niego jak jasna cholera, nie było wieczoru, żeby z kimś nie zadarł, wystarczyło, że facet krzywo na niego spojrział. Zadźgali go nożem. Do tego dziwkarz, a takich na Południu nie lubią.

Stefano milczał. Zamienił się cały w słuch i nie próbował przerywać. Nie wiedział, że to najlepszy sposób do pobudzenia gadatliwości właściciela cyrku.

— A jeśli cię ciekawi, co się stało z jego dziećmi, mogę ci powiedzieć. Maestro Rossi miał tylu nieślubnych synów, że mógłby z nich utworzyć prywatną armię i wyzwolić Włochy bez pomocy Amerykanów. Pomyśleć: facet mógł zostać prezydentem, ale on nie, nigdy nie uznał żadnego ze swoich bękartów. Po jego śmierci wylazła ich jak spod ziemi cała gromada. Ci, którym puszczały się już wąsy, nosili je dla zaznaczenia podobieństwa, żeby mieć takie same sumiaste wąsiska, jakie nosił Maestro. Niektórzy z nich byli do niego podobni jak dwie krople wody, powiadam ci. Bez dokumentów i nazwiska można było stwierdzić, że to progenitura Rossiego. Ale, jak już mówiłem, on ich nigdy za życia nie uznał, więc nawet nie mieli co próbować dochodzić po jego śmierci praw do spadku.

Miałem dziesięć lat — ciągnął właściciel cyrku — kiedy umarł. Cała scheda przypadła jego siostrzeńcowi, Garibaldiemu Rossiemu. Maestro miał hyzia na punkcie tego chłopaka. Przymykał oczy na wszystkie jego wady. To Garibaldi doprowadził ten cyrk do ruiny. Interesował się nim tylko jako środkiem do zwabiania młodych chłopców. Wuj był dziwkarzem, siostrzeniec — wprost przeciwnie. Za jego rządów kolejki ustawiały się nie do kramów, a do jego budy. Nawet nie był złym człowiekiem, nie można powiedzieć, po prostu słabym. Zakochał się w pewnym młodzieńcu z Le Marche i przez dwa lata żyli ze sobą jak nowożeńcy w podróży poślubnej, wyprzedając co tylko się da. Sprzedali moje zwierzęta, furmanki, budy, wielki namiot. Do swojego barakowozu doprowadzili prąd z akumulatora

samochodowego i zainstalowali adapter. Po całych nocach słuchali muzyki amerykańskiej. Niektórzy z zespołu mówili, że chcieli w ten sposób zagłuszyć swoje miłosne kwiki, ale ja podglądałem ich przez okno, więc wiem, że przytuleni do siebie tańczyli przy tych pościelówkach.

Jak tylko skończył się ekwipunek i forsa, kochaś gdzieś zniknął. Szukaliśmy go po całym kraju. Przetrzęsaliśmy Le Marche wioska po wiosce, zaglądaliśmy do każdej dziury. Poszukiwania pochłonęły prawie całą resztę majątku. Któregoś ranka pan Garibaldi Rossi zaczął wzywać pomocy ze swojego barakowozu. Po południu już nie żył. Mówili, że miał tego dnia siedem ataków serca. Niezyczliwi twierdzili, że pewnie miał w nocy siedmiu kochanków. — Właściciel cyrku wzruszył ramionami i zaczął rozplatać sierść lamy, którą dotychczas machinalnie zaplatał w warkoczyk. — Większość zespołu zdążyła tymczasem odejść. Reszta zmyła się, jak tylko wezwano policję do truposza. Zostaliśmy tylko ja i Emiliana Cotechini, i cyrk na naszej głowie. Pobraliśmy się więc i od tego czasu razem ciągniemy ten wózek. Ale mówię ci, pojęcia nawet nie masz, jak wyglądał cyrk za czasów mojej młodości. Niebo a ziemia w porównaniu z tym. Może któregoś dnia, jeśli wygram na loterii jakąś grubszą sumkę, odkupię menażerię i barakowozy. Sprawilibym też sobie nosorożca.

— A co się stało z jego córką? — zapytał ostrożnie Stefano. — Podobno Maestro Rossi miał córkę?

— No i gadaj tu z takim! — Właściciel cyrku pokręcił gniewnie głową jak człowiek nagle obudzony ze snu. — Przecież ci mówiłem, że on miał dosłownie setki bachorów, obojga płci, i wszystkie twierdziły, że są potomkami Rossiego.

— Tak, rozumiem, ale ojciec opowiadał mi, że w czasach kiedy on znał Rossiego, jakieś dziesięć, trzynaście lat wcześniej, Rossi miał córkę, dorosłą dziewczynę, która z nim mieszkała. Podobno ładna, czarnowłosa...

— Faktycznie, zgadza się, miał taką córuchnę, ale pierwsze słyszę, żeby była ładna, prędzej już diablica z piekła rodem. I nie mieszkała z nim, wychowywała ją jedna Cygan-ka, Agata. Ale we wojnę coś się musiało zdarzyć, bo nagle zniknęła, jakby się w powietrzu rozwiła. Nie umarła, pojmujesz, po prostu przestało się o niej mówić. Jakaś wstydl-liwa historia. W takim wesołym miasteczku o zejście na złą drogę nietrudno, okazji nie brakuje.

— Zdaje się Valentina... Valentina Rossi.

— Zgadza się... z tym że nie całkiem Rossi, bo tatuńcio ją wydziedziczył. Stary cap był mściwy. Nie dałbym głowy, czy nie prześladuje mnie zza grobu.

Kiedy właściciel cyrku wymawiał słowo „grób”, podniósł prawą rękę, jakby się chciał zasłonić przed urocznym okiem.

— Czy ona nie była czasem zaręczona z jakimś żołnie-rzem? — indagował dalej Stefano.

— *Oddiol* Co to, przesłuchanie? A skąd ja mam ni-by wiedzieć? Przecież ci mówię, że gdzieś zniknęła, gdy by-łem jeszcze smarkaczem! Co jest, mundur ci padł na mózg czy jak? Szoruj z mojego terenu! Tu jest wesołe miastecz-ko, kapewu? Nie widzisz, co tu pisze? Zabieraj się stąd, ale już!

Stefano wycofując się bąkał pod nosem słowa przepro-sin. Z okna najbliższego domu wychyliły się zwabione krzykiem kobiety. Obejrzawszy się za siebie z biegnącą w górę od wesołego miasteczka uliczki Stefano zauważył, że kwadratowy z grubsza teren ogrodzono plastikową taśmą rozpiętą na kilku wbitych w ziemię palikach. Na jed-nym z nich, od ulicy, wisiała tabliczka z napisem:

**TEREN PRYWATNY**  
**OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY**  
**UWAGA: NIEBEZPIECZNE ZWIERZĘTA**

Mezzanotte przyznał mu się później:

– Nie zmartwiło mnie, że jej tu nie ma, zmartwiłbym się, gdyby była. Ona nigdy nie żyła w świecie realnym, zawsze wśród marzeń i błyskotek. Wymyśliła swoje wcześniejsze życie i wielbiła je. Dla prawdy nie miała specjalnego nabożeństwa, wydarzenia rekonstruowała tak, jak to jej pasowało. Wyobrażała sobie przyszłość i wyświetlała ją sobie jak na ekranie. Terazniejszość w ogóle jej nie obchodziła. Własnej przeszłości prawie nie miała na czym budować, a jednak to z niej czerpała największą radość. Mówią, że kochankowie upodabniają się do siebie, przejmują od siebie nawzajem skłonności i poglądy. Zdaję sobie sprawę, że pod tym przynajmniej względem upodobniłem się do Valentiny. Moja przeszłość nie była zbudowana na piasku, wyrastała ze skał tej doliny, z kamieni tej wioski. Valentynie z jej uwielbianej przeszłości zostały tylko świecidełka: wieczorna torebka wyszywana różowymi i zielonymi paciorkami, fotografia, którą później zniszczyłem, wyszczerbiony szylkretowy grzebień i para bucików do tańca. Z tych resztek odtworzyła sobie nie tylko matkę, ale całą rodzinę i świat jako sceneryę dla swojej rodzicielki. – Mezzanotte zamilkł na chwilę, pomyślawszy sobie, że on z kolei miał tyle kamieni probierczych przeszłości, że zmiażdżyłyby mu palce. – Przeszłość Valentiny przebiegała wśród bezkresnych pól i na gościńcach okrytych tumanami kurzu. Gdziekolwiek zatrzymywał się cyrk, okruchy tej świętej przeszłości mogły zostać zapomniane, mogły się zatrzeć, pogubić. Po zwinięciu obozu trawa i chwasty zarastały plac, na którym tę kruchą przeszłość rozrzucano. Jeśli tabor nie wrócił więcej w to samo miejsce, jeśli objazd wypadł inną trasą, te rozsiane szczątki na zawsze przepadały. Valentina była bezbronna, zawsze tak było, oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

On, Alessandro Mezzanotte, mieszkał dla odmiany w zamkniętym przed światem ulu. Każda komórka jego



pamięci przetrwała nienaruszona. Gdyby zdarzyło mu się o czymś zapomnieć, wieś otaczała go niczym muzeum pamiętek. Jeśli komuś zatarł się w pamięci jakiś szczegół, wystarczyło, że pofatygował się do zasiadającego w barze sejmiku i po prostu zapytał. Dzieje każdego poszczególnego żywota były zapisane w pamięci ziomków, archiwa zaś przechowywano gromadnie. Nawet miłość Alessandra do Valentyny była faktem znanym i zarejestrowanym. Nie pochwalano jej, akceptowano jednak z taką samą rezygnacją, z jaką godzono się z innymi klęskami. Nikt przecież nie pochwalał trzęsienia ziemi w roku 1917, ale też nikt nie zaprzeczał, iż miało ono miejsce ani nie pomniejszał szkód, jakie wyrządziło.

Jako chłopiec Alessandro był niemal zupełnie nieświadomy swojej przeszłości. Niektórzy krewni zakłócali mu co prawda tę błogą nieświadomość, choćby dziadkowie, których plecy przygarbiły się od ciężaru wspomnień. Dla niego życie biegło w czasie terazniejszym rozciągniętym w bezkresną przyszłość jak cudownie elastyczna guma, która się nigdy nie zrywa.

— Valentina postrzegała czas inaczej. Dla niej terazniejszość była tylko furtką do przyszłości. Potrafiła całkowicie ignorować to, co ją otaczało, jeśli tylko widziała przed sobą atrakcyjną drogę. Przeszłość stanowiła dla niej świętość, przyszłość musiała malować się zawsze jasna, świetlista i wielościenna jak kryształowa kula Cyganki Emiliany.

Valentina mnie nie zawiodła, to ja ją zawiodłem. Polegała na mnie. Kochała mnie, wiem, że mnie kochała. Chciała, żebym dzielił jej wizje, wchodził razem z nią w te jej świetliste perspektywy.

Najszczęśliwsza była wtedy, kiedy tańczyliśmy; dziś myślę nawet, że szczęśliwsza niż wtedy, kiedyśmy się kochali. „Moja matka była tancerką”, mówiła mi z nie znoszącym sprzeciwu przekonaniem, jakie dawała jej ta porzucona

para trzewików do tańca. Zastanawiało mnie wtedy, dlaczego nikt nigdy nie wspomina o matce Valentyny. Jak gdyby przestała istnieć, nie tyle umarła — choć może i tak było — tylko okryła się w ich oczach hańbą.

Zadawałem sobie nieraz pytanie, czy Valentina nie zakochała się aby we mnie w nadziei, że ją porwę i w oczach jej ojca okryję niesławą, co jeszcze bardziej upodobniłoby ją do matki.

Potykałem się o własne stopy, ocierałem o coraz to nowe przeszkody. Odległości wydłużały się, lecz świat jest labiryntem wodnych kanałów, po których nauczyłem się żeglować. Ciemność dnia jest niczym w porównaniu z ciemnością samotności. Ja poznałem obie.

Nigdy nie umiałem rozmawiać na pewne tematy z moimi sąsiadami. Straciłem przez to okazję uczestniczenia w ich rozmowach od serca i dzielenia ich uczuć. Takiego dokonałem wyboru, a oni go uszanowali. Wiele razy miałem ochotę wyrwać się z tej mojej skorupy, ale zdaję sobie sprawę, jak niebezpieczną rzeczą jest burzenie utartych przyzwyczajęń. To tak jakby nagle zbudzić lunatyka. Od tyłu już lat tkwię w ich ciele niczym odłamek szrapnela, że rana po nim już się zagoiła, zblizniła i szrama pobladła. Spróbujesz to zmienić, znów rozbabrzysz ranę.

Każdy z miejscowych ludzi nosi pod skórą jakieś cierpienie. Nie ma takiego, który urodził się przed wojną i nie mógłby wydobyć z mroków pamięci jakiegoś koszmaru. Ale jak długo można o pewnych rzeczach opowiadać? Jak długo powinien trwać okres żałoby, jak długo można oddawać się rozpaczy? Bieg naszego życia ustałby bez wspólnych zwyczajów. Mowa musi stać się myślą, jeśli nie ma się stać obłędem. A oto teraz dla mnie myśl na powrót stała się mową.

W ciągu następnych tygodni Mezzanotte opowiadał Stefanowi o swojej miłości. Zaczęła się, gdy był jeszcze

chłopcem, a nie skończyła nigdy. Była tak silna wspomnieniami minionej namiętności, że Stefano wiele razy zadawał sobie pytanie, czy nie powinien się uważać za szczęściarza, iż podobnej nie zaznał. Każdego dnia, gdy jechał do wsi Mezzanottego lub stamtąd wracał swoją alfa romeo ze złożonym dachem, słuchając na cały regulator radia wykrzykującego jakiś najnowszy przebój, dostrzegał coraz więcej szczegółów w stojących wzdłuż szosy domach. Dręczyło go, że wszystkie te domy są dla niego jak ziemia nieznana. Potrafił tylko przejeżdżać obok nich, ale gdyby tak samochód się zepsuł i przyszłoby mu zapukać do ich kamiennych wnętrz, poczułby się zgubiony.

Gdy nadeszła jesień, zaczął coraz dłużej przesiadywać u Mezzanottego. Nadal przyjeżdżał punktualnie o ósmej, parkował wóz przed barem na dole i wspinał się na wzgórze przy akompaniamencie kapryśnego dzwonu kościoła Santa Maria i regularniejszym wtórze jego odpowiednika z kościoła San Crescentino. Kiedy jednak przychodziła pora odjazdu, nie zerkał już ukradkiem jak niegdyś na zegarek i często zbierał się do odejścia dopiero późnym wieczorem.

Nawet gdy Stefano zapominał o godzinie odjazdu, Mezzanotte o niej pamiętał za niego. Umiał odczytywać czas z odgłosu kroków i gwaru ulicy. Odgadywał go po gęstości powietrza i śpiewie ptaków. Zdarzały się co prawda wieczory, że zatracał się w swej opowieści i zapominał o płynących godzinach. Lecz nawet i wtedy pierwszy zwykle uświadamiał sobie, że popołudnie już minęło i jego opiekunowi czas wracać do domu. Dopiero po kilku miesiącach ich znajomości zdobył się na to, żeby zwracać się do Stefana po imieniu. Początkowo nazywał go „chłopcem”, następnie próbował na niego mówić „Altini”. Dopiero w tygodniu winobrania, kiedy obaj obchodzili winnice sąsiadów, kosztując w każdej winnego moszczu, czemu obowiązkowo towarzyszył łyk wina z ubiegłorocznych zbiorów, zaprzyjaźnili się na tyle, że Mezzanotte ośmielił się

zwrócić doń: „Stefano”. Chłopak nosił w kieszeni butelkę *cynaru* i dolewał go do każdej szklanki, z której ślepiec kosztował soku, po czym zaśmiewali się obaj z rezultatu, jaki to dawało, a wraz z nimi śmiała się cała wieś. Przez szacunek jednak nadal tytułował kalekę „panem Mezzanottem”.

W październiku, w porze zbioru winogron, wieczorami wieś pustoszała. W listopadzie pustoszała na czas zbioru oliwek. Kotlinki w zboczach wzgórze, gdzie rosły gaje oliwne, rozkwitały jaskrawopomarańczowymi siatkami. Zagajniki oliwne leżały poza granicami wsi, z dala od codziennych szlaków Mezzanottego, nawet najbliższy z nich, ten w Nuvole, był zbyt oddalony. Stefano zaproponował, że podwiezie starca pod Sant' Agnese, żeby był bliżej zbiorów, lecz Mezzanotte odmówił. Rok okazał się nieurodzajny i tylko kilka kwintali z hektara zwożono do tłoczni na skraju wsi od strony Castello. Mówiono, że zapowiada to ciężką zimę, równie srogą, jak twierdzili niektórzy, co zima roku 1984. Tamtej nie przeżyły ani oliwki, ani starcy. Ludzi, którzy przetrzymali wszystkie plagi, od trzęsienia ziemi po okupację, którzy patrzyli, jak ich świat staje się za sprawą techniki bardziej fantastyczny od wszystkich luna-parków, zabrały mrozy.

— Ej, *si*, \* — wszyscy się zgadzali, że to był zły rok, a następny zapowiada się nie lepszy.

— Hej, Stefano, co ty tu jeszcze robisz o tej porze? Czas do domu!

Chłopak jednak miał coraz częściej ochotę zostać dłużej. Wciągnęła go opowieść starego kaleki, paliła ciekawość, co stanie się dalej z jej bohaterami, jak się rozwiną wątki przedziwa, które prządl Mezzanotte. Miał ponadto wrażenie, jakby jego życie było smakołykiem w zawiązku, którego rozkwit w tajemniczy sposób opóźniono. Stracił apetyt do obfitych posiłków, którymi się obżerał przez ostatnie dziesięć lat. Stwierdził, że pragnąłby zostać zaproszonym

na cowieczorny posiłek Mezzanottego: *penne al pomodoro*. Pewnego dnia zebrał się na odwagę i zapytał kalekę, dlaczego codziennie je na kolację to samo skromne danie składające się z makaronu i sosu pomidorowego.

— Właściwie nie wiem — odparł Mezzanotte. — Pewnie dlatego, że to było pierwsze danie, jakie nauczyłem się sam gotować, i przywykłem do niego; w pewnym sensie zastępuje mi rodzinę. Assuntina prawie każdego dnia prosi mnie, żebym zaszedł do nich na górę i zjadł kolację z jej rodziną. Jest dla mnie samą uprzejmością, zaproponowała, że będzie mi znosiła jedzenie tu na dół, skoro mam chęć jadać w samotności. Ale ja cenię sobie swoją niezależność, a poza tym jedzenie ma dla mnie dziwny smak, podobnie jak z innymi rzeczami, muszę się domyślać jego wartości i aromatu. Wszystko, co miało słodycz w moim życiu, tkwi zamknięte wewnątrz mojej głowy. Zapach to dla mnie obcy język, a nie zawsze mam słownik pod ręką. Łatwo mnie to peszy. Jedzenie i picie mają moc wytrącania mnie z równowagi.

Początkowo wyglądało na to, że przede wszystkim staremu zależy na rozmowach ze Stefanem. Nim jednak dziewicza oliwa z oliwek wypełniła ostatni dzban, wojskowy opiekun również żył już tylko opowieścią Alessandra. Dnie spędzał siedząc na brzegu łóżka Mezzanottego, w nocy leżał w swoim pokoju w Castello, obudowanym robionymi na miarę regałami na encyklopedie i puchary, rozmyślając o Valentine, o młodym Alessandrze i o uczuciu, które kazało jego podopiecznemu zjeździć cały półwysep wzdłuż 1 wszerz.

Zaczął widzieć Valentine taką, jaką zapamiętał ją Mezzanotte, nie zaś taką, jaką teraz była: sześćdziesięciosiedmioletnią Cyganicha po drugiej stronie życia. Miała dziewiętnaście lat, kiedy Mezzanotte widział ją po raz ostatni, i dziewiętnastoletnią miała już dla niego pozostać na zawsze. Wydawała się przeto, mocą jakiejś dziwnej zdrady,

dziewczyną odpowiedniejszą raczej dla młodego Altiniego niż dla zakochanego w niej starca. Jednej nocy śniło się Stefanowi, że leży z nią w objęciach, całuje jej szyję i wciska członek między uda dziewczyny. Słyszał w tym śnie muzykę, widział wznoszenie się i opadanie karuzeli, falującej w rytm jego ciała zanurzającego się coraz głębiej w Valentine. Mezzanotte opowiadał mu, że jej skóra miała zimną barwę gotowanych kasztanów. Stefano pieścił tę brązową świetlistą skórę, czując na języku nie tylko smak gumy zmieszany z zapachem palonego cukru i olejku rozmarynowego, jaki mu opisał Mezzanotte, ale i gęsty lepki smak gotowanych kasztanów. Obudził go wytrysk nasienia; jęk rozkoszy ustąpił miejsca zawstydzeniu.

Zima przyszła tamtego roku bez zwykłych zapowiedzi. W ciągu jednej nocy skuła Castello lodem. Ulice zmieniły się w ślizgawki, fontanny zamarzły. Rano nie można było otworzyć drzwiczek samochodów. Ozdabiające fasady domów geranium w skrzynkach okiennych wymarzło, uschły drzewka cytrynowe w wystawianych latem na dwór donicach, oleandry straciły gałęzie. Pękły rury centralnego ogrzewania i tysiące rur wodociągowych. Na placach trzaskały posągi, z kościołów sypały się gzymsy. Środkowe Włochy były zupełnie nie przygotowane na atak tak ostrej zimy. Stefano po raz pierwszy spóźnił się do Mezzanottego. Nawet po nocach, kiedy dawał się uprosić i do szóstej rano odbywał z kolegami wyczerpujące rundy po barach i dyskotekach, doczołgiwał się do wioski Mezzanottego punktualnie o ósmej.

Z powodów, których nie rozumiał i nie był nawet ciekaw, zaczął jednak stronić od towarzystwa kolegów. W ich paczce zawsze było dla niego miejsce i czuł, że nigdy go nie zabraknie, lecz cugle, które dotąd starał się mocno trzymać w rękach, zaczynały mu się wyslizgiwać. Wymawiał się obowiązkami służby, używając zawsze tego samego argumentu: „Niestety, nie mogę iść z wami na trening kosza,

jestem przykuty do mojego inwalidy." Również gdy siedział w swoim pokoju zatopiony w rozmyślaniach, odpowiadał zwykle: „Przykro mi, nie mogę zagrać w jutrzejszym meczu, jestem przykuty do mojego inwalidy." O Mezzanottem mówił zawsze jako o „swoim inwalidzie", nigdy nie przypominał kolegom o jego ślepotcie. Nie lubił komentarzy, jakie wywoływało zazwyczaj nazwisko starca. Przyznawał, że „Północ" to zabawne nazwisko dla niewidomego, ale nie życzył sobie, by inni robili sobie z tego żarty. Kiedy jego ojciec, bardziej natarczywy od kolegów, zaglądał do jego pokoju i próbował go namówić, żeby zszedł na dół na kieliszek wina oraz coś, co nazywał „pogaduszkami", Stefano zawsze odmawiał, pod pozorem że studiuje przypadki różnych spraw sądowych. Żałował tylko, że nie ma co czytać. Historię Mezzanottego nosił w głowie.

Niekiedy żałował, że w ogóle poznał swego podopiecznego. Czuł wyraźnie upływ czasu. Na początku służby jedenaście miesięcy wydawało mu się okresem niemiłosiernie długim; obecnie, na jej półmetku, zaczynał się lękać, co z nim będzie, gdy służba się skończy. O nieobecnej Valentinie wiedział już wystarczająco dużo, by jej pożądać, wciąż jednak wiedział niewiele o samym Mezzanottem. W szpitalu powiedzieli mu, że wybuchł obok niego pocisk przeciwpancerny, a Stefano mógł się sam przekonać, że stary od pół wieku żyje jak w pancerzu.

Zaczął źle sypiać. Budził się w nocy i gapił w cienie na suficie. Próbował dotknąć swojego strachu i zaraz się przed nim cofał. Myślał o swojej matce i o tym, że nikt, nawet Fabrizia, nie powiedział mu nigdy: „Ona już nie wróci." Po prostu nie powiedziano mu tego. Początkowo nie odczuwał lęku, ponieważ, choć wyjeżdżała, zawsze potem wracała. Niedługo wróci, niedługo się obudzi. Jego ojciec, który bez oporów wymierzał oskarżonym dożywocie, a ogłaszając taki wyrok wymawiał zawsze grasejujące „r", jak gdyby się tym orzeczeniem rozkoszował, ze wstydu nie przyznawał

się synowi do dożywotniego wygnania matki. Kiedy na dobre zabrano ją z domu, dopiero wtedy Stefano zaczął się bać naprawdę. Bał się zasypiać ze strachu przed tym, co przyniesie mu otchłań snu. Surowe metody sędziego nie rozproszyły jego lęków, wpędziły je tylko głębiej, w bezpieczne przed nim schronienie.

Każdej nocy Stefano uczył się nie myśleć. Nie myśleć o ciemności i o lęku, który się w niej czaił, nie myśleć o matce, o jej nieobecności, o jej chorobie. Nauczył się zajmować wyłącznie powierzchnią zjawisk i poruszać po niej jak ślepiec po omacku. Szkoła była miejscem niebezpiecznym, które groziło w każdej chwili zachwianiem wątplą równowagi, jaką osiągnął za pomocą swej podświadomości. Zdobył mistrzostwo w sporcie — chronił się w ten sposób przed koniecznością myślenia.

A teraz leżał bezsennie po nocach w skutym mrozem mieście i miał nadzieję, że może Mezzanotte przepłoczy jego dziecięce lęki.



# IV

## WYPADEK

### 8

**M**roźne wiatry były tak przenikliwe, że aż zabiły papużkę falistą Assunty Giuliani. Kury we wsi przestały się nieść. W parafii San Severino zmarło nowo narodzone niemowlę; jego dziadek przeziębził się na pogrzebie i w niecałe dwa tygodnie później został pochowany obok swojego wnuczęcia. Jednego popołudnia nad wsią Mezzanottego przesunęła się chmura pomarańczowego pyłu i pokryła wszystko świetlistym nabłonkiem. W barze mówiono, że to piasek Sahary przywiany przez jakiś nietypowy sirocco. Mróz zabarwił blizny na twarzy Mezzanottego na kolor stalowosiny, dziwnie kontrastujący z różową jak u lalki plastikową ręką. Skóra weterana upodabniała się do wypłowiałej mapy kolejowej poliniowanej ściegami niezliczonych połączeń, przypominając mu swędzeniem o młodzieńczych włóczęgach. Główne magistrale i linie lokalne sieci kolejowej środkowych Włoch były wypisane na jego twarzy w sposób trwały.

Miał kiedyś podniszczony kolejowy rozkład jazdy obejmujący spis połączeń całego kraju, nawet tych najbardziej odległych, nawet spis pociągów nocnych wlokących się

do najdalszych zakątków Kalabrii, nawet kolejek górskich, wijących się po przepaścistych torowiskach wzdłuż wybrzeża liguryjskiego. Znalazł go w koszu na śmieci na dworcu w Forli, przechowywał jak drogocenny skarb i wbił sobie do głowy przez cztery następne lata. To dzięki temu rozkładowi był w stanie podążać za cyrkiem; wyłącznie dzięki rozszyfrowaniu zawilości tysięcy możliwych połączeń mógł co tydzień biec do Valentiny.

Duce miał za punkt honoru, by pociągi kursowały punktualnie. Kiedy więc z rozkładu Alessandra wynikało, że ma cztery minuty na przesiadkę w Arezzo, wystarczyło mu polegać na ręczności własnych nóg, kiedy gnał tunelami na właściwy peron (o którym informacja była również podana w jego kolejowej biblii) i randki w Montevarchi, Imprunecie, Empoli, Pistoï, Bibbienie czy Borgo San Lorenzo zawsze dochodziły do skutku.

Kiedy cyrk po raz pierwszy opuścił San Severino i przeniósł się do odległego o mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów Umbertide, Alessandro wstał przed świtem i powędrował pieszo po wyboistych drogach, aż dotarł na przedmieście tego miasteczka, gdzie usiadł na brzegu Tybru i zanurzył w wodzie stopy wśród sitowia wystrzępionego przez zięby w białe kłaczki podobne do cukrowej waty na patykach. Odczuwał zarazem podniecenie i strach, że zabiega o względy Valentiny taki szmat drogi od domu. Zdawał sobie sprawę, że gdyby czekał na powrót cyrku Rossiego w przyszłym roku, dziewczyna o cętkowanych oczach, którą tak nieoczekiwanie pokochał, ledwo by go pamiętała. Instykt podszeptął mu, aby podążał za swoją wybranką, tropił ją niestrudzenie i nie znalazł wytchnienia w zdobywaniu sobie jej względów. Córka Maestra Rossiego nie mogła narzekać na brak powodzenia; otaczali ją chłopcy bez porównania atrakcyjniejsi od Alessandra Mezzanottego. Jego jedyną nadzieją było upodobnienie się do tego biednego chłopca z bajki, który zabija smoki i wyprą-

na koniec świata po skarby, jakich zażądała od niego piękna dziewczyna, bowiem pragnęła go zniechęcić. Będzie jeździł za nią wszędzie, adorator szukający perły. Dowiedzie, że ją kocha. Udowodni to jej samej, jej ojcu, wreszcie Cygance Agacie, która nim pogardzała, a mimo to pozwalała kwitnąć jego miłości, jakby chciała się za coś zemścić na ojcu Valentyny. Cały zresztą cyrk spowijały sieci intryg niczym szare wiotkie pajęczyny.

W dni deszczowe w koleinach i miejscach wydeptanych kopytami koni i stopami ludzi tworzyły się błotne grzędzawiska. W dni upalne odpadki z lunaparku, odchody i gnijąca karma zwierząt psuły się i śmierdziały. Młody Mezzanotte co tydzień przechodził przez ten chlew, niewrażliwy na polityczne i społeczne powikłania, wiedziony jedynie przez swoją miłość — jak przez gwiazdę przewodnią — tam, gdzie czekała na niego Valentina. Jeździł do niej co tydzień. Opuszczał swoją skorupę, by usiąść u boku ukochanej, trzymać ją za rękę, dotykać jej policzków, oliwkowego czoła, warg, a stopniowo i reszty jej ciała, z wyjątkiem tajemnicy, którą chowała we wnętrzu swojej głowy, rozwijała zaś jak z węzła i pozwalała mu oglądać jedynie wtedy, gdy trzymał ją w mocnym uścisku i okręcał w tańcu do melodii polki, walca lub mazurka.

Mezzanotte zastanawiał się nieraz, czy Valentina by go pokochała, gdyby nie umiał tańczyć, i dziękował Bogu, że jego brat Elio był wioskowym muzykantom i w nieskończoność ćwiczył na akordeonie, zmuszając braci i małą siostrzyczkę, aby w takt tej muzyki tańczyli. Czasem tańczyli w parach, chłopcy z dziewczętami, ale najczęściej z partnerkami rwanymi na wzgórzach: pękami gałęzi janowca, które zaczynały życie jako pachnące delikatnie miodem namiastki dziewcząt, a kończyły je jako wysuszone i pomarszczone wiązki chrustu na podpałkę. Alessandro nauczył się tańczyć, kiedy był brzdącem, gdy płatał się pod nogami swojego brata Marca, potykał o gałęzie janowca,

a potem okręcał je wokół siebie jak gibką tancerkę. W wieku piętnastu lat był już najlepszym tancerzem w całej wiosce; pomimo rosnącej postury stopy miał lekkie, a wycucie rytmu doskonałe. Dawno przewyższył Marca, również zwanego tancerza. W letnie wieczory na wzgórzu na polance przed starym *palazzo*, który straszył ruinami wież, strzaskającymi okiennicami i fasadą z rzeźbionej terakoty, tańczył ze wszystkimi prawie kobietami ze wsi. Schodziły się na te tańce i stare, i młode. W prześwitującym przez cyprysy blasku księżyca doskonalił taneczny kunszt, którym miał później oślnąć spragnioną tańca Valentine.

Valentina tak przywykła do rzeczy niezwykłych, że jej zdolność do zachwywania się całkiem obumarła. Przeważnie cuda jej nie wystarczały; potrzebowała czegoś więcej. Jako dziecko została tak nasycona obrazami jak z bajki, przekarmiona takim nadmiarem osobliwości, że jej apetyt uległ deprawacji i nabrał skłonności do wyuzdanych dziwactw. Ludźmi pogardzała, chyba że potrafili ją zabawiać nowymi wciąż sztuczkami. Jej ogólne znudzenie życiem, przerywane chwilowymi kapryсами, nie osłabiło jednak zachwytu Alessandra. Dzięki Valentine chłopak odkrył miłość, seks, poznał życie poza opłotkami rodzinnej wioski; stała zaś nagrodę stanowiło dla niego samo zjawisko cyrku. I ta właśnie mieszanka, entuzjazmu z uporem, podbiła w końcu serce Valentiny. Jego podniecenie dokonało tego, czego sprawić nie były w stanie ani cyrkowe zwierzęta, ani ludzkie dziwolaży, choć to one były źródłem ekscytacji Alessandra. Świadomość, że garbate konie to naprawdę wielbłądy z rzymskiego ogrodu zoologicznego, nie zmniejszała ani na jotę jego zdumienia, ile razy przed nimi stawał. Wiedza, iż wielbłądy pochodzą z Afryki, z pustyni zwanej Sahara, którą potrafią przemierzać całymi tygodniami nie pijąc w ogóle wody i odnajdując drogę wśród bezkresnych piasków, czyniła je w jego oczach istotami tym niezwykłościami. Opowieści o tych garbatych koniach nasłuchiwał się w dzie-

ciństwie co niemiara, nie tylko we wsi, lecz i we własnej rodzinie; babka ze strony matki prowadziła regularne rozmowy z jednym z takich koni. Alessandro wiedział, że cyrkowe wielbłądy noszą imiona Leviticus i Sabia. Ilekroć przyjeżdżał do cyrku i musiał czekać na Valentine, rozmawiał z nimi łągodnie, zwracając się do nich po imieniu i nie tracąc nadziei, że któreś ze zwierząt mu odpowie, jak odpowiadało jęgo babce w lasach Ghironzo.

Cyrk sprawiał na nim wrażenie trupy upadłych aniołów: gromady wyższych stworzeń, które uczyniły cnotę z bycia tak gruntownie odmiennymi, a także źródło zarobkowania na życie. Gdyby Valentina wyciągnęła któregoś dnia ze swego woreczka zmiętą serwetkę i oświadczyła Alessandrovi, że to jej świadectwo urodzenia z jakiejś dalekiej gwiazdy, natychmiast by jej uwierzył. Ona sama odznaczała się charakterem i urodą, które odróżniały ją od wszystkich innych dziewcząt. Jej matkę spowijała tajemnica. Jej ojciec, ze swoimi sumiastymi wąsiskami, biczem ze skóry nosorożca, butami z cholewami i orlim nosem, nie był podobny do żadnego z pospolitych mężczyzn. Nando *il Nano* był bez wątpienia najmniejszym karłem, jakiego Alessandro widział na oczy. Kobieta-pająk, choć w gruncie rzeczy nie przypominała pająka, miała ręce tak długie, że mogła bez schylania się drapać sobie kostki nóg, a do tego była przeraźliwie chuda. Grubaska była naprawdę niebywale gruba, brodata kobieta naprawdę miała brodę, a bliźniaczki Cotechini w naszywanych cekinami trykotach potrafiły chodzić po linie i wywijać salta z gibkością prawie nadludzką na wysypanej trocinami arenie.

Odnosiło się wrażenie, że wokół cyrku kręcą się zawsze dziesiątki różnych osób, spod bud zaś wypętały i znowu się pod nie chowały całe tabuny dzieci. Alessandro był tak zakochany i tak zdziwiony faktem, że udało mu się po raz kolejny odnaleźć umiłowaną pomimo tylu zawrotnych przeszkód, jakie piętrzyły przed nim los i geografia, że

w ogóle nie dostrzegał wrogości, z jaką witano zawsze jego pojawienie się w wesołym miasteczku. Zdawał sobie sprawę, że Cyganka Agata go nie cierpi. I nic dziwnego, wszak wykradł jej wychowankę. Na niechęć innych pozostawał ślepy i głuchy. Nie przyszło mu nawet do głowy, że córka Maestra Rossiego może być od dawna obiecana innemu. Ich romansowi pozwolono się rozwinąć jedynie dlatego, iż nikt nie przypuszczał, by dziewczyna tak zepsuta i piękna jak Valentina mogła się zadurzyć w synu wieśniaka bez grosza przy duszy, na dodatek z mlekiem pod wąsem. Gdy zaś młodzi wyznali sobie miłość, zwrócono się o radę do kilku kryształowych kul, a one wszystkie zmętniały w identyczny sposób, czym wieściły zły koniec tej przygodzie i jej krótkie trwanie. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, iż w razie potrzeby sam Maestro Rossi spadłby na córkę w charakterze bicia Bożego, żeby bronić własnego honoru i batem nauczyć niewdzięczną dziewczynę moresu. Wszyscy byli święcie przekonani, że Maestro nie dopuści do takiego megaliansu. Był człowiekiem twardym, libertynem, lecz ojcem surowym. Najlepsza partia nie byłaby zbyt dobra dla jego córki Valentyny, jedynej prawowitej dziedziczki nazwiska Rossich. Apeniny i równiny dookolne nosiły tytuł małych Rossich ile płatków rdzy koła cyrkowych wozów. Maestro był bowiem kochankiem, który zawsze przepadł bez wieści. Z całej jego szeroko rozsianej progenitury jedną Valentine rozpieszczano i chowano na spadkobierczynię cyrku i całego jego inwentarza.

Cyganka Agata siedząc na drewnianych stopniach swojej budy i zwracając się do każdego i wszystkich, lecz do nikogo w szczególności, wygłaszała mrukliwe komentarze na temat prowadzenia się Maestra w czasie minionej dekady:

— Czasem połykacz ognia sparzy sobie gardło, czasem któraś z bliźniaczek zleci z liny, czasem widownia świeci pustkami, a wata cukrowa jest szara od kurzu. Czasem

Maestro Rossi pieni się ze złości, a czasem dyszy z pożądania. Napatrzyłam się już w życiu różnych rzeczy i nie myślałam, że coś mnie jeszcze zdziwi... a już na pewno nie coś takiego jak to, co teraz wpadło Maestro do głowy i opanowało wszystkie jego myśli.

Następnie wzruszała ramionami, cmokała i tak długo kręciła głową, że każdy, kto by jej nie znał, mógłby pomyśleć, że dostała ataku tańca św. Wita lub innej równie rzadkiej choroby.

Otrząsnąwszy się w końcu z odrazy, wracała z ponurą miną do swoich słoików i flaszek zawierających gorzkie zioła i trawy. W jej mrocznej budzie było pełno papierowych tutek z suszonymi liśćmi i suszących się na czarnej rurze od piecyka pęków ziół. Cyganka Agata miała leki na większość dolegliwości, zarówno cielesnych, jak i duchowych. Choć nie znalazła wśród członków trupy przyjaciela, cieszyła się szacunkiem, gdyż była ich lekarzem, uzdrowicielką pokiereszowanych członków i koicielką umysłów. Była nie tylko piastunką córki Maestra Rossiego; ona jedna znała wszystkie zakamarki ich najbardziej nawet zdeformowanych ciał. Znała się na cierpieniach i mękach towarzyszących monstrualnej otyłości, dręczących dotknięte uwiędnięciem bądź nadmiernie wybujałe ramiona. Gdy mamrocząc i pomstując siedziała na zbutwiałych stopniach swojej budy, pozostali członkowie trupy dopatrywali się w zalewającej ją żółci — o której poziomie świadczyła częstotliwość splunąć — konsekwencji jej lekarskich praktyk.

Kiedy Annibale D'Agnano, połykacz ognia cierpiący na maniacką potrzebę czystości, schodził nad rzekę, żeby wyszorować w tej kolejnej obozowej łaźni swe nienaturalnie białe ciało, gwizdał z daleka i wołał do Cyganki:

— Serwus Agata!

— *Buon di*, Annibale.

— Idę się wykapać — informował chrypliwie, ponieważ miał uszkodzone struny głosowe.

— Jeszcze się wymydlisz od tej wody. Oczyszczyć się lepiej od środka. Mam tu dla ciebie miksturę, zajdź do mnie, to ci ją dam.

Annibale D'Agnano uśmiechał się niepewnie i podążał dalej swoją drogą. Bał się Cyganki Agaty i jej miksturek chyba bardziej jeszcze niż brudu. Nigdy nie wchodził dobrowolnie do jej budy. Czasem, gdy coś się nie udało i poparzył sobie gardło, koledzy zaciągali go do niej, bo miała swoje sposoby na ugaszenie ognia w jego głowie. W tych jej sposobach kryło się jednak coś mrocznego i złowrogięgo. Annibale wolał więc wskakiwać do zimnego strumienia, gładzić palcami wodorosty i obserwować małe rybki śmigające obok jego nagiego ciała. Wolał kucac w głębokich stawach i trwać tak w kamiennym bezruchu. Podglądał czaple budujące gniazda, parzące się wydry, Valentine kąpiącą się w wełnianej halce i chędożącego ją młodego wieśniaka.

Niektórzy z męskich członków cyrkowej trupy, poczynając od Nando *U Nano*, a kończąc na zgrzybiałym ojcu bliźniaczek Cotechini, kochali się w Valentinie Rossi. Sam Annibale również jej pożądał, i miał jeszcze czasem zapalać się do niej chucią w nadchodzących latach, ale jej nie kochał ani nie roił sobie jak inni, że z nią ucieknie. Była w połowie Rossim, a Rossi był półdiabłem. Annibale nie cierpiał Maestra i nie zamierzał łączyć swojej krwi z owocem jego lędźwi, choćby nawet posąg miał być najszczerzejszy. Bracia Mario i Lorenzo, których powierzchowność i postura źle świadczyły o małżeńskiej wierności ich matki — Mario był niskim tłuszczoszkim o prawie białych, blond włosach i jasnoniebieskich oczach Liguryjczyka, natomiast Lorenzo, starszy z braci, był wysoki i postawny, smagły i porośnięty na całym ciele gęstymi czarnymi kudłami — przysięgli sobie na otwarte rany, że podzielą się nagrodą, jaka im przypadnie w następstwie umizgów do Valenty. Przez wiele lat wozili dziewczynę za darmo na karuzeli i z poświęceniem całymi popołudniami bawili się z nią



w kotka i myszkę i rzucanie pierścieniem do celu, aby sobie zaskarbić jej względy. Ponieważ obaj chcieli ją pojąć za żonę, hamowali swe żądze, czekając aż mała podrośnie. Kiedy Mario, pulchny blondasek rozpoczął właśnie pierwszą fazę poważniejszych zalotów, zjawił się ten intruz ze wsi. Mario przysięgał bratu, że jego zabiegi spotkały się z chętnym przyjęciem ze strony dziewczyny. Marzenie ich obu: wejście w posiadanie karuzeli, którą ich rodzina smarowała i malowała z oddaniem od niepamiętnych czasów, zaczęło się rozwiewać. Znienawidzili przeto Alessandra Mezzanottego i przystąpili do wzbudzania w obozie jak największej do niego wrogości. Opłacili stare wiedźmy, żeby rzuciły na niego straszne zaklęcia. Ukradli jego chusteczkę do nosa i posłużyli się nią, żeby zwrócić na niego uroczone oko. Za plecami Valentyny przy każdej okazji wyrażali się źle o jej kochanku.

U schyłku lata, kiedy w winnicach zaczęły dojrzewać winne grona, a cyrk ruszył niemrawą procesją w obłokach kurzu do Castello i San Giustino, Sansepolcro i Poppi, z powrotem zaś po drugiej stronie wzgórz do Arezzo, Cortony i nad Jezioro Trazymeńskie, Alessandro stał się mężczyzną. Nauczył się znajdować drogę w plątaninie sieci kolejowej. Zanim cyrk rozbił obóz na najsroższy okres zimy pod murami miasteczka Castiglione del Lago, rozeznawał się już w tym systemie tak dobrze, iż zaczął tkąć swoją własną pajęczynę podróży tam i z powrotem, oplatając nią kraj jak przedziwem babiego lata. Ojciec go bił, matka błagała, wszystko na próżno; żył tylko dla swojej miłości. Nabrał sił, tyrał w polu jak wół i pożytku było z niego prawie tyle co z prawdziwych wołów. Nikt nie mógłby go oskarżyć o zaniedbywanie się w obowiązkach, pracował jak szalony, jak gdyby samym wysiłkiem mięśni był w stanie popchnąć tydzień naprzód i przetoczyć go niczym bełę siana z poniedziałku do niedzieli, by móc znowu puścić się w drogę tropem cyrku Maestra Rossiego.

I wrogowie z lunaparku i własna rodzina Alessandra byli przekonani, że odległości go w końcu pokonają. Nawet Valentina tylko dlatego pozwoliła mu się omotać, iż wierzyła, że wymknie mu się niechybnie, kiedy nie będzie już w stanie podążać za nią na piechotę. Odśloniła nawet przed nim takie cechy swojego charakteru, których w przeciwnym razie w ogóle by nie odkrywała. Tymczasem, niczym mucha najwyższego gatunku, wciąż tkwiła w jego pajęczynie.

— Byłem wtedy odporny na zimno. Pamiętam, że jako dziecko płakałem zawsze zimą z powodu odmrożeń. Pewnego razu, gdy popękały mi wargi i zaczęły krwawić, a twarz paliła mnie jak odarta ze skóry, Aurelio Venturini poradził mi, żebym najadł się słomy, to mi przyniesie ulgę. Zrobiłem tak i do dziś pamiętam, jak kłuły mnie w ranki jej suche źdźbła, pamiętam smak krwi i wstyd za własną głupotę. Przez długie lata nie odzywałem się potem do Aurelia. W tamtym czasie nie byłem tak skory do wybaczenia win. W stopy nie było mi zimno, nosiłem na nich trepy z drewna oliwki, zimą wpychało się do nich zresztą dodatkowo słomę, ale w ręce i głowę marzłem na wietrze i deszczu przeraźliwie. Zdaje się, że byłem chorowitym dzieckiem, dopiero później się wzmocniłem. Kiedy zacząłem pracować w polu, modliłem się tylko, żeby słońce już zaszło i przestało mnie torturować. A znów kiedy nastaly chłody, myślałem, że padnę i wyzionę ducha jak stary muł Fermiego. Zanim skończyłem piętnasty rok, przywykłem jednak do zimna. Wiem, że te moje podróże musiały być męczące, moja rodzina stale to powtarzała, lecz ja nawet nie zauważałem zimna ani deszczu. Najpierw szedłem dwie godziny na stację w Santa Lucia, tam kupowałem bilet i wsiadałem do pociągu. Dwie rzeczy umożliwiły mi taką formę podróży. Pierwszą były gadki, jakie słyszałem w barze. Ludzie gadali, że w naszej okolicy rosną najlepsze lasy

w całych Włoszech. Mówili, że Rzymianie zmuszali nas do spalania drewna, i że wszystkie podkłady kolejowe we Włoszech pochodzą z naszych stron. Mówili, że nasi przodkowie ginęli przy wyrębie dębów, z których układano tory. Im dalej je kładziono, tym więcej marło drwali. Orientowałem się więc po pierwsze, że istnieje kolej i, po drugie, że pod jej szynami leżą moi krajanie; zmarli przodkowie wyścielali mi drogę jak kraj długi i szeroki. Żadna więc ziemia nie była dla mnie obca, wbrew temu, co twierdziła moja rodzina, dopóki bowiem jechałem pociągiem, zawsze miałem pod stopami ziomek z mojej wioski, podróżowałem po ich kościach; dotrzymywali mi towarzystwa w godzinach samotności.

Mezzanotte przestał opowiadać równie nagle, jak zaczął. Pokręcił wolno głową, aż kosmyki siwych włosów zakłósały się nad jego czołem. Po długiej niespokojnej pauzie powiedział:

– Nie czułem zimna, kiedy jeździłem do Valentiny, ale teraz je czuję.

Stefano drgnął, po czym wstał, żeby przynieść pled i okryć nim starego.

– Dokąd idziesz? – zapytał Mezzanotte.

– Po pled z kufra.

– Daj spokój, Stefano, chłodem wieje w mojej głowie, nie okryjesz go pledem. Zmroził mi tylko na chwilę myśli. Nie martw się, zacznę tam, gdzie przerwałem, rzadko tracę wątek. Od tak dawna się tłukę po moim życiu i przeszłości, że umiem się poruszać wśród wspomnień. Nie nawykłem tylko do mówienia. Czasem sobie myślę, że moje życie przypomina jedną z tych koślawych skarpet mojej babki; pruję ją, psuję żmudną pracą staruszki i wracam do pięknego motka wełny, gotowego do ponownego użytku... Czy wiesz, jak opłacałem te moje podróże?

– Nie.

– Zgadnij.

— Pojęcia nie mam. Przypuszczam, że pracował pan w nadgodzinach.

Mezzanotte uśmiechnął się.

— W roku nie ma tylu godzin, żebyś mógł opłacić choć jedną podróż koleją. Ustrój już o to zadbał. Nigdy nie mieliśmy pieniędzy, jedynie długi wobec *padrone*. Nasze długi rosły jak purchawki w lesie, pęczniały i pęczniały w zależności od naszych zarobków. Kiedy zdarzał się cud i dostawaliśmy do ręki trochę gotówki, purchawka wybuchała i rozsiewała zarodniki na kilometry dokoła, a z nich rosły nowe purchawki.

Czasem udawało się nam zdobyć i sprzedać trochę dzicyzny — ciągnął Mezzanotte — lecz i to było przeważnie zakazane, sprzedawanie zaś czegokolwiek po sąsiedzku wiązało się z ryzykiem, że człowieka zadenuncjują i albo skazą na chłostę, albo wsadzą do więzienia za kłusownictwo na terenach prywatnych.

Sposobu dostarczył mi sam Maestro Rossi. Miał on gruby skórzany pas z wielką srebrną klamrą, którą, jak twierdził, wykuto ręcznie w Argentynie. Mawiał, że siadłszy do jedzenia, kontent był dopiero wtedy, gdy musiał poluzować ten pas o jedną dziurkę. Mimo względnej mizerii ciągłego życia w drodze, włączania się z miejsca na miejsce ze swą karawaną, obywatnia bez sanitariatów Maestro był smakoszem. Żył dla kobiet i dobrego jedzenia.

W jego trupie znajdowały się urwisy umięjące tak zręcznie świsnąć kurę czy kaczkę, że prawie nie zauważałem, kiedy biedne stworzenie znikало ani nie słyszałem jego ostatniego okrzyku protestu. Maestro nigdy na jedzeniu nie zbywało, wzdragał się jednak przed kupnem po cenach, jakich żądano w drogich sklepach, a jego banda wisusów za często się przemieszczała i miała za dużo zajęć w cyrku, aby poznać nowy teren choćby tak dobrze, jak znał swoje stroiny ostatni z naszych wioskowych gamoni. Ziemia była naszym warsztatem pracy, a lasy miejscem rozrywek. Znaliś-

my ich każdy zakątek, wiedzieliśmy, gdzie szukać truflii, czy to czarnych, czy białych, i co smakowitszych *funghi*; w sprzyjającej porze zawsze wiedziałem, gdzie ich szukać. Mogłem znosić Maestro Rossiemu słonki, które przeciągały nad naszymi wzgórzami, gołębie grzywacze tak soczyste, że łykając je wpadał w rozmarzenie, młode zajaczki pasione na dzikiej sałacie. Mogłem go zaopatrywać w kuropatwy i przepiórki, a także ich jajeczka. Mogłem mu znosić owoce *sottobosco* tak smaczne, że aż gębę rozdziawiał ze zdumienia. Jego wdzięczność za te przysmaki była tak wielka, że finansował moje spotkania ze swoją córką.

Z początku, gdy odbywałem me wyprawy pieszo, zanośiłem Valentinie, jej ojcu i Cygance Agacie te skromne płody ziemi w charakterze podarunków. Maestro zaczął jednak stopniowo odkrywać przede mną swoje bardziej wyszukane gusta. Jego słabość do raków graniczyła wręcz z obżarstwem. Tymczasem w stawach nad Nestore aż się od nich roiło, a nikt z nas za nimi nie przepadał. Mój ojciec powiedział kiedyś, że wolałby obgryzać cudze paznokcie, niż gryźć te nieznane chrząstki. Pewnego razu zauważyłem przed wozem Maestra kopczyk rączych szczypiec i zapytałem, czy używają ich w celach leczniczych. Wyobraź sobie moje zdumienie, ale i radość, gdy mi powiedziano, że Maestro te skorupiaki jada.

Przez cztery lata karmiłem go co tydzień najdziwniejszymi stworami. Jadał kraby, żaby, ślimaki winniczki i całą masę innych stworzeń, których nazw nawet nie znałem. Czasami bywałem przesadnie ambitny. Widziałem na przykład, że jada ślimaki, więc gdy jednego tygodnia nie udało mi się złapać żadnego, dostarczyłem mu słoik pijawek. Był tak zawiedziony, że omal nie przepędził mnie na cztery wiatry. Rzadko sam dawałem moim oszczercom taki materiał do ręki, ale ilekroć mi się to zdarzało, nie omieszkali skwapliwie skorzystać z okazji.

Mario i Lorenzo nie tylko obsługiwali karuzelę, prze-

wodzili także parodom kowbojów i Indian. Mario przywdziewał na takie procesje strój szeryfa i prowadził od miasteczka do miasteczka gromadę chłopców ze strzelbami na ramionach, Lorenzo z kolei, przebrany za czerwonoskórego, stawał na czele wojennej czeredy smarkatych wojowników, składającej się ze wszystkich chłopców o ciemnej z natury karnacji, jacy przyszli na świat w cyrkowej trupie. Obaj bracia tak się wżyli w swoje role, że grali je również w życiu codziennym, zwracając się do siebie w języku Dzikiego Zachodu. Choćby Valentina nie wiem ile razy zapewniała mnie, iż są naprawdę braćmi i takimi samymi Włochami jak ja, podejrzewałem uparcie, że przemycili się jakimś sposobem pod pokładem lub przebyli ocean jako pasażerowie bez kajut na statku wiozącym bydło z Ameryki. Byłem tak zafascynowany ich pióropuszcami i olstrami, że nie zauważałem nienawistnych spojrzeń, jakimi mnie obrzucali. Sądziłem chyba, że ponieważ Indianie i kowboje słyną z okrucieństwa, mordercze spojrzenia obu braci i gniewne prychnięcia mają na celu jedynie dodanie autentyczności ich zachowaniom.

Im dłużej nie reagowałem na ich wrogość i zaczepki, tym zajadlejsza wzbierała w nich złość. Valentina powiedziała mi kiedyś, że względną popularność, jaką cieszyłem się wśród cyrkowej trupy, zawdzięczam głównie tej dwójce. Wyjaśniła, że tyle czasu poświęcają na oczernianie mnie i przypisywanie najohydniej szych zbrodni, iż ludzie cyrku, wśród których nie brakowało wszak potworków, zaczęli mnie uważać za swojaka. Bracia nie tylko więc nie zdołali zbrukać mojego dobrego imienia, ale wystawili mi niechcący świadectwo moralności, toteż kobieta-pająk, grubaska, Nando oraz kilkoro innych zaczęli otwarcie mi sprzyjać.

Balansowałem w chwiejnej równowadze, tu traciłem, tam zyskiwałem. Nie żyłem już tak blisko z własną rodziną, oddaliłem się od braci. Brakowało mi czasem ich wycieczek i eskapad. Wolny czas spędzaliśmy dotąd razem. Marco

miał narzeczoną, której poświęcał kilka godzin w tygodniu, ale i on przyłączał się do chłopaków, gdy wyruszali na polowanie i pładrowanie gniazd. Z Eliem byliśmy wcześniej nierozłączni. Ja słuchałem jego muzyki, on moich wynurzeń. Kiedy poznałem Valentine, Elio, Marco i ja nadal spaaliśmy w jednym łóżku, na waleta jak zawsze, mimo to zaczynałem już być w domu obcy, głównie zresztą z własnej winy. Stałem się zazdrosny o swoje myśli. Pragnąłem zapamiętywać je wszystkie, by móc je potem powtórzyć Valentine; rozpraszenie wydawało mi się zdradą i oszustwem wobec niej. Wymagała tak pilnej uwagi! Przez cały tydzień gromadziłem swoje myśli, żeby je ofiarować mojej ukochanej razem z innymi darami, jakie jej składałem podczas każdego spotkania, kwiatami i różnymi pięknymi drobiazgami. Wysyłałem mózgownicę, żeby olśnić Valentine mądrymi powiedzeniami, zacząłem z wypowiedzi innych wyławiać okrągłe słówka i pięknie brzmiące przymiotniki. Język, którym dotąd mówiłem, okazał się nagle zbyt ubogi. Nie był w stanie wyrazić mojej miłości. Szczególnie na początku, zanim przemówiło moje ciało, czułem potrzebę nazywania każdej rzeczy po imieniu, tymczasem większość z tego, co pragnąłem wypowiedzieć, była nowa i nie miała nazwy w mojej rodzinnej gwarze.

Im usilniej wrywałem się na świat, tym zacieklej moi bracia starali się mnie zatrzymać. Zastawiali na mnie pułapki, a gdy zawodziły, zaczęli mnie przekupywać. Nimi również zawładnęły słowa. To co dotąd robiliśmy bez słów, kierując się instynktem odziedziczonym po pokoleniach przodków, zaczęliśmy teraz wyrażać słowami. Chcąc mnie skłonić do przyłączenia się do niego, Elio zaczął mi na przykład opisywać zamierzone wypady; kusił mnie tymi opowieściami na polu i w domu. Zaczął nawet mówić sam do siebie, jak Cyganka Agata, komentować zdarzenia przeszłe, bieżące i przyszłe. Zaczynał swe monologi razem ze światem, nim wśliznęły się do naszej izby pierwsze promie-

nie słońca. „Wyruszę stamtąd, gdzie rzeka się zwęża na pierwszym zakręcie za mostem, a następnie podejść pod Zeno Poggio przez ten las kasztanowców. Nos mnie dziś swędzi, to znak, że w tymianku roi się od tłustych *funghi*. Marcellino mówił, że znalazł pod szczytem łączkę usianą *biette*. Weźmiemy patelnię, rozpalimy ognisko, doda się ząbek czosnku i usmażymy je sobie ze szczyptą soli. Mniam, mniam, już mi ślinka leci. Czuję już ten zapach, aromatyczny i delikatny jak woń pieczonych skowronków. Może namówię Marcellina, żeby wziął swój kijaszek i upieczemy sobie na rożnie jakiegoś ptaszka, na przykład drozda, żeby było w czym maczać *dacia*. Matka i Elenita przygotowują nam świeże na drogę... Ach, już czuję ten smak popiołu, gdy je smażyć na płaskim kamieniu”.

Elio robił co mógł, żeby mnie skusić i osiągał cel, ja miałem jednak do wyboru z jednej strony przyjemność, ale z drugiej miłość.

Jestem wygnańcem zarówno ze świata smaków, jak i woni, a mimo to dziś jeszcze najbardziej brakuje mi smaku popiołu w chlebie wypieku mojej matki, a spośród woni — niezapomnianego aromatu leśnego podszycia i zalatującego cię w nos zapachu *porcino*, gdy rozgarniesz tymianek i uschłe paprocie nad jego kryjówką.

W niedzielę zrywaliśmy się zawsze najwcześniej, wcześniej nawet niż w zwykłe dni tygodnia, a to po to, żeby przedłużyć swobodę i wycisnąć to święto do ostatniej minuty. Już o piątej byliśmy na nogach, gotowi do wyruszenia w drogę — oni w swoją, ja w swoją. Na nich czekały wzgórza, na mnie stacja kolejowa. Oni ruszali gromadą, ja samotnie w moją długą podróż, odprowadzany jedynie przez zalegające pod murami wsi papierowe strzępy zawiadomień o zgonach, pogrzebach i mszach na czyjaś intencję. Te zrzucone przez tablice ogłoszeń węzowe skóry w czarnych obwódkach wspominały znajomych i nieznajomych, dopóki słońce i deszcz nie oblubiły ich z murów.



Szczególnie żywo utkwiała mi w pamięci jedna taka niedziela. Musiało to być pod koniec października, bo winogrona już zebrano i sok dochodził do pierwszej fermentacji; byliśmy wszyscy przeczyszczeni lub opuchnięci od winnego moszczu, zależnie od wieku i postury. Ja również byłem zupełnie skołowany i pusty w środku jak tykwa. Elio urabiał mnie przez cały tydzień, usiłując nakłonić, bym wyrzekł się niedzieli nad jeziorem i wybrał z nim do lasu. Miałem wrażenie, że oddalając się od wsi, odwijam swoje dzieciństwo jak przędzę z wrzeciona i uszczuplam samego siebie; im dalej odchodziłem, tym stawałem się mniejszy. Spieszyłem się na pociąg. Na tyle pociągów się wtedy spieszyłem, że prawie nie zauważyłem, iż tracę korzenie, zrywam jedną po drugiej ich nitki. Lecz tego dnia czułem wyraźnie, jak wywlekają się ze mnie nerwy i mięśnie i znaczą mój ślad jak śluz znaczy przejście węża, a potem lśni na gościńcu, póki nie przyjdzie rosa i deszcz, i nie wsiąknie w piach.

Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, co robię: dokonuję wyboru. Stawałem się dobrowolnie wybrykiem natury, honorowym członkiem cyrku, odmieńcem, który odciął się od własnych korzeni. To właśnie nad tym boleli Elio i Marco, moja matka i przyjaciele. Ilekroć wychodziłem ze wsi, dzieci podbiegały i gapiły się na mnie z rozdziawionymi ustami. Parzące się na spalonej trawie psy rzucały w moją stronę niechętne spojrzenia. Signora Graziella, wdowa po wojennym bohaterze (mówiono, że brała rentę dwa razy wyższą niż wdowy po zwykłych żołnierzach), każdego niedzielnego ranka, gdy ruszałem w drogę wymuskany niczym kogut przed walką, przyglądała mi się jakoś dziwnie, przeciągle. A ja patrzyłem na kikuty wierzb wśród winnic, których gałęzie odrastały jak kończyny żołnierzy po wojnie, i mijałem odarte z gron krzewy winorośli stojące w zapomnieniu w nierównych szeregach. W tamtych czasach, Stefano, malowało się na wiosnę pnie drzewek owocowych na niebiesko siarczanem miedzi. Niebieskie drzewa, zatrute

dla ich własnego dobra, stały na zielonych polach jak stworzy nie z tej planety.

Odcinek drogi między stacją a bezpiecznym azylem wioski przebywałem biegiem. Tylko tej części podróży naprawdę się bałem. Przed wojną o szerokim świecie, czyli wszystkim, co leżało za opłotkami naszej wsi, mówiło się w mojej rodzinie jak o terytorium wroga, lecz ja bałem się jedynie tego kawałka ziemi niczyjej przed stacją, pustego ugoru, w którym nawet kury nie odważały się grzebać. W pociągu czułem się już bezpiecznie. Byłem niczym pchła podróżująca na jego przegubowych członkach, robak w jego metalowej kiszce.

Podśluchałem raz, jak jedna baba mówiła do mojej matki, że jej zdaniem moja ślepotą to kara Boska za obrażę oczu. Mówiła szeptem, żeby nie dosłyszał, ale szept niesie się czasem dalej niż normalna mowa, wytwarza taki własny wiatr. Powiedziała, że zgrzeszyłem zarówno niewdzięcznością, jak i nieumiarkowaniem w patrzeniu, i moja ślepotą ma być za to karą. To zdarzyło się zaraz na początku, kiedy w sercu nosiłem jeszcze zapiekłą gorycz. Łatwiej się wyrzec pokus ciała niż słabości ducha. Musiałem wywlec moją świadomość z labiryntu mrocznych tuneli, zdławić urazy i uodpornić się na gorycz, zabalsamować serce.

Jesteś zmęczony, Stefano? Zanudzam cię? Postarzałem się. Wciąż widzę siebie jako młodego chłopaka, ale odkąd się zjawiłeś, słyszę gadającego starca, który doi cycek wspomnień, a potem ubija zjełczałe masło. Nie wiem, jak długo jeszcze potrafię się dalej starzeć. Od tak dawna żyję jak ćma zaplątana w firankę, że już nie mam siły dłużej się wyrwać.

Głowę mam pełną dworców, oleandrów i palm w doniach, pomp i fontann, kas biletowych i poczekalni, peronów i semaforów. Moja pamięć krąży powoli po wszystkich nitkach centralnej sieci kolejowej. Zatrzymuje się na każdej stacyjce i wypuszcza obładowanych bagażami pasażerów.

Widzę związane za łapki i niesione główkami w dół kurczęta wśród parcianych tobołów, tekturowych pudeł i płóciennych worków poborowych. Mężczyźni w świątecznych pogrzebowych garniturach wytartych przez kilka pokoleń przodków i nie dopasowanych do rozmiarów aktualnych posiadaczy siedzą na ławkach sztywno, jakby przytwierdzeni. Niewielu podróżnych ze wsi ma na nogach buty, większość nosi drewniane trepy wystrugane z oliwki lub wierzby. Buty traktowano jak dokuczliwą karę za grzechy i dziką ekstrawagancję, trepy noszono od święta, przez większą część roku chodzono na bosaka. Jeśli nie miałeś trepów, musiałeś siedzieć w domu lub starać się je pożyczyć. A my przyjęliśmy za punkt honoru nie przyznawać się do swojej biedy. W każdym domu trzymano odrobinę prawdziwej kawy, żeby przy rzadkich okazjach wizyty księdza, kogoś z willi *padrone* lub jakiegoś przyjeźdnego ze świata móc podjąć gościa jej łyżkiem, podanym w jednej z dwóch porcelanowych filiżanek, które zamykano na co dzień niczym Przenajświętszy Sakrament, żeby się nie zbiły w zamęcie naszych zwykłych posiłków. Naszą „kawą” był palony jęczmień, a gdy i jego zabrakło, parzyliśmy skórki od chleba.

Valentina i jej ojciec pijali prawdziwą kawę. Jej zapach należał do najbardziej charakterystycznych woni cyrku. Niezależnie od tego, o jakiej zjawiałem się tam porze, nad wozami unosił się zawsze aromat świeżo zaparzonej kawy. Valentina żyła jak wielka pani. Miała trzy różne sukienki uszyte z trzech różnych materiałów, a zimą nosiła płaszcz z czarnego aksamitu z futrzanym kołnierzem. Na jej ubraniach nie było prawie łąt ani cer. Głowę myła w wywarach i smarowała maściami przygotowywanymi przez Cyganek Agatę. Włosy miała piękne i była z nich dumna. Gdy się gdzieś kładliśmy, musiałem zawsze podkładać pod nie kocyk, żeby nie wplątywały się w nie gałązki lub owady. Dopiero wtedy rozrzucała je wokół siebie jak egipska księż-

niczka: aureolę ścieżek wiodących do jej głowy, krąg prowadzących do niej czarnych szlaków, linie kolejowe naszej własnej mapy, po których mkną pociągi nie zatrzymując się na stacjach. Głowę miałem pełną nazw przystanków kolejowych. Przelatywały mi przez nią każdej nocy przed zaśnięciem długimi litaniami, owiane zapachem olejku rozmarynowego, cukrowej waty, kawy, smakujące jak język Valenty: z Castiglion Fiorentino na południe do Camucii, Terontoli, Castiglione del Lago, Panicale, Chiusi, Orvieto i Orte. A na północ z Arezzo przez Giovi, Marcenę, Capolone, Subbiano, Rassinę, Bibbienę do Poppi...

## 9

Śnieg pokrywał wszystko. Trzeba było oskubać gęsi na Boże Narodzenie, lecz ziąb panował taki, że kobiety nie mogły zasiąść razem na zwykłym miejscu na spłachciu gołej ziemi za szkołą. Rozpaliły więc ognisko pod osłoną podnoszonego dachu garażu Marcella. Na oczach Stefana zmieniły się z nowoczesnych gospodyń domowych, jakimi stały się w ostatnich latach, królujących w kuchniach pełnych mechanicznych udogodnień, w gromadę bab sprzed stuleci: ubrane w łachmany, w dziurawych chustkach na głowach mieszały kopyścią w ogromnym żeliwnym saganie, podkładały gałęzie do płonącego pod nim ognia i opalały, skubały i patroszyły dziesiątki gęsi, sypiąc w błoto ich białe pióra, aż utworzył się dywan z pierza i puchu, na środku zabarwiony krwią. Przed kilkoma zaś ledwie godzinami Stefano przyglądał się, jak te same, dobroduszne z pozoru kobiety dusiły gęsi ukrecając im sprawnie dygoczące szyje, obojętne na gęganie trzepoczących w ich rękach ptaków.

Wieś szykowała się do jednego ze swoich corocznych świąt. Miała się odbyć uczta, tańce, a na koniec pokaz sztucznych ogni. W tych zabawach nie brali udziału jedynie

wioskowi inwalidzi — wśród nich Mezzanotte — oraz ich niańki. Ślepiec oświadczył, że nie ma ochoty na bale i pragnie zostać sam. Stefano, odtrącony, spędził więc ciche Boże Narodzenie i spokojny Nowy Rok w Castello. Ponieważ nie mógł znieść pustki w pokoju matki i Fabrizii, prędko uciekł do siebie na górę. Leżał na łóżku bojąc się zasnąć i rozmyślał z żalem o tych dwóch kobietach i długich latach ich samotności. Stryj Andrea wyjechał z rodziną na narty. Zapraszali Stefana, lecz on odmówił. Nie chciał się oddalać od swojego podopiecznego — przejął przeświadczenie mieszkańców wsi: poza granicami parafii nie ma bezpiecznego schronienia.

Po powrocie zastał wszędzie bożonarodzeniowe choinki, wieńce z wawrzynu i ostrokrzewu oraz kosze jodłowych szyszek. Miały tak stać aż do wiosny. Te wiecznie zielone rośliny odmieniły charakter wsi; upodobniły ją, na równi ze śniegiem, do jakiejś północnej osady. Śniegu napadało tyle, że Stefano i Mezzanotte musieli siedzieć w domu. Szczyty Rocagnano i Ghironzo wznosiły się nad białym krajobrazem niczym antyczni strażnicy, równie niedostępne jak księżyc. Jednego wieczoru zamieć zasypała drogę i Stefano musiał zostać na noc u Mezzanottego. Zadzwoił do domu i uprzedził o tym sędziego.

Pusty pokój zapełnił się trochę w ciągu ostatnich miesięcy. Przybył chodnik, piecyk elektryczny, zasłony w oknie, jeszcze jedno krzesło i rozrośnięty wilczomlec, który Stefano przyniósł na Boże Narodzenie. Na Trzech Króli podarował Mezzanottemu koszulę i butelkę *cynaru*.

— Hm, dziękuję ci — mruknął ślepiec, wyraźnie zakłopotany. Następnie dodał gderliwie: — Tym razem lepiej trafiłeś; kwiatu zobaczyć nie mogłem.

— Wiem. Przepraszam... zapomniałem...

Nie mógł zrobić staremu większej przyjemności. Ślepiec tak się ucieszył, aż jeden z kącików jego ust zmarszczył się i uniosł, co spowodowało napięcie bliznowatej skóry na po-

liczku i wykrzywienie wargi w przelotnym uśmiechu, od którego omal się nie nadpruła cerowanina jego twarzy.

— Czy ty wiesz, co dla mnie znaczy Capodanno?

Stefano pokręcił głową i burknął, że nie wie.

— To był mój ostatni dłuższy urlop. Nie miałem wolnego od kwietnia, kiedy to dostałem przepustkę na sobotę i niedzielę do Bolonii. Spędziliśmy razem dwadzieścia dwie godziny. Resztę straciłem w pociągach i na stacjach... Co ja mówię: straciłem. Nie straciłem, przecież zbliżały mnie do niej. Choć nastąpiła już wiosna, panowały jeszcze chłody. Pogoda w Bolonii zawsze taka była — z jednej skrajności w drugą. Nie mielibyśmy się gdzie podziać, gdyby Valentina nie znalazła nam przytuliska. Przypominało małą *cantine*, śmierdziało tam rozlanym winem i pleśnią, a ziąb był gorszy niż na dworze.

Powiedziałem jej — ciągnął Mezzanotte — że niedługo znów się zobaczymy, ale cyrk przyaresztowano ze względów bezpieczeństwa, a ona bała się podróżować sama. Nigdy mnie nie odwiedziła, ani w koszarach, ani wtedy, gdy przeniesiono nas dalej na północ, nad granicę. Dostawałem co prawda przepustki, ale nie dłuższe niż jednodniowe, a od niej dzielił mnie więcej niż jeden dzień drogi. Poza tym nigdy nie miałem pewności, gdzie się w danej chwili znajduje, zaczęła coś kręcić względem ich marszruty. Raz donosiła mi, że na okres walk nie wolno im opuszczać Reggio Emilia, to znów że na trzy tygodnie wyjechali do Toskanii. Mogłem uciec; chyba powinienem to zrobić, i odszukać ją. Kilku chłopaków z naszej kompanii uciekło. Jednego złapali i rozstrzelali.

Nigdy nie byłem specjalnie odważny, ale nie bałbym się zginąć od kuli. Nie to trzymało mnie w wojsku, z dala od niej. Bałem się, co by się stało, gdybym jej nie odnalazł, znała przecież tylko numer poczty polowej mojego batalionu i kompanii. Dopóki trzymałem się jednego miejsca,

mogła mnie zawsze odszukać. Gdybym zdezerterował, moglibyśmy zostać na zawsze rozłączeni.

Wolny czas spędzałem z Gavarinim, moim przyjacielem. Massimo był socjalistą. Wierzył w całą masę rzeczy, jakie mnie nigdy nawet nie przyszłyby do głowy. Część tego, co mówił, wyglądała na zupełną bzdurę, ale część brzmiała interesująco. Martwiłem się o niego, gdyż tak mocno wierzył w to, co mówił. Myślałem tak: człowiekowi, pojedynczemu człowiekowi, można wierzyć, jeśli się go zna, ale kto wierzy obcym, sam sobie biedy napyta. Ideały to pewnie bardzo dobra rzecz. Tylko że trzeba je najpierw sprawdzić, krok po kroku. Chłopi, *contadini*, o tym wiedzieli, ale miastowi tacy jak Massimo nie mieli o tym pojęcia.

Słucham radia i tej całej politycznej gadaniny, raz tak, raz siak, trudno się w tym połapać. Wygląda na to, że od czasów Massima nie poszło w tej dziedzinie ku lepszemu. Dalej nie można się w niej dopatrzeć zdrowego rozsądku. Przeważnie jednak nie o polityce rozmawialiśmy, ale o przyszłości, o tym, co będziemy robili po wojnie, o naszych rodzinach. Ja opowiadałem mu o mojej wsi, on mnie o swoim domu. Pochodził z Bolonii. Raz zabrał mnie ze sobą, żebym poznał jego rodzinę. Mieszkali przy ulicy San Petronio Vecchio. Massimo miał się za biedaka, ja uważałem, że jest bogaty.

Powiedział mi, że marzy o studiowaniu nauk ścisłych na uniwersytecie. Przed wojną uczył się w szkole wieczorowej. Ja przyznałem mu się, że moim marzeniem jest leżeć między udami Valenty i nigdy stamtąd nie wstawać, tyle co do pracy. Śmiał się ze mnie, ale nic sobie z tego nie robiłem. Był ode mnie o trzy lata starszy, lecz nie był za kochany.

Kiedy nas przenieśli nad granicę, nigdy już nie wróciliśmy do Bolonii. Massimo martwił się, gdyż niektóre miasta bombardowano i wciąż się bał, że jakaś bomba trafi w San Petronio Vecchio. Uspokajałem go, że gdyby nawet



bombardowali Bolonie, nie wybiorą raczej za cel kościoła, więc stojące w sąsiedztwie domy nie powinny ucierpieć. Ale on wciąż się zamartwiał, póki nie dostał listu od matki.

Cyrk opuścił Bolonię i nikt nie wiedział, dokąd się przeniósł. Wyjechał w sierpniu. A ja dostawałem wciąż listy jak smagnięcia biczem. Te listy doprowadzały mnie do obłędu. Valentina nie pisała, gdzie się znajduje. W każdym za to pisała: „Ukochany, spotkamy się znów na Capodanno”.

Pod koniec listopada przyplątała mi się jakaś gorączka. Nie mogłem w ogóle spać. Na kilka dni położyli mnie nawet do szpitala, ale że łóżka były potrzebne dla rannych, szybko mnie wypisali. Wszystko przez to napięcie oczekiwania. Myślę, że umarłbym, gdyby nie Gavarini. To on mnie trzymał przy życiu. Mówił: „Dostaniemy pięć dni wolnego na Capodanno, pojedziemy i odszukamy twoją Valentine. Kto wie, może i ja przy okazji znajdę sobie dziewczynę?” Jego dziewczyna rzuciła go, kiedy wybuchła wojna, przestraszyła się jego poglądów. Ale on o niej nie zapominał; miała na imię Rina. Nie chodził więc z kolegami do burdeli. Także to nas łączyło.

Noc sylwestrową mieliśmy spędzić u jego rodziny. Ale jeden z domów na ich ulicy tuż przed świętami spłonął i kilka sąsiednich kamienic uznano za niebezpieczne. Massimo miał ciotkę, która mieszkała na wybrzeżu w Sant Arcangelo i cała jego rodzina przeniosła się do niej. Wsiadliśmy więc w pociąg, żeby do nich dołączyć. Dopóki mieliśmy czas, było bez znaczenia, jak daleko musimy jechać, nasze wojskowe przepustki zapewniały nam podróż z błogosławieństwem Duce.

Nie wiedziałem, czym jest wojna, dopóki nie zobaczyłem krajobrazu, jaki przesuwał się za oknami pociągu; przypominał pociętą bliznami twarz. Cała Północ żyła dzięki kontrabandzie ze Szwajcarii; im dalej od granicy, na tym większe patrzyliśmy cierpienia. *Contadini* cierpieli,

cierpiała moja rodzina, myślę jednak, że najgorzej cierpieli ludzie w miastach. Zobaczyłem twarz głodu, jakiej dotychczas nie znałem. Nie była to znajoma twarz niedostatku i twardego życia, ale wychudła, chora, zniszczona twarz, wyjedzona do kości miesiącami postu. Nawet w Sant Arcangelo, z jego otoczonym kolumnami placem, podium dla orkiestry i łukiem triumfalnym, Cyganie i żebracy zabijali się o jedzenie.

Chciałem zaraz wracać i szukać Valentiny. Wyobrażałem sobie, że przymiera gdzieś głodem, zbyt osłabiona, żeby do mnie przyjechać. Massimo nawet słyszeć o tym nie chciał.

„Uszy do góry”, rozkazał, przy tym dał mi taką sójkę w bok, że omal nie spadł mi plecak. „Przyjechaliśmy świętować Capodanno z moją rodziną. O bladym świetle w Nowy Rok wrócimy pijaniutcy na tę stację, gwizdząc sobie na godzinę policyjną, i ruszymy najwcześniejszym pociągiem przetrząsając Toskanię. Ze mną nie zginiesz, bracie, nie zapominaj o tym. Pozwól też sobie przypomnieć, że wojna w równym stopniu dotyka wszystkich, w tym moją matkę i ciotkę. Dla nich ja jestem Valentiną, więc proszę, żadnych ponurych min przy świątecznym stole”.

Mezzanotte wykrzywił w grymasie uśmiechu twarz i pokręcił w rozmarzeniu głową, jakby smakował resztki swoich wspomnień.

— Cóż to była za kolacja, Stefano, co za uczta!

Nastąpiła dłuższa pauza, po czym stary odchrząknął głośno i boleśnie.

— Ależ byłem głupi! Jakież byłem tamtej nocy szczęśliwy! Na przekór wszystkim wcześniejszym zmartwieniom czułem się naprawdę szczęśliwy. Upiłem się z Massimem, jego ojcem, braćmi i wujkami. Byliśmy tacy pijani, że zwaliliśmy się wszyscy na kupę przed kominkiem i spaliśmy aż do rana. Obudziliśmy się nie na dworcu, a spleceni ramionami w przyjaznym uścisku. Byłem taki szczęśliwy; powinienem przewidzieć, że Bóg mnie za to ukarze.

Opowiem ci — ciągnął Mezzanotte — co się nam przydarzyło w drodze do Toskanii. Nikomu o tym dotąd nie opowiadałem, nie miałem odwagi. Valentinie bym pewnie opowiedział. Często sobie myślałem, że jej bym opowiedział, choć żołnierz nie powinien za dużo gadać. Widzisz, jedziemy na wojnę, oglądamy i robimy rzeczy zbyt straszne, żeby o nich mówić, a potem wracamy do domu i zacinamy się w milczeniu, ot i wszystko. Taktowne milczenie jest wrogiem cywilizacji. Massimo mawiał: „Który chłopak przy zdrowych zmysłach poszedłby na wojnę, gdyby wiedział, co go czeka? Każdy by prysnął. Ludzie bajdurzą o żołnierskim obowiązku. Obowiązkiem żołnierza jest opowiedzieć prawdę i przełknąć swój wstyd.

Nie wiem, co jest dobre, a co złe, co jest taktowne, a co prawdziwe. Cierpienia były złem, uzbrajanie brata przeciw bratu było złem, ale tymczasem słyszy się same kłamstwa. Codziennie słucham radia i słyszę same bzdury.

Opowiem ci, co się zdarzyło w Toskanii, ale teraz jestem zbyt zmęczony. Muszę się położyć. Zima dobrała się do mnie i łamie mnie w kościach.

Nastąpiła jeszcze dłuższa pauza. Mezzanotte spał.

Śnieg padał i padał, grzebiąc wieś pod swym dziewiczym cif żarem i zacierając jej kształty, aż stały się prawie nie do rozpoznania pod białą pierzyną. Giuliani pożyczyli Stefanowi łóżko polowe i kilka kocy. Proponowali mu wolny pokój na nocleg, ale on wołał niewygody izby Mezzanottego. Assunta zniosła mu na dół kolację na tacy, za co jej podziękował. Chętnie zjadłby posiłek do spółki ze starym, lecz ten się nie obudził. Ravioli, pieczony kurczak, miska sałaty i ciasto: starczyłoby tego dla czterech.

Kiedy nasycił głód, ogarnął go niepokój, poszedł więc do baru i wypił u Concetty dwie szklanki wina. Śniegu padało na czterdzieści z górą centymetrów, ale miejscami leżał w zaspach wysokich na metr z okładem. We wsi panowała atmosfera radosnego podniecenia. W dolinie rzadko padał śnieg, zwykle nie starczało go nawet do lepienia kul. Na ulicach obrzucali się śnieżkami dorośli i dzieci. Grubo okutani, pozapinani na suwaki i guziki, obrzucali się śnieżnymi pacynami, ślizgając się i przewracając, a śnieg sypał i sypał z czarnego, nocnego nieba. Śmiechy przeszły nibawem w krzyki, gdyż walki nabierały zaciętości.

Stefano oberwał w głowę tuż za lewym uchem, gdy pokonywał ostatnie stopnie baru. Nie wiedział, skąd nadleciał zlodowaciały pocisk, ale ochoczo przyłączył się do walki; atakował każdego, kto mu się nawinał. Nauczycielka wyszła na dwór i ogłosiła, że szkoła pozostanie zamknięta z powodu opadów, właśnie otrzymała w tej sprawie wiadomość z Castello. I ją wciągnięto do walki, zbombardowawszy kulami, więc wycofywała się **spiesznie** do budynku szkolnego o odrapanej fasadzie.

Do pokoju Mezzanottego Stefano wrócił zziębnięty i przemoczony do suchej nitki. Pod kurtką topniał mu śnieg, ręce bez rękawiczek zsiniały i spuchły. Zapach jego schnącego na kaloryferze ubrania obudził kalekę.

— To ty, Stefano?

— A któż by inny?

— Przez te wszystkie lata mroczyła mi noc moja ciemność wewnętrzna. Nie przywykłem do towarzystwa. Czego oni się tak wydzierają? Co się tam wyprawia? A na czym będziesz spał?

Nie skończył jeszcze, kiedy gwar na dworze przeszedł od okrzyków przerażenia do wesołego śmiechu.

— Obrzucają się śnieżkami. Assunta dała mi łóżko polowe. Czy panu zawsze tak świszczę w płucach? Dziwnie pan oddychał przez sen.

— *Si, si.* Połknąłem swoje płuca, kiedy straciłem wzrok, a z płucami połowę twarzy. Nie ułatwia to oddychania, zapewniam cię.

Mezzanotte zaczął dziobać kolację. Nie powiedział tego głośno, ale rzucało się w oczy, że wolałby swój makaron z sosem pomidorowym. Te potrawy nie sprawiały mu żadnej przyjemności. Żuł, krzywił się i przetykał ze znacznie większym wysiłkiem, niż go zwykle okazywał, gdy poprzestawał na swojej prostej wieczerzy.

— Jaki był ten pański przyjaciel, Massimo Gavarini?

— Był jak dziecko — odrzekł bez namysłu Mezzanotte.

— Miał w sobie tyle dziecięcego entuzjazmu i pogody ducha! Mały filozof. Na każdy temat miał własną teorię, ale to dosłownie na każdy. Pić należy tylko *cynar*, i nie dlatego, że tani, lecz że to trunek poważny; już on wyjaśniłby ci dlaczego. Co się tyczy jedzenia, za każdym jego kęsem kryła się jakaś filozoficzna podbudowa. Massimo cieszył się z każdego dnia i starał się przeżyć jak najpełniej każdą jego chwilę, powiadał, że to nasz obowiązek. „Pomyśl tylko o tych wszystkich biedakach, którzy już nie mogą cieszyć się życiem. Zrób to dla nich.” Jak wyglądał? Czasem już zapominam, jak wyglądało to czy owo, ale jego wciąż mam przed oczami jak żywego, więc mogę ci go opisać. Był szarym, miał kasztanowe włosy i piwne oczy, ramiona, nogi i szyję porośnięte kręconymi kudełkami. Był bardzo owłosiony, niższy ode mnie i nie tak szeroki w barach. Skórę miał jasną jak kobieta, więc mógł sprawiać wrażenie delikata. Dziewczętom ogromnie się podobał, wszystkie z nim flirtowały. Miał wygląd i sposób bycia chłopaka z wielkiego miasta, co im imponowało. Mówił: „Piękne dzięki, patafiana sam sobie mogę trzepać, mam dwie ręce i dość wolnego czasu. Szukam czegoś więcej.” Czasem dziewczyny patrzyły na niego jak na zbrojeńca, ale że były to przeważnie prostytutki, niektóre z nich proponowały mu najbardziej wymyślne usługi. A tymczasem on mówił o przyjaźni, szukał kogoś, z kim mógłby się dzielić rozpieszczającym go entuzjazmem.

Śnieg przestał w końcu padać. W ciszy słyszało się tylko zachrypnięty chór psych naszczekiwać. Psy ujadły i zawodziły całą noc, prowadząc aż do rana hałaśliwy dialog. Stefano domyślił się, że Mezzanotte musiał przywyknąć do tego psiego jazgotu, bo zdawało się, że w ogóle go nie postrzega. Choć w pokoju stało krzesło i łóżko polowe, Stefano siedział obok starego człowieka na jego wysokim łóżku. Popijali gorzko-słodki *cynar*.

— Wsiedliśmy w pociąg do Florencji. Był Nowy Rok

1942. Wszyscy mieliśmy wtedy nadzieję, że do wiosny wojna się skończy. Jechaliśmy przez Forlì do Faenzy. Dobrze znałem te stacje, przejeżdżałem przez nie w mojej pogoni za cyrkiem. Nawet jeśli istniały stacje, na których nie byłem, znałem przynajmniej ich nazwy z czasów, kiedy studiowałem kolejny rozkład jazdy. W Faenzie mieliśmy przeziadkę. Przepustki wystawiono nam tylko na Sant Arcangelo i Castello, ale Massimo powiedział, że przy święcie, biorąc do tego pod uwagę uszkodzenia linii, możemy sobie pozwolić na znaczne nawet zboczenie z trasy.

Florencja nie różniła się niczym od Bolonii – kontynuował Mezzanotte – roiała się od Niemców. Ostatnią wiadomością, jaką miałem od Valentiny, był list nadany z Colle Val D'Elsa w prowincji Siena. Nie napisała mi, czy stanął tam cyrk, a ja przypomniałem sobie, że kiedyś już się tam zatrzymali, w roku 1938; ja również odwiedziłem wtedy tę miejscowość. Napisała w tym liście, że nie podaje mi swojego adresu z obawy, abym nie zdezerterował, żeby się z nią zobaczyć. Pisała, że wojna niedługo się skończy i wtedy się pobierzemy. „Nie warto burzyć naszego przyszłego szczęścia dla kilku godzin miłości”.

Zmieniła się wobec mnie, nie było już w niej dawnego żaru. Ja przez lata naszej miłości wielokrotnie ryzykowałem dla niej powrót w czasie godziny policyjnej. Naruszałem wydane przez Duce ograniczenia podróżowania. Przemierzając kraj wzdłuż i w szerz, żeby się z nią zobaczyć, ryzykowałem przesiedlenie, a nawet więzienie. Zresztą zachęcała mnie do tego. Dodawała mi odwagi. „Nie złapią cię”, zapewniała z takim przekonaniem, jakby wyczytała to z kryształowej kuli Cyganki Emiliany.

Nie obwiniam Valentiny za tę zmianę, jedynie ją stwierdzam. Kochałem tak bardzo, że zmiana w dziewczynie nie miała dla mnie znaczenia, nie chciałem jej nigdy krępować. Jeśli potrzebowała więcej wolności, moja miłość była dość pojemna, by ją objąć. Martwiło mnie tylko, że Va-

lentina nie podaje mi adresu, nie pozwala upewnić się na własne oczy, że jest zdrowa i bezpieczna. Przeczuałem jakiś nieszczęście. Czułem, że coś przede mną ukrywa. Od kwietnia aż do końca roku udawało mi się jakoś bez niej wytrzymać; wierzyłem, że zobaczymy się na Capodanno. Traktowałem to jak jej osobiste przyrzeczenie. Nie przyjmowałem do wiadomości, że wojna ma moc wdzierania się w życie zwykłych ludzi i burzenia go.

Massimo rozumiał to lepiej ode mnie. We wszystkim zdawałem się na niego. Sam przygotowywałem tylko marszrutę kolejową, on zajmował się resztą. Szczęśliwie udało nam się szybko opuścić Florencję. Robili tam obławy na dworcu, wyłapywali dezertarów i Żydów.

W naszej wsi nie było Żydów ani cudzoziemców, jeśli nie liczyć tych dwóch sióstr z San Severino, które się do nas wżeniły, i biednej matki Rosiny, która pochodziła aż spod Castello. Gdybym poślubił Valentinę i sprowadził ją do domu, zostałaaby największą u nas cudzoziemką. Massimo powiedział mi kiedyś, że wyłapują również Cyganów i wysyłają ich za granicę w bydłęcych wagonach. Na dworcu nie widzieliśmy ani jednego Cygana. Wcześniej nie przyszło mi nawet do głowy, że władze mogłyby aresztować Valentinę i Maestra Rossiego. Być może zaszyli się gdzieś, żeby uchronić Cyganki Emilianę i Agatę, choć trudno ukryć taką karawanę wozów. Doszedłem do wniosku, że zagraża im niebezpieczeństwo.

Kiedy osiągnęliśmy w końcu linię do Sieny, zrobiło się już późno; straciliśmy prawie cały dzień. Czułem się głupio, że psuję Massimowi urlop. Zaproponowałem, żeby wracał do swojej rodziny, na co mi odrzekł: „Jesteśmy przyjaciółmi, pamiętaj, równie dobrze mogę spędzić ten urlop z moim kumplem. Wszystko mi jedno, dokąd pojedziemy. Mamy przednią zabawę, nie musimy siedzieć w obozie i nikt się do nas nie przypieprza”.

Całą drogę do Poggibonsi sprawdzano nam co jakiś czas



dokumenty, a siedząca naprzeciwko nas kobieta oświadczyła, że chłopcy z Toskanii zamierzają w Grecji na śmierć. Toskania straci tam niedługo wszystkich swoich synów, a jej wnuki zostaną sierotami. „A wy czego się szwendacie koleją, gdy nasi synowie giną na wojnie? Wracajcie do swoich batalionów i walczcie w naszej obronie. Znalazły się obieżyświaty!” Starła się podburzyć przeciw nam innych pasażerów, lecz nikt jej nie poparł. Wyglądało jednak na to, że im bardziej ją ignorowano, tym bardziej stawała się pyskata. „Jak wam nie wstyd objadać się i pałętać jakby na wakacjach!” Terkotała tak w rytm stukotu kół całą drogę aż do Poggibonsi.

Zmierzchało, gdy dotarliśmy wreszcie do Colle Val D'Elsa. W miasteczku stacjonowali Niemcy. Kilku z nich wałęsało się po placu, kryjąc się pod arkadami przed zimnem. Nie mieliśmy pieniędzy na nocleg wygodniejszy niż w stodole. Mimo zbliżającej się godziny policyjnej miłośnica tętniła życiem, jakby rozpieńczyła jakieś nowiny. W barze po drugiej stronie placu koło stacji tłoczyły się Czarne Koszule z wysztafirowanymi damulkami w futrach. Massimo nie pozwolił mi wejść do środka, żeby zapytać o cyrk. Poszliśmy tam, gdzie cyrk rozbił się ostatnim razem, na wydeptaną łąkę pod murami miasta. Była pusta, ale nosiła ślady niedawnego biwaku. Cyrk zawsze zostawiał po sobie stopy śmieci: opróżnione puszki po smarach, odpadki paszy i gnijącego jedzenia, zwierzęce łajno, a w ziemi koleiny, ślady po kołach wozów.

Zbliżała się pełnia księżyca. Jego poświata wydobywała z ciemności sterty śmieci. Koczowało wśród nich kilka rodzin. Puściłem się biegiem w ich stronę; nie sprawdziłem nawet kim są, tak byłem podniecony nadzieją ujrzenia Valentiny. Tamci nie podzielili mojego entuzjazmu. Na spotkanie mi wyszła gromada ponurych typów, uzbrojonych w noże i potrząskane butelki. Massimo dogonił mnie i odciągnął.

„Przepraszam!”, krzyknął, „przepraszam, przyjaciele, kolega szuka rodziny! Myślał, że tu ją znajdzie. Jest podniecony, to z nerwów.” Zatrzymawszy się stwierdziłem, że mam przed sobą jakichś biedaków, bezrobotnych albo uchodźców. Byli ubrani w łachmany, a mieszkali w budach skleconych z blachy, dykty, kartonu i wszystkiego, co tylko wpadło im w ręce.

Kilku z tych wyrzutków o posępnych spojrzeniach zaszło nas od tyłu i znaleźliśmy się w okrążeniu. W plecakach mieliśmy trochę jedzenia; resztki z obiadu. Massimo dał swoją porcję jakiejś kobiecie, która wpatrywała się w niego z drwiącym uśmieszkiem. Spod kawałka zakrwawionego koca, służącego jej za przepaskę, wyglądało wychudzone dziecko o wygłodniałych oczach. Ci, którzy stali najbliżej, rzucili się na jedzenie, rozszarpali je i połknęli. Dla reszty nic nie zostało.

„Słuchajcie!”, zawołał Massimo i podniesioną ręką poprosił o ciszę. „Mamy przydział do piekarni. Jutro przyniesiemy wam chleb. Słyszycie? Jutro przyniesiemy dla was wszystkich chleb!”

Było to wierutne kłamstwo, ale, jak mi później wyjaśnił: „Mogli tej nocy umrzeć, a tak przynajmniej umieraliby z nadzieją. A zresztą, są prawdy i prawdy. Ci ludzie mogli nas zabić, i to niezbyt sympatycznie.” Wzmianka o chlebie podziałała jak cudowne zaklęcie. Massimo natychmiast wykorzystał tę zmianę nastroju.

„Mój przyjaciel szuka cyrku. Czy ktoś z was słyszał może o cyrku Maestra Rossiego?”

Ledwo zadał to pytanie, tamci spuścili wzrok, nauczeni przez lata życia pod dyktando ostrożności wobec wszelkich pytań.

„Zastanawiam się właśnie, ile bochenków mam wam jutro przynieść”, odezwał się znowu Massimo do milczącej gromady. Ci biedacy palili tam ognisko. Przedtem się przy nim grzali, teraz zaczęli marznąć. Głód osłabił ich odpór-

ność na zimno; byli zmuszeni przytupywać nogami dla pobudzenia krążenia krwi. Ubrania mieli na sobie najprzeróżniejsze, i choć przeważnie bardzo podarte, wciąż świadczyły o pochodzeniu ze splądrowanych luksusowych sklepów lub prywatnych domów. Jakiś wynędzniały mężczyzna w średnim wieku, okryty strzępami spłowiałej żółtej mory, odważył się burknąć:

„Odjechał. Jak przyjechał, tak i odjechał”.

„Szukamy go”.

„Odjechał, przecie mówię”.

„Dokąd pojechał, gdzie teraz jest?”, zapytałem, bo nie mogłem już dłużej milczeć. Moje pytanie utknęło w zaległej chwili wcześniej ciszy. „Bardzo się niepokoję. Jeśli zamknięto ich w obozie, powiedzcie mi, proszę, prawdę, błagam was na wszystko, co jest dla was drogie”.

„Niewiele nam już zostało z tego, co nam było drogie”, odezwał się z goryczą jakiś nowy głos. „Ja mam do stracenia już tylko własne życie. Całą rodzinę straciłem w Tarencie”.

Tym, który się odezwał, był jakiś mężczyzna stojący w tak głębokim cieniu, że prawie go nie widziałem. Mówił zdławionym głosem. Zwróciłem się do niego:

„Ja szukam mojej rodziny. Czy mi pomożesz?”

„Nie wiem, kto z tych cyrkowców należy do twojej rodziny, ale z pewnością nie sam stary Rossi, bo ty zdaje się nie znasz go za dobrze. Zamknięty w obozie?” Mówiący roześmiał się. „Ten człowiek prędzej sprzedałby własną babkę, niż pozwolił się gdziekolwiek zamknąć. Jeśli był w jego otoczeniu ktoś podejrzany, możesz być pewny, że już go tam nie ma. Pan Rossi chodzi w czarnej koszuli i możesz być pewny, że papiery ma w porządku”.

„A co z jego córką, z córką Maestra Rossiego?”, ubiegł moje pytanie Massimo.

„A co ma być?”, zapytał ten, który się pierwszy ośmielił odezwać.

„Czy zdrowa?”

„Co to, to już na pewno”.

Nie zdołaliśmy się od nich dowiedzieć wiele więcej. W ogóle niczegośmy się tam już nie dowiedzieli. Przeszukując wszystkie wzgórza i drogi wokół Colle Van D'Elsa kierowaliśmy się na leżące w ruinie San Gimignano i dalej na Siene, ale nie natrafiliśmy na trop Valentyny. Czwartego dnia dotarliśmy do Casole D'Elsa; trzymaliśmy się rzeki i wypatrywali na jej podmokłych brzegach śladów obozowiska Maestra. Jakiś wikliniarz spod Casole powiedział nam, że cyrk istotnie tamtędy przejeżdżał w drodze do Colle. Zatrzymał się na jakieś dwie noce przed Bożym Narodzeniem. Mężczyzna pokazał nam miejsce w pobliżu swojej zagrody, gdzie obozowali. Pamiętał Maestra Rossiego z sumiastymi wąsiskami i jego buty z cholewami; przypominał sobie także Valentine. Powiedział, że grała w karty z jakimś oficerem i wygrała dwadzieścia lirów. Zdaniem tego wikliniarza oszukiwała, lecz jakoś nikt poza nim tego nie spostrzegł. Wyznał nam, że uważa Maestra za szczęśliwca i życzyłby sobie, żeby któraś z jego niezdarzonych córek potrafiła tyle zarobić tak niewielkim kosztem.

Tej nocy zeszlśmy z szosy. Skończyły nam się już pieniądze, więc byliśmy zmuszeni prosić wikliniarza, żeby nas poczęstował polenta. Niewiele jej miał i dla siebie, ale się z nami podzielił, dzięki czemu nie zasypialiśmy z pustymi żołądkami. Zawróciliśmy i na przełaj przez pola ruszyliśmy w stronę Colle. Znaleźliśmy jakąś opuszczoną chatę i zatrzymaliśmy się w niej na nocleg.

Na polach udało mi się upolować z procy kosa. Rozpaliłszy ogień pod kuchnią i upiekliśmy go. W całym domu nie było nic do jedzenia, znaleźliśmy za to trochę szmat do przykrycia się. Ułożeni w pozostałościach zrujnowanej kuchni na piętterku, patrzyliśmy prosto w czyste zimowe niebo; części dachu w ogóle nie było. Paliliśmy kawałki

drewna, połamane meble i podręczniki szkolne, ale ogień zaczął tak dymić, że trzeba go było zgasić, a wtedy znów zrobiło się tak zimno, że musieliśmy się przytulić jeden do drugiego, żeby się trochę ogrzać.

Massimo opowiadał mi o swojej dziewczynie i o wy-cieczce na plażę w Rimini, dokąd się kiedyś wybrali. Opisał mi morze. Powiedział, że któregoś dnia i mnie tam zabie-rze, żebym poczuł piasek pod gołymi stopami i na własne oczy zobaczył wpływające na brzeg i z powrotem spływają-ce fale. Zasnąłem podczas tej opowieści. Wojskowy płaszcz mojego przyjaciela pachniał potem i słomą, w izbie wisiała chmura drzewnego dymu i unosił się zapach kawy. Massi-mo potrafił wyczarowywać kawę, gdziekolwiek się znaleź-liśmy. Wyciągał ją z kieszeni, wydobywał spod podszewki czapki. Był jak czarodziej dbały o nasze potrzeby. Czułem się przy nim równie bezpiecznie jak przy Valentinie.

Byłem osłonięty od mroźnego wiatru na dworze, osło-nięty od własnego niepokoju i od świateł samolotów prze-cinających Toskańskie niebo. Nad ranem wleciała do kuch-ni przez dziurę w dachu sowa płomykówka i obudziła mnie. Massimo był większym śpiochem niż ja, zadrżał tylko w moich ramionach i spał dalej. Wkrótce potem od strony Colle doleciał mnie łoskot strzelaniny. Usłyszałem stłu-mione przez odległość wycie syren i huk wybuchów w mieś-cie. Zasnąłem przy odgłosach zadawanego w oddali gwałtu.

Obudziłem się wczesnym rankiem w doskonałym na-stroju. Massimo już nie spał, leżał i patrzył w niebo. Jego twarz miała kolor popielaty. Wokół nas wałały się odłamki gruzu. Odezwałem się: „Mieliśmy szczęście, że przeżyliśmy tę noc, ten dach mógł się na nas zwalić jak nic”.

A on na to: „Wiesz, śniła mi się Valentina. Przyszła do mnie we śnie i oznajmiła, że jej ojciec wyrzucił Cygankę Emilianę na bruk, a ta zostawiła jej swoją kryształową kulę. Powiedziała mi jeszcze: **«Jestes** przyjacielem Alessandra, weź ją, daję ją wam obu, choć nie wiem, czy powinieneś

w nią patrzeć, o tej porze roku można tam zobaczyć bardzo smutne rzeczy». Podziękowałem jej, wziąłem kulę i Valentina zniknęła. Kiedy spojrzałem w kulę, zobaczyłem, że przedstawia tylko przyszłość jednego z nas, i to czarną jak smoła. Z kieszeni wyskoczyła mi żaba i zaczęła czyścić kulę swoją płetwiastą łapką. «W porządku», powiedziała upaćkawszy ją całą, «twoje życie dobiegło oto końca, mam nadzieję, że było przyjemne»".

„Ależ Massimo!", zawołałem i szarpnąłem go za płaszcz, żeby rozruszać przyjaciela, „nie pozwól, żeby jakiś sen miał ci popsuć dzień!" Był bardzo poważny, a jego głos dobiegał jakby z daleka i brzmiał jakoś obco:

„Nie jestem smutny z powodu tego snu, jestem smutny, bo uświadomiłem sobie, że zmarnowałem życie. Odkładałem wszystko na później, a teraz mój czas się skończył. Gdybym w tej chwili wstał i wydrapał coś na tej okopconej ścianie, byłby to jedyny po mnie ślad. Jestem pełen żalu, Alessandro, wspomnienia przesypują się przeze mnie jak przez sito do mąki. Wymykają mi się»".

Zamilkł na chwilę, po czym zerwał się na równe nogi, rzucając jednocześnie na podłogę ciężką zastępczą kołdrę z szynela. W jego głosie dźwięczała znowu energia entuzjazmu.

„Pobaraszkowałbym sobie", oświadczył pocierając krocze, „a potem napiłbym się kawy. Ruszcie no dupsko, szeregowy Mezzanotte, kran znajdziecie na dole. Przyniescie wodę, a ja rozpalę ogień»".

Poprzedniego wieczoru znaleźliśmy źródółko jakieś dziesięć metrów od domu. Woda zbierała się w kamiennym zbiorniku nakrytym kamienną płytą. W nocy chwycił przymrozek, ziemię pokrywała warstewka chrupkiej bieli. Leżące na niej liście rosnących wokół chaty drzewek owocowych zamarzyły w krusze i sztywne blaszki. Choć przespaliśmy tę noc właściwie pod gołym niebem, powiew zimnego powietrza, który mnie przywitał, gdy przez zrujno-

waną stajnię przeprowałem się do ogrodu, był tak przenikliwy, że aż poczułem gwałtowny ucisk w pęcherzu. Kucnąłem pod drzewem nad zaścielającymi ziemię liśćmi; zmiażdżyłem je w mokre plamy, i ulżyłem sobie. Pamiętam, że czułem się dziwnie zakłopotany odlewając się na tę nieskalaną jak dziewicza ponowa biel ogrodu.

Kiedy byłem dzieckiem, mieszkał w naszej wsi drwal o nazwisku Ferini. Zarabiał na nędzne utrzymanie zbieraniem suszu na sprzedaż. Chodził od domu do domu stąd aż po Castello. Kupowali ten susz na podpałkę tylko co bogatsi i to za psie pieniądze. Ferini wstawał dobrze przed świtem, jeśli chciał zaferować swoje suche patyki i gałązki janowca, zanim kucharki i służące wezmą się za poranne rozpalanie pieców. Całe popołudnia spędzał w lesie zbierając susz. Mieszkał z żoną i dwójką dzieci w ciemnej lepiance we wsi. Słynął jako największy bluźnierca w okolicy. Każdego dnia przyprowadzał swojego muła pod same drzwi kościoła, stawał przed figurą Najświętszej Panny i wrzeszczał na nią: „Ty głupia dziwko, ty zasrana kurwo! Oto stoję tu przed tobą ja, bluźnierca Ferini. Dałaś mi przeżyć jeszcze jeden zasrany dzień. Sram na ciebie, szczam na ciebie, mażę ci ręce oślim łajnem, a ty, taka wszechmocna, gównu mi możesz zrobić! Świnie i psy dla Dziewicy Maryi, świńskie jaja, chuje sobacze, śluz ropuchy do wody święconej! Spójrz tylko na Feriniego, biednego grzesznika: żyje i nie dosięga go kara!”

Pojęcia nie mam, dlaczego mu pozwalano na takie zachowanie; czasami zakłócał nawet mszę świętą wyrzaskując te swoje świństwa. Ksiądz ogłosił go bezbożnikiem. Otóż tak i ja się czułem sikając na tę niepokalaną biel: jakbym ją plugawił. Tamtego rana myślałem o bezbożniku Ferinim. Potem otrząsnąłem się z tego nieoczekiwanego poczucia winy i nabrałem wody na kawę. Kiedy się pochylałem nad korytem, coś huknęło i gruchnęło. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak chata się wali, zapada niczym domek

z kart, wzbijając biały tuman pyłu. Gdy potykając się bieglem w stronę rumowiska, usłyszałem wybuch, a raczej tak mi się tylko zdawało, gdyż wybuch musiał przecież nastąpić wcześniej, do mnie dotarł jedynie z opóźnieniem jego odgłos.

Z początku przez chmurę kurzu niczego nie widziałem. Potem zobaczyłem Massima. Leżał jak dzieciątko w ogromnym kamiennym żłobku wyściełanym gruzem i połamanymi belkami, cały biały, przyprószony kurzem i wapnem. Śmiał się jakoś nerwowo, ale nic nie mówił. Dotarłszy do niego stwierdziłem, że przywalił go sosrąb, główna belka dachu, kość pacierzowa domu. Massimo zamrugał powiekami, żeby strzepnąć z nich kurz i popatrzył na mnie.

„Powiedz mi coś miłego, Alessandro, ogłoś jakąś dobrą nowinę”.

„Czekaj tu”, powiedziałem. „Polecę po pomoc. Wyciągniemy cię stąd”.

„Nie wygłupiaj się. Siadaj, pogadamy sobie”.

„Więc sam to odwalę”.

Zdażyłem już przyjrzeć się belce. Była wyciosana z pnia kasztanowca średnicy około pół metra, jeśli nie więcej, przyciśnięta z obu końców kamiennym rumowiskiem. Nie było nawet co myśleć o podniesieniu jej, wiedziałem o tym i bez próbowania. Zdołałbym ją może przepiłować i w ten sposób uwolnić mojego uwięzionego przyjaciela.

„Nie wygłupiaj się”, powtórzył, jakby czytał w moich myślach. „Jestem już zimnym trupem, pogadam jeszcze roche, bo taką mam fantazję.” Gdy to mówił, usta wypełniła mu krew i pociekła w kurz. „Kiedy umrę, Alessandro, nie ruszaj mnie stąd. Przywal mnie kamieniami i wracaj do obozu. Władze mogą ci narobić kłopotu z powodu tego wybuchu. Zrozumiano?”

Jego palce poruszyły się w kurzu, zatrzepotały wśród ceglanego gruzu jak ranny nietoperz. Wziąłem je w prawą rękę.



„Ładna historia...”, westchnął. „Wszystkie moje plany biorą w łeb... Trzymaj mnie tak za rękę, Alessandro, póki nie wyzionę ducha. A potem poużywaj życia za nas obu, dobrze? Poużywasz, obiecujesz? Poużywasz?”

Krew i wyciekający z ust Massima żółtawy śluz przeszkadzały mu w mówieniu, więc jego słowa brzmiały niewyraźnie. Palce, trzepoczące się w mojej dłoni jak wyłowiona z wody ryba, wczepiły się nagle w moją rękę. Miał dłoń dużo mniejszą od mojej, a jednak jego palce ją objęły, gdy starał się zaczerpnąć tchu, żeby się móc odezwać. Z jego oczu popłynęły łzy; spływały po zakurzonych policzkach i łączyły się z przybierającym strumykiem lepkiej krwi. W oczach odbijał mu się raczej żal niż strach. Nawet gdy Massimo już skonał, malowało się w nich to natężone uczucie straty. Nie zaszklily się jak zwykle u nieboszczyków, nie ścięły w tym nieruchomym rybim wyrazie. Dalej wpatrywały się we mnie błagając o dodatkowy kęs życia.

Pochowałem go, jak kazał; przykryłem kamieniami i dachówkami, ale oczy zostawiłem mu otwarte. Nie miałem odwagi ich zamknąć.

Wiatr wiał tamtego ranka z północnego wschodu. Ziębił moje dłonie i twarz utrudniając pracę. Osuszył mi i zamroził łzy na policzkach. Okuł mi czaszkę ciasną opaską i zbił myśli w bryłki lodu. Kiedy już pogrzebałem Massima, spiętrzywszy gruz nad jego pogruchotanymi kośćmi, chwycił mnie strach. Poczułem się samotny bez mojego przyjaciela. Dopóki jego ciało pozostawało widoczne, miałem jeszcze jakieś towarzystwo, lecz gdy zniknęło mi z oczu, czułem już tylko chłoszczący mnie wiatr i pustkę. To ten mroźny wiatr gnał mnie przez pola i to on przywiał mnie z powrotem do miasta.

Wróciłem do naszej kompanii zupełnie przybity i otępiały po doznanej stracie; przyniosłem w sobie ten mroźny przejmujący wiatr.

Stefano patrzył na starego, zbyt wstrząśnięty, żeby odczuwać chłód, zbyt przygnębiony, aby coś powiedzieć. Mezzanotte sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w transie. Dłuższą chwilę siedział w milczeniu, a gdy niespodziewanie podjął swą opowieść, zdawało się, iż w ogóle nie był świadom jej przerwania.

— Wróciłem na wojnę. Nie wiedziałem, o co walczymy, nie wiedziałem po co, wiedziałem tylko, że dezertarów się rozstrzeliwuje i że oficerowie uważnie się nam przyglądają, wypatrując nieustannie oznak tego, co nazywali alienacją. Massimo zawsze powtarzał, że to nie nasza wojna. Mówił, że jeśli ją wygramy pod wodzą faszystów, tacy jak on i ja najgorzej na tym wyjdą, bo otrzymają najwyżej blaszany medal za odwagę. Z naszego punktu widzenia na to samo wyjdzie, powiadał, jeśli wygra ją nieprzyjaciół, z tą tylko różnicą, że wtedy możemy trafić do więzienia za służbę w faszystowskiej armii.

Mówił, że jedynym dla nas rozwiązaniem jest przyłączenie się do partyzantów i ruchu oporu — kontynuował Mezzanotte. — Inna rzecz, że już raz go odrzucili, kiedy

próbował się do nich przyłączyć. Najwidoczniej wokół Reggio Emilia było zbyt wielu rekrutów, za dużo bałaganu i sporów. Powiedzieli mu, żeby wstąpił do wojska i zdezerterował, gdy przyjdzie odpowiednia pora. Myślę, że powinienem go przywieźć tu do nas i poprosić braci, żeby zabrali go ze sobą w góry. Może tam nie czułby się taki niepotrzebny.

Kiedy czasem sobie o nim myślę, wydaje mi się, że coś mi przekazał w tym ostatnim uścisku dłoni. Jak gdyby oddał mi swoje życie, złożył je w moje ręce. Miał ładne inteligentkie dłonie, jak artysta, nie takie wielkie chłopskie łapska jak ja. Ten uścisk dłoni to była jego ostatnia wola i testament.

Powiedział, że nie zostanie po nim żaden ślad, nic dotykającego, nic trwałego. Nawet ta ręka, której się wtedy uczeplił, gdzieś się zapodziała, wyrzucono ją gdzieś. Często sobie myślę, że gdyby chwycił wtedy moją drugą rękę, byłby teraz bardziej żywy.

Mezzanotte podniósł swoją zdrową rękę, a następnie pozwolił jej opaść bezwładnie, jak gdyby jej ciężar przekraczał jego wątłe siły.

— Stefano, Stefano! — zawołał.

— Jestem tu. Od paru godzin siedzę tu obok pana.

— Czasem czuję różne rzeczy tam, gdzie miałem oczy. Dziś także. Wydaje mi się, że o jedno szoruje jakaś szorstka tkanina, matowozielona jak zdeptyany liść. W drugim widzę gwiazdy, pomarańczowe gwiazdy blednące do barwy zimowego słońca. Myślę w kolorach. Widzę je wszystkie. Czuję, jak bolą mnie powieki. Będę musiał wkrótce przełożyć oczy, zaczynają mnie piec.

W głosie starego odezwał się żal. Stefano podniósł się z łóżka; kolana mu zeszytniały od długiego siedzenia.

— Już późno, kładźmy się spać.

Ślepiec nie zwracał na niego uwagi, mówił teraz sam do

siebie, przekopywał się przez wspomnienia ze swoich wczesnych lat:

— Ja nie wyrzekłem się snu, odebrano mi go. Wymieniłem go na ból, przehandlowałem, jak wymienialiśmy na różne rzeczy jajka. Jajka były naszą walutą. Pieniędzy nigdy nie mieliśmy. Z lirów odzierano nas już przy wypłacie, szły na opłacenie naszych długów, ale jajka miały swoją wartość.

Sen i jawa — ciągnął Mezzanotte — noc i dzień, to dla ślepego jedno i to samo. Czasem odpoczywają tylko moje wspomnienia. To wszystko.

Massimo Gavarini dał mi siły, bym żył dalej po moim wypadku, wbrew wszystkim rozczarowaniom, jakich w życiu zaznałem. Dał mi tyle siły, że przeżyłem całą moją rodzinę. Przeżyłem prawie wszystkich z mojego pokolenia. Z mojej klasy, rocznik dwudziesty ósmy, niewielu nas już zostało.

Tyle przeżyłem, że zastanawiałem się często, czy nie jestem przypadkiem niezniszczalny. Teraz już wiem, że nie. Nie ujmę już niczyjej ręki. Zrozumiałem, jak krótko trwa taka pociecha. Zamiast tego przekażę ci zawartość mojej głowy. Wydrążę jej korytarze, obiorę z łupiny melon, wyszę z plastra miód.

Zanim oślepiłem, panowała w niej ciemność. Teraz w miejscu moich oczu zapalają się kolorowe smugi.

Na dworze wciąż padał śnieg. Zasypał jedyne małe okienko w pokoju, odciął dopływ powietrza i zamknął Mezzanottego i Stefana niczym w grobowcu. Stary ułożył się na łóżku na białej wyszywanej kapie, jakby nie miał zamiaru zasypiać. W chwilę po przyjęciu tej pozycji jego głos ucichł nagle i kaleka zapadł jednak w sen; w piersiach grało mu boleśnie w rytm chrapliwego oddechu.

Stefanowi nie pozwalały tymczasem zasnąć odgłosy wsi. Naszczekiwały psy, wzdychały drzewa, zawodziła pójdzka, szumiał wiatr, śpiący kaleka świszczał, a umysł chłopaka

prześlizgiwał się wśród tych dźwięków po wspomnieniach Mezzanottego. Stefano nie zgasił nagiej żarówki palącej się pod sufitem. Dopiero nad ranem zapadł w płytką drzemkę; śniła mu się zrujnowana wybuchem skorupa chaty pod Casole D'Elsa, przygniatająca Massima Gavariniego. Śnił mu się przeraźliwy wicher skuwający lodem łyzy na twarzy Mezzanottego. Chłopaka obudził powiew mroźnego powietrza, jakby wokół jego ogolonej głowy okręcono lodowaty turban. Ślepiec stał w otwartych drzwiach i lał w zasyp. Pojedyncze płatki śniegu osiadały mu na twarzy i na kocu.

— Czuję, że na mnie patrzysz, Stefano — rzekł zapinając rozporek; nie odwracał głowy. — Mało co mi już zostało z dawnego małżeńskiego rynsztunku, ale zachowałem go w stanie nietkniętym i nienaruszonym. Dla niej. Gdyby nadal przypiekała mnie żądza, wyglądałby jak faja byka, ale padłem już ofiarą zgrzybiałego wieku. Starość skurczyła tych kilka części, jakie mi jeszcze zostały.

Nim zamknął drzwi, walczył przez chwilę z napierającym na ich skrzydło wiatrem. Stefano spojrzął na zegarek; nie było jeszcze piątej. Oczy piekły go od jaskrawego światła i z niewyspania.

Mezzanotte szurając stopami szedł powoli przez pokój; ominął łóżko polowe, jakby miał w głowie radar. Podeszedł do zlewu, zdjął pokrywkę z dzbanka do kawy i napełnił go. Każdy ruch jego zdrowej ręki cechowała zarazem ostrożność i skuteczność. Co pewien czas przyciskał coś do plastikowego ramienia, posługując się tą bezużyteczną kończyną jak klinem lub lewarkiem. Zapalił prymus — w pokoju zapachniało naftą — i czekał niecierpliwie, kiedy kawa zacznie się z bulgotem przesączać przez filtr. Znów zaczął mówić, tym razem do nagiej betonowej ściany, co tak głużyło jego głos, że Stefano musiał wstać, jeśli chciał cokolwiek usłyszeć. Wziął koc, owinał się nim i usiadł w nogach łóżka starego.

— Mój wypadek zdarzył się w czerwcu, pięć miesięcy

później, więc miałem masę czasu, jak widzisz, by pożyć za nas obu. Przerzucono nas do Rawenny. Poznałem tam dziewczynę, która zapałała do mnie sympatią. Myślę, że właśnie taką jak ona pragnąłby spotkać Massimo. Podeszła do mnie, kiedy błąkałem się po dworcu szukając rozkładu jazdy z połączeniami do Toskanii. Zaproponowała mi pomoc i od tej pory nawiązała się między nami przyjaźń.

Domyślałem się, że miałyby ochotę się ze mną przespać, ale nie byłoby to nic takiego, co Massimo nazywał trzepaniem patafiana. Ona mnie lubiła. Raz nawet przyszło mi do głowy, że może powinienem zrobić to dla niego. Pożądałem Valentyny, lecz moje pożądanie odłączało się czasem od niej i zaczynała mnie palić żądza skierowana ku innym kobietom. Pamiętałem jednak o ostatnim poranku Massima i o jego żalu i myślałem sobie: kiedy będę umierał, chcę mieć coś, czego mógłbym się uchwycić. W swoim życiu nie zajmowałem się właściwie niczym prócz kochania. Kochałem Valentine, kochałem ją wtedy i nadal ją kocham. Ona jest moją ojczyzną, moją religią i wiarą. Wierzę w prawdziwą miłość i w jej czystość.

Powiedziałem to kiedyś Lilianie — tak miała na imię tamta dziewczyna — na co mi odrzekła, iż dałaby wszystko, by móc taką miłość przeżyć. Mam wrażenie, że to moje wyznanie jeszcze bardziej ją roznamiętniło. Ale nic z tego nie wyszło. Widzisz, Valentina może do mnie któregoś dnia wrócić, a wtedy będzie na nią czekał mężczyzna, który kochał ją przeszło pół wieku i dla którego pozostanie na zawsze dziewczyną o cętkowanych oczach i aksamitnej skórze.

Kawa zaczęła syczeć, napełniając pokój swym mocnym aromatem.

— *Si, si.* — Mezzanotte uśmiechnął się do siebie. — Nie wszystkie pokancerowane gęby zginęły. Niektóre uszły z życiem, jak Alessandro Mezzanotte. I wciąż czekają.

Uśmiech opadł nagle z jego twarzy, jak upuszczona

rzecz, i po chwili przeszył dreszcz. Starzec odwrócił się od kuchenki i oparł ciężko o żelazną ramę łóżka; zasłonił swoim ciałem porysowany, nieudolnie namalowany morski pejzaż. Po chwili macając przed sobą drogę obchodził łóżko, a następnie usiadł ostrożnie na skraju materaca. Stefano uświadomił sobie w tym momencie, że stary od paru dni coś niezwykle się ze sobą pieści. Więcej też świszczał, bez porównania więcej.

— Czy pan jest chory? — zapytał szybko i z większym przejęciem, niż zamierzał.

— Tylko stary. Jestem weteranem wojennym, nie ząpominaj, dlatego tu ze mną siedzisz.

Stefano wstał, by uratować kawę. Dzbanek rozżarzył się na prymusie i jego rączka sparzyła chłopcu palce. Kiedy już nalał kawy do dwóch emaliowanych kubków, stwierdził, że Mezzanotte ponownie zasnął. Zgasił więc światło i również się położył.

Była już dziesiąta, kiedy obudziło go czyjeś dobijanie się do drzwi.

— Hej, Mezzanotte! — kołacząc natarczywie krzyczała Assunta. — Nic ci się nie stało?

Stary siedział wyprostowany na brzegu łóżka, ubrany już i ogolony.

— Wszystko dobrze, Assunta, dziękuję, nic mi nie jest! — odkrzyknął burkliwie; nie ruszył jednak w stronę drzwi.

— Przyniosłam ci świeżego chleba.

— Dziękuję, nie trzeba, ale Bóg zapłać za dobre chęci.

Assunta nie kwapiła się z odejściem. Przytupywała na śniegu i pomstowała na pogodę. Miała najwyraźniej ochotę wejść do środka. Nacisnęła nawet klamkę, a następnie usprawiedliwiła się pośpiesznie, gdy stwierdziła, że drzwi zaryglowano. W końcu sobie poszła.

— Życiem rządzą drobiazgi, Stefano. Te resztki mojej osoby, jakie mi jeszcze zostały, dalej stają w szeregu i woju-

ją o głupstwa, jakby moje ciało nie miało nigdy zmądrzeć i wciąż napierało się walczyć w imię jakiegoś bezsensownego bohaterstwa, które się okazuje jednym wielkim gównem.

Weź taką Assuntę — mówił Mezzanotte. — Kobicisko ma czworo dzieci, siedmioro wnuków i męża pokręconego przez artretyzm; ją samą rwie w biodrze. Całe życie klepała biedę. Teraz ma pieniędzy jak lodu, jak zresztą my wszyscy, aż nie wie, co z nimi robić, a jednak nie może się dzięki nim wykupić od wypadku czy choroby. Świat zmienia się dla niej za szybko, wiruje jak karuzela. Zgodziła się wirować razem z nim na pstrym koniu, na którego ją wsadzili, tylko czasem bierze ją chęćka, by zanurzyć się w powolniejszym tempie życia, jakie znała za młodu. Więc kuśtyka tu do mnie po schodach, jakby ta izba chorych była jej biletem wstępu w dawne czasy. Chce rzucić okiem na przeszłość, dotknąć jej, i mnie przy okazji urobić na swoje kopyto.

Jak kiedyś wierzyła w Boga, tak teraz wierzy w lekarzy. Nadal chodzi od czasu do czasu do kościoła, lecz jej prawdziwym Bogiem jest teraz szpital w Castello. Tak się wy-cwaniła, że rozumie medyczny żargon i sama potrafi nim gadać. Zbiera wyniki analiz, jak inni kolekcjonują znaczki lub wazony. Wie dokładnie, jaki powinna mieć w danej chwili poziom cholesterolu czy albuminy, ile płytek krwi i czerwonych ciałek.

Widząc mnie takim kaleką, pragnęłaby wymienić się ze mną strzępkami naszej wspólnej przeszłości, pogadać o szkolnych latach, a potem przekazać mi dobrą nowinę od swoich doktorów. Jestem pewien, iż wierzy, że można przywrócić mi operacyjnie wzrok, tak silna jest jej wiara. Ożywia ją zapal krzyżowców. Assunta marzy tylko o tym, żeby się mną zająć i zaprowadzić do specjalistów. Ubóstwia specjalistów, konsultantów i chirurgów. Zna ich nazwiska i sypie nimi jak światowa dama. Umyj się, Stefano, ubierz i zjazz do niej. Bądź moim emisariuszem, przyjmij jej chleb i przeproś ją. Powiedz jej, że to przez te mrozy zrobiłem się



taki opryskliwy. Powiedz, że mi przykro, iż jej nie otworzyłem.

Blizny na twarzy ślepcy zaczerwieniły się, jakby podświetlił je od środka jakiś wewnętrzny blask. Wielkie czarne okulary Mezzanottego zasłaniały mu prawie całą twarz, zarówno jej przód, jak i boki. Kiedy Stefano wyglądał swoje ubranie i przeczesywał palcami krótko przystrzyżone włosy, uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie widział oczu starego. Zaczął się zastanawiać, jak wyglądają. Czy są martwe i szkliste, otwarte czy zamknięte, zasnutte bielmem, niebieskie, zakryte powiekami? Wzięła go taka ciekawość, że postanowił o to po powrocie od Assuny zapytać.

Jego mundur wyglądał jak psu z gardła wyciągnięty. Stefano zdecydował, że musi później poprosić ślepcę o pożyczanie czystej koszuli. Będzie na niego trochę za duża, ale w swojej czuł się już jak ostatni niechluj.

– Mam więc iść i spotkać się z nią? Pomacham chusteczką i oznajmię, że przychodzę z białą flagą.

– Białe flagi powodują kwasy.

– Żartowałem.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Myślałam o Sewastopolu. Przez te wszystkie lata starałem się panować nad swoimi myślami, rozkazywać im i nadawać sens, a teraz rozbiegły mi się i pogubiły.

Po Sewastopolu musiałem opuścić szpital wojskowy w Perugii. Wszystkie łóżka były potrzebne dla nowych amputowców. Z Rosji wracały setki żołnierzy bez rąk. Trafiali się i bez nóg, ale tacy pozostawali zwykle wśród tysięcy poległych. Przez całą zimę z czterdziestego drugiego na czterdziesty trzeci nie mówiło się o niczym innym tylko o rosyjskim froncie. Z początku chodziły jedynie nieśmiało plotki, szeptano po korytarzach, że front się zalał. Potem władze przyznały to publicznie, słowu „armia” amputowano chwałę i zaczęły do nas docierać wieści smutne, niemniej prawdziwe. Powtarzały je pielęgniarki,

powtarzali lekarze i pacjenci, goście i siostry zakonne, wszyscy mówili tylko o tym. Zdradliwa północ przykuwała ludzi do ziemi lodem, wżerała się w ich ciała, zabijała ich głodem i chłostała okrutnymi wichrami.

My z oddziałów dla przewlekłe chorych, uważani dotąd za nieuleczalnych lub wymagających stałej opieki, nagle wydobrzeliliśmy w cudowny sposób i ustąpiliśmy miejsca ofiarom odmrożeń. Z naszego oddziału ja uchowałem się najdłużej. Na sąsiednie łóżko przywieźli chłopaka w moim wieku; całe noce krzyczał i płakał wniebogłosy, nie próbując się nawet opanować. Przychodziły do niego siostry i zastydzały go. „Ty przynajmniej żyjesz”, mówiły. „Dziękuj za to Bogu. Pomyśl o swoich kolegach, którzy polegli, a ty jednak wróciłeś do domu.” Ale cokolwiek mówiły, jego to nie pocieszało. Jedna z sióstr powiedziała mi, że chłopak stracił rękę przy samym barku, a drugą powyżej nadgarstka.

Którejś nocy, na krótko przed moim wyjściem ze szpitala, ta sama siostra postawiła mi za przykład właśnie mnie. „Spójrz na Mezzanottego”, powiedziała. „Stracił rękę i wzrok, a nie budzi wszystkich po nocach”.

Nigdy nie słyszałem, żeby ten chłopak powiedział coś wyraźnie, wciąż tylko szlochał albo milczał, ale kiedy ta siostra tak mu przyganiła, odezwał się nagle zupełnie wyraźnie niskim basem, który zabrzmiał dziwnie staro jak na jego wiek: „A więc szczęściarz z tego Mezzanottego, bo nigdy nie zobaczy tego, na co my patrzyliśmy na rosyjskim froncie. Pewnie i ja siedziałbym teraz cicho, gdybym przed bitwą stracił obie ręce.”

Potem roześmiał się. Od jego głuchego przeraźliwego śmiechu obudził się i rozjęczał cały oddział. Przez kilka następnych dni mojego pobytu w szpitalu żołnierz z rosyjskiego frontu więcej się już nie odezwał, ale ja zapamiętałem sobie na zawsze jego słowa i często o nich myślałem. Od tamtej pory toczę swoje małe bitwy. Gorsza część mnie pragnie dowieść, że i ja potrafię walczyć, jeśli zechcę.

Wściekałem się, że ktoś mógł nazwać mnie szczęściarzem. Ale z drugiej strony, czy wielu ludziom jest dane przeżyć życie na rozmyślaniach? Moje kalectwo zaś zmusiło mnie do myślenia. Musiałem zlekceważyć przykazanie dziadka. (Człowiek ślepy nie może nie myśleć, cały jego świat opiera się na myśleniu i pamięci)

Szóstego stycznia Befana przyniosła każdemu z nas prezent: prezent od Duce dla jego żołnierzy. Ja wyczekiwałem wiadomości od Valentiny. Byłem pewny, że na Capodanno do mnie napisze. Wierzyłem, że przyjedzie, żeby się ze mną zobaczyć. Nie mając od niej wiadomości, oskarżałem za naszą rozłąkę faszystów i ich sojuszników, ich wojnę i ich bezdusność. Prezent od Wodza przejął mnie odrazą. Byłem wściekły, że muszę rozwijać ten pakunek i szeleścić papierem jako dziecko.

Któregoś dnia pokażę ci listy od Valentiny, mam ich cztery, i sam się przekonasz, jak bardzo chciała wtedy przyjechać.

Stefano od kilku już minut stał nieruchomo przy drzwiach.

— No, idź już wreszcie! — burknął ze złością stary, jakby zdradził się z jakimś sekretem i pragnął cofnąć to, co mu się wymysknęło.

Starając się trafić stopami w głębokie ślady Assunty, Stefano dobrnął do drzwi jej mieszkania. Przekazał, co miał do przekazania, czym staruszkę tak ujął, że się rozgadała. Posadziła go przed kominkiem i poczęstowała szklanką wina domowej roboty, słodyczami na półmisku, oraz swoimi spostrzeżeniami na temat stanu płuc Mezzanottego. Stefano obiecał jej w końcu, że zaprowadzi ślepcę do lekarza.

— Oj, *si, si* — pokiwała głową, jak gdyby przewidywała jakieś ogromne komplikacje. — Ale nie wystarczy do zwykłego lekarza: trzeba do specjalisty. Przy takim przebiegu choroby to konieczne. Przecież słyszę przez podłogę, jak

on świszcze. Widzisz, on ma do ciebie słabość, nas by nie usłuchał, ale ciebie może posłucha. 2 tobą rozmawia.

Pokuśtykała do stojącej na komodzie wielkiej butli bez etykiety, co groziło ponownym napełnieniem pustej szklanki Stefana.

Odmówił; nakrył ją dłonią. Jednak Assunta zignorowała to i zaczęła łąć strumyczkiem wino, póki nie usunął palców.

— Proszę! — oznajmiła z triumfem. Zasady gościnności nakazywały nakarmić gościa i napoić, czy tego chciał, czy nie — Proszę! — powtórzyła, po czym znowu zaczęła kiwać głową, jakby napłynęły do niej przewidywania nowych komplikacji. — Co za nieszczęście, jaka wielka szkoda! Widzisz, to jedyny człowiek we wsi bez rodziny.

Stefano wypił duszkiem wino, pożegnał się i wyszedł. Po prawej stronie widniały zawiane do połowy śniegiem schody prowadzące do mieszkania weterana, natomiast w którymkolwiek innym spojrzał kierunku, wszędzie dostrzegał oznaki wesołego życia towarzyskiego wsi. Na tle arktycznego krajobrazu mrowiły się dzieci, skupiając się to tu, to tam w regularnych odstępach czasu niczym przyciągane przez olbrzymi magnes opiłki żelaza. Śnieg na ulicach już ubito; najpierw przetarł je traktor, następnie wydeptali przechodnie. Na wprost, pod stojącymi rzędem przed barem Concetty donicami hortensji, zbierali się ludzie przyciągani magnesem gromady. Nogi jakoś same, rozjeżdżając mu się na śliskiej dróżce, zanosły Stefana w ich stronę. Przywitano go serdecznie, pozdrowiono jak nowego członka wspólnoty. Zapytano, czy to prawda, że spędził we wsi noc. Wypytywano go również o starego kalekę, martwiąc się, jak zdoła przetrzymać te siarczyste mrozy. Kilka osób wyraziło żal, iż Mezzanotte nie będzie mógł pewnie wziąć udziału w bitwie na śnieżki. Estelio, który potrafił dostrzec dobre strony w każdej, choćby najgorszej sytuacji, usiłował dowodzić, że to niewykluczone.

Śnieg zadzierzgnął między mieszkańcami wioski więzi

kazirodczej niemal zażyłości. Poklepywali się i obejmowali, wstępując do baru po posypanych solą schodach, spleceni w uścisku niczym raki. Przecisnąwszy się przez drzwi, bez zrywania objęć ciasnych jak młyn w rugby, zasiadali do improwizowanego śniadania w podłużnym, przejaśnionym blaskiem pokoju, między zastawionym trunkami regałem a ladą sklepową. Popijali kawę z mlekiem i jedli pączki nadziewane żółciutkim kremem.

Stefano czuł wielką solidarność z zebraną w barze gromadą. Widział wokół siebie trzy pokolenia ludzi naznaczonych różnymi bliznami, tak cielesnymi, jak i duchowymi, i akceptujących jeden drugiego takimi jakimi są, a nie jakimi pragnęli się wydawać. Uświadomił sobie, że Mezzanottego oddziela od reszty mieszkańców wioski, których tak przecież kochał, jego, nie zaś ich, potrzeba odrębności. Sąsiadów bardziej niepokoiło jego odosobnienie niż jego rany. Nie tak smuciło ich to, że nie ma rodziny, jak to, że nie chce jej założyć. Odsunął się od współziomków, by myśleć, a oni bali się wniosków, do jakich może dojść. Nie życzyli mu samotności, życzyli sobie, żeby do nich wrócił. Ciepłe przyjęcie, jakie zgotowali Stefanowi, było pochwycciem liny ratunkowej, nawiązaniem łączności między światem żywych a światem umarłych.

Pomyślawszy o Mezzanottem, Stefano zatęsknił za starym. Przeprosił zebranych i pośpieszył do domu. Mezzanotte siedział w swojej zwykłej pozycji, na brzegu łóżka. Ten widok uspokoił młodzieńca. Brnąc w śniegu czuł wyrzuty sumienia, że zostawił ślepcę sam na sam z jego wspomnieniami. W pokoju było gorąco i duszno, tak gorąco, że musiał zdjąć palto. Stał się jakiś niezgrabny i wciąż je upuszczał. Poczul, że stracił naturalność. Czul się trochę tak jak wtedy, kiedy miał się odezwać do sędziego. Układał sobie w głowie, jak zacznie rozmowę i z góry ją całą obmyślał. Milczenie tak mu doskwierało, iż zaczął podejrzewać, że to kwaśne wino Assunty uderzyło mu do głowy. Odwrócił

się do Mezzanottego, żeby mu jakoś wyjaśnić swój niepokój, i zobaczył, że twarz starego jest mokra od łez. Płynęły po niej strumyczkami, meandrującymi wśród nierówności jego policzków.

— *Oddiol* Jak mogę panu pomóc, panie Mezzanotte? Proszę, niech pan nie płacze.

Poczuł się głupio. A czemu stary nie miałby sobie popłakać, skoro mu się zebrało na płacz? W imię czego miałby mu zabraniać?

— Ja nie płaczę, Stefano, nie płaczę. Nie umiem już nawet płakać. Nie płakałem od śmierci Massima. Nie płaczę, mam gorączkę. Lepiej się chyba położyć.

Chłopak z początku nie uwierzył mu, dopiero gdy zobaczył plamy potu na grubej kraciatej koszuli ślepca, uświadomił sobie, że Mezzanotte musi być chory. Przypomnił sobie daną Assuncie obietnicę i oświadczył staremu, że idzie po lekarza.

— Zaczekaj chwilę. My dwaj dobrze się ze sobą rozumiemy, więc mam do ciebie jedną prośbę. Nie pozwól, żeby mnie stąd zabrali. Nie chcę iść do szpitala. Za żadną cenę, rozumiesz? To prawda, jestem chory, i nawet gorzej niż chory. Jak powiedział Massimo, jestem już zimnym trupem, pogadam jeszcze trochę, bo taką mam fantazję. Nie chcę żyć dłużej jak kilka dni, tyle żeby ci powiedzieć, co mam do powiedzenia. Pragnę umrzeć w tej wsi, na tym łóżku. Rozumiesz?

Stefano słuchał go wystraszony i zmieszany.

— Niech pan tak nie mówi, to nieprawda. Ma pan przed sobą jeszcze długie lata. Dopiero się spotkaliśmy. Niech mnie pan nie zostawia, nie może mi pan tego zrobić.

— Tamten lodowaty wiatr wieje teraz w mojej głowie, w moich płucach. Leczą ja nie boję się śmierci.

Jakby na umówiony znak za oknem zerwał się wicher i wzbili tumany śniegu na ulicy. Mezzanotte położył wspar-

ty na trzech poduszkach; spał albo udawał że śpi. Stefano przeszedł cicho przez pokój, otworzył z trudem drzwi i wyszedł, żeby poszukać Assunte. Encyklopedyczna wiedza medyczna starej mogła się choć raz na coś przydać. Bał się, że nie będzie łatwo sprowadzić do wsi lekarza przy takich zaspach na drogach.

Okazało się jednak, że lekarz mieszka we wsi. Doktor Mearelli urodził się w nędznej lepiance nie opodal. Lekcje odrabiał na ćwiartce kuchennego stołu, do egzaminów uczył się nękany ciągłymi wyrzutami sumienia, że uszczupla uciulane z takim trudem oszczędności rodziców. Jego ojciec pracował na plantacji tytoniu, matka w pobliskiej fabryce włókienniczej. Dyplom zrobił przed dziesięciu laty. Od tego czasu zbudował wraz z rodzicami wspólnym nakładem środków nowy dom na wzgórzu za wsią. To on zaopiekował się chorym.

— Nie ma powodu do niepokoju — zapewnił Mezzanotego i Stefana — ma pan lekkie zapalenie oskrzeli. No, może nie takie lekkie, nic jednak groźnego, antybiotyki z tym sobie poradzi. Do apteki pan się dziś raczej nie dostanie — zwrócił się do Stefana. — Niech pan idzie ze mną, dam panu trochę pigułek i coś na spędzenie gorączki.

Stefano wyszedł z doktorem Mearellim.

— Czy to coś poważnego? — zapytał natychmiast za progiem.

— Nie jestem zwolennikiem mówienia jednego pacjentowi, a drugiego jego krewnym. Staruszek ma zapalenie oskrzeli. Za tydzień będzie zdrow jak ryba.

Wracając z domu lekarza, Stefano czuł się jak skarcony uczeń. Mearelli wydał mu dokładne instrukcje, co powinien zrobić: sprzątnąć i wywietrzyć pokój, trzymać pacjenta na urozmaiconej diecie, dawać mu dużo pić, odpiąć protezę i dopilnować, żeby się w łóżku nie przegrzewał. Choć lekarz nie był opryskliwy i nie potraktował Mezzanot-

tęgo źle, Stefano wyczuwał w jego podejściu do chorego jakąś bezdusznosc. Zastanowiło go, jak doktor Mearelli odniósłby się do kalek z frontu rosyjskiego.

W drodze powrotnej zdrętwiały mu z zimna stopy. Poranne ożywienie zagubiło się gdzieś w blasku dnia. Stefano przyglądał się szeptnie pod śniegiem wsi, zastanawiając się, co się dzieje w każdym z tych zamkniętych na głucho domów. Korciło go, żeby zatrzymać się przed każdym z nich i zapytać: „Jak się odpina plastikowe ramię wbrew woli tego, kto je nosi?” lub „Jak można trzymać na urozmaiconej diecie kogoś, kto od czterdziestu lat jada tylko cztery potrawy?” Potem sobie uświadomił, że lekarz, choć jego samego zirytował, przywrócił jednak staremu życie. Stefano zgarnął z niskiego murku, obok którego przechodzili garść śniegu i natarł nim twarz. Jak mawiał Mezzanotte, istnieją tylko dwa rodzaje problemów: takie, na które można coś poradzić i takie, z którymi nic nie można zrobić. Te pierwsze nie są prawdziwymi problemami.



Wieś zastygła w bezruchu pod śnieżną pierzyną. Niektóre miejsca odśnieżono, resztę pozostawiono na pastwę ogromnego białego brzemienia, które nocami zamarało i lśniło martwo w poświacie księżyca. Dorośli nie chodzili do pracy, uczniowie do szkoły. Do wszystkich chat za wsią i kilku samotnych chałup na wzgórzach wyruszały wyprawy jak na biegun polarny. Cała wieś poszła w ślady Mezzanottego: urządzano codzienne obchody po jej rubieżach, zapuszczano się po zdradliwym lodzie i śniegu na jej najdalsze krańce, drapano się na czworakach do baru Concetty i ześlizgiwano stamtąd do baru przy szosie, niczym ślimaki czepiające się muru. Patrolowano ulice od Nuvole aż do głównej drogi, wymieniając pozdrowienia i przekazując sobie najnowsze nowiny z terenu parafii.

Tymczasem Stefano, również pogrzebany pod śnieżną otuliną, tyle że w małej kapsule pokoju Mezzanottego, pielęgnował starca. Opieka nie była zbyt męcząca. Ograniczała się do podawania choremu trzy razy dziennie antybiotyku, zapewnianiu mu dodatkowych kubków czystej wody źródlanej oraz szklanki *cynaru* od czasu do czasu. Zapakowany

do łóżka, Mezzanotte wyglądał na jeszcze dotkliwiej zredukowanego, do czego przyczyniło się w znacznej mierze odjęcie jego plastikowego ramienia. Leżało przy nim pod kołdrą od pierwszego dnia kuracji niby młoda nałożnica, która ma za zadanie ogrzewać pościel zgrzybiałego władcy. Lekarz zalecił pacjentowi całkowity wypoczynek, jakby stawiął, nie wiedzieć czemu, znak równania między pracą fizyczną a noszeniem protezy. Dwa razy przychodził do chorego z wizytą. Jego obowiązki w szpitalu uległy ograniczeniu. Zima była tak surowa, że władze ogłosiły stan klęski żywiołowej i nakazały lekarzom pełnienie dyżurów w miejscu zamieszkania, jeśli na terenie o takiej a takiej powierzchni nie było innych placówek służby zdrowia. Doktor Mearelli pozostał więc w domu; z zapałem udzielał rodzinnej dolinie swojej medycznej posługi. Musiał leczyć odmrożenia i gorączki, kaszle, przeziębienia i zapalenia gardła. Sędziwych pacjentów dotkniętych paraliżem oraz innymi ciężkimi przypadkami wtaczano na wózkach do kuchni w ich domach, gdzie byli poddawani skrupulatnemu badaniu. Cukrzycy i nadciśnieniowcy zostali otoczeni opieką, która ich aż krępowała.

Doktor, obuty w brązowe śniegowce, z czarną torbą lekarską w ręku, uspokajał ciągłymi wizytami domowymi własne nerwy i zniecierpliwienie spowodowane tą wymuszoną absencją na sali operacyjnej. Mieszkańcy wioski, którzy wizytę lekarza traktowali dotąd jak zły omen, poczuli się nieco zaniepokojeni, gdy przyszło im kilka razy dziennie otwierać drzwi temu niezmożonemu eskulapowi. Śnieg natchnął ludzi takim optymizmem i zjednoczył wieś, już i tak wcześniej zbrataną, że *bonhomie* i dobre samopoczucie osiągnęły poziom wyjątkowo wysoki. Młody lekarz, nie wzywany do nieszczęśliwych wypadków, narodzin czy zgonów, czuł się dość nieswojo. W szpitalu miejskim przywykł pracować w zespole chirurgów, przywykł przebierać się w zielony wysterylizowany strój operacyjny na każde telefo-

niczne wezwanie. Był przygotowany do radzenia sobie z nagłymi przypadkami. Za granicami rodzinnej wsi czuł się cudotwórcą; obecne uwięzienie w tej zdrowej i szczęśliwej dolinie odbierał więc jako karę. Mieszkanie w niej to co innego. Ze szpitala w mieście wracał do domu uwznioślony i zmęczony po specjalistycznych operacjach. Śnieg ograniczył jego ambicje i spętał mu sprawne owłosione ręce.

Za każdym razem, gdy odwiedzał weterana wojennego Mezzanottego, czuł się przy nim jak człowiek niegodny. Dotykając okaleczonego ciała starca odtworzonego i pozszywanego przez kolegów po fachu, doświadczał uczucia zazdrosnej irytacji. Miał tego świadomość i wstydził się tych niskich uczuć. Przed każdą wizytą postanawiał sobie, że postara się być miłszy dla biednego ślepcy i jego młodego opiekuna, coś jednak przekreślało i mroziło słowa w jego gardle, tak że wychodziły mu z ust jako sucho cedzone uwagi. Chętnie wróciłby już do swoich powszednich obowiązków, do spiesznych obchodów sal pooperacyjnych w szpitalu, podczas których schylał się nad każdym pacjentem, tak by ten mógł skupić wzrok na jego twarzy, i szepotał mu słowa otuchy oraz zachęty. „Odwagi!”, mówił, przez co hojnie udzielał bezbronnym ofiarom tajemnicy przetrwania. Liczba blizn na twarzy Mezzanottego świadczyła jednak o takiej odwadze, jakiej on, Mearelli, poznać ani pojąć nie będzie nigdy w stanie. Odjęta ręka, poznaczona bliznami klatka piersiowa, nie widzące oczy kpiły sobie z jego starań.

Od tego weterana wojny wychodził za każdym razem z uczuciem wstrętu do samego siebie; obiecywał sobie, że się poprawi, będzie miłszy i wyrozumialszy. Za karę postanowił obejść wszystkich chorych we wsi, choćby ich dolegliwości były całkiem drobne. Zmuszał się do siadania i wypijania niezliczonych kaw, podawanych w najlepszych filiżankach z wesela. Masował skręcone kostki i kontuzjowane w bitwach na śnieżki nadgarstki. Poklepywał gospodarzy

po plecach, rozdawał pastylki do ssania, dobre rady i dobre słowo. Pragnąłby okazać się równie uprzejmy dla starego ślepcy, tymczasem stał się dobrym aniołem stróżem całej wsi. Krajanie podziwiali go dotąd za wykształcenie i zawodową sprawność, obecnie zdobył sobie wśród nich znacznie większy mir jako zacności człowiek. Jego dawni pacjenci, obiekty jego chirurgicznego rękodziela, nie mogli wyjść ze zdumienia, jaki to w gruncie rzeczy miły i przystępny facet. Błogosławili śnieg, który umożliwił im zbliżenie się do tej cokolwiek przedtem wyniosłej postaci. Również żona doktora, która, jako że pochodziła z Castello, pozostawała kimś bezdennie obcym, choć mile widzianym, stała się nagle swojczką. Dawniej większość kobiet nie wiedziała, o czym z żoną doktora po wymianie wstępnych grzeczności rozmawiać, teraz podczas nie zapowiedzianych wizyt, dla których śnieg stanowił dostateczne usprawiedliwienie, znajdowały temat nowy i obustronnie zajmujący: pan doktor. Tak więc pan doktor podejmowany był coraz to liczniejszymi filiżankami kawy jako święty, zbawca i w ogóle dusza człowiek, i kolejne pokolenie Mearellich wpadło już na dobre w sieci wsi.

Stefano postanowił zostać u Mezzanottego dopóty, dopóki chory nie wyjdzie z zapalenia oskrzeli. Nie bał się już, że stary może umrzeć. Lekarz zapewnił, że nic mu nie grozi, a lekarz wie przecież najlepiej. Decyzja o pozostaniu we wsi nie do końca zresztą zależała od samego Stefana. Żeby się stamtąd wydostać, musiałyby najpierw długo jechać na traktorze, a potem odbyć niebezpieczną pieszą przeprawę przez kopny śnieg od miejsca, gdzie na szosie zalegały pięciometrowe zasy. Dom Mezzanottego był chyba jedynym niedostatecznie zaopatrzonym na takie oblężenie gospodarstwem w dolinie. Wszędzie indziej zgromadzono zapas żywności umożliwiający przetrwanie nawet i do lata.

- Widzisz, stare nawyki nie tak łatwo wypłenić — tłumaczono mu w sklepie. Wszyscy byli dumni ze swojej

zapobiegliwości. Świadczyły o tym choćby setki butelek przecieru pomidorowego, który zrobili pod koniec lata. Szynki i salami, sery, worki kartofli i kasztanów nie wyglądały już na bezmyślny nawyk chomikowania. Stefanowi oferowano tyle jedzenia, że gdyby wszystko przyjmował, w pokoju zabrakłoby miejsca dla niego i starca.

W ciągu pierwszych nocy choroby Mezzanotte był w kwaśnym humorze, odzywał się mało, a jeśli już, to tylko na temat swojego pokoju i dobytku. Wyglądało na to, że postanowił wykurzyć lekarza ze swojego terytorium. Uparł się, że będzie jadł tylko makaron z sosem pomidorowym, jak dotychczas, i odmówił picia rosółu z kurczaka, który mu podsuwał jego młody opiekun. Skarżył się, że Stefano utrudnia mu życie. Po odpięciu ramienia zrobił się jakiś milczący.

— Czy jest pan pewien, że chce je pan zdjąć? Nie musi pan odpinąć. Możemy je przypiąć, gdy tylko pan zechce.

Stefana zasmucił i wprawił w zmieszanie widok cienkiego zwisającego kikuta, który wyglądał jak nóżka indyka, oskubana i ugotowana. Był bardziej niż nagi: był obnażony, bezbronny i pohańbiony.

— To nie jest moja ręka, Stefano, to zgięty kawałek plastyku, przegubowe ramię kukielki. Porusza się dla mnie, pracuje dla mnie, lecz nie jest częścią mojej osoby. Ta składa się z ciała i kości, jakie mi zostały, oraz z moich wspomnień. Nie jestem przyrządem.

Czasem skarżył się, że mu w łóżku za gorąco, to znów że za zimno. Wiejący na dworze wiatr dobijał się do drzwi i trzaskał okiennicami w pokoju na gorze.

— Wracaj do domu, Stefano, wracaj już do domu! — co jakiś czas wołał w nocy starzec.

A gdy chłopak tłumaczył mu, że zostali odcięci od świata przez zasy, Mezzanotte początkowo nie dawał temu wiary. W końcu mruknął:

— A to ci szczęście. — I zapadł w sen aż do rana.

Obudził się i zakrzętnął po izbie na długo przed młodzieńcem.

— Nie powinien pan wstawać z łóżka, przecież lekarz kazał panu leżeć!

— Czy kazał mi też łać do łóżka? Odpiąłeś mi rękę, nie pęcherz.

— Trzeba mnie było obudzić.

— Was, miastowych, nie tak łatwo zbudzić. A jak z tym sobie radziłeś w koszarach? A może tam w Udine przynosili ci o dziesiątej kawusię do łóżka?

— To już dziesiąta?

Stefano wygrzebał się spod kocy. Poczul nieprzewyciężone niemal pragnienie wypicia butelki szampana. Umył się i ubrał w rzeczy pożyczone od synów Assunty; kiedy wrócił do pokoju chorego, czuł się prawie jak nowo narodzony.

— *Oddio*, panie Mezzanotte — powiedział — pan ma swój romans z *cynarem*, ale mnie czasem aż skręca z tęsknoty za łykiem szampana.

— Więc się napij — poradził mu ślepiec. — Idź, kup i się napij. Jeśli naprawdę tęsknisz za tak małym zbytkiem, pozwól sobie na niego. To szczęście, kiedy człowiek tęskni za czymś, co może zdobyć. Kup sobie szampana. Mam tyle pieniędzy na poczcie, że nie wiem już, co z nimi robić. Rząd hojnie mnie wynagrodził za utratę członków. Dobrze mi płacą. Idź i napij się.

— Dziękuję, już nie trzeba, już mi przeszło. Zresztą, i tak nie dostałbym tutaj prawdziwego szampana. To był tylko żart, taki kaprys.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, Mezzanotte na łóżku wsparty o poduszki, trochę mniej świszczący po inhalacji z naparum aromatycznych ziół, który napełnił pokój duszną wonią eukaliptusa, Stefano na jedynym krześle, wpatrujący się w przestrzeń dzielącą go od starego, jakby to było nieprzebyte morze. Wyrosła między nimi bariera

przygnębienia, zaciętego milczenia spowodowanego zmianą ich codziennego rytuału.

– Jesteś smutny, Stefano?

– Chyba nie... Sam zresztą nie wiem.

– Czuję twoją obecność, to sprawia mi przyjemność.

Nie przywykłem mówić dłużej niż po kilka minut na raz. Już nie potrafię wyrażać niczego głośno. Moje życie toczy się po cichu, w mojej głowie.

Kiedy tu przyjechałeś jednocześnie z cyrkiem – ciągnął Mezzanotte – poczułem się jak ptak wypuszczony z klatki. Przedtem biłem skrzydłami i śpiewałem moją łabędzią pieśń. W głowie słyszałem muzykę: chóralny śpiew, akordeon mojego brata i skrzypki przygrywające do tańca, w którym ćwiczyłem się tak pilnie jako chłopak.

W Perugii próbowali mnie nauczyć brajla. Była tam pewna terapeutka, pielęgniarka, jak mi się wydaje. Powiedziała, że nie czułbym się taki samotny, gdybym nauczył się czytać na tych papierowych tarkach. Nauka zawsze mi szła jak po grudzie, a już szczególnie czytanie. W szkole musieliśmy czytać i uczyć się na pamięć przemówień Duce. Do dziś pamiętam kilka z nich. Wtedy były dla mnie zupełnie pozbawione sensu, ot, szeregi nic nie znaczących słów. Teraz widzę, że wcale nie były takie bezsensowne, przeciwnie: ukuto z nich podstępna broń, były jak bity i kije, za pomocą których zagnano nas na wojnę. Słowa były jego czarodziejską muzyką, prowadziły nas tam, dokąd sobie życzył. Tańczyliśmy do ich melodii. Nie postąpiłem daleko w nauce brajla. Nie paliłem się do tego zbyt, no a potem wrócili ci żołnierze z Rosji. Mogłem co prawda jechać do nauczyciela do Castello, ale oznaczałoby to konieczność opuszczenia wioski, a tego w pierwszych latach mojej ślepoty zrobić nie mogłem. Obawiam się, że kiepski był ze mnie uczeń. Nie miałem serca do tej nauki, jak zresztą i do kursów wyplatania koszyków. Terapeuta dawał każdemu z nas wiązkę wikliny, którą mieliśmy giąć i splatać. Była świe-

zo moczona, więc mokra. Stałem się okropnie przewrażliwiony. Czułem, że te ucięte pędy były niedawno żywymi istotami. Wyobrażałem sobie, że proszą gdzieś kogoś, żeby tak z mojego ciała wyplatał coś użytecznego. Wtedy nie umiałbym wyrazić swojego wrażenia słowami. Nie sądzę zresztą, aby wiele mi pomogło, gdybym umiał.

Przypominałem owada, przez długi czas byłem nagi niczym larwa. Matka i siostra uprzedły wokół mnie kokon, ochronną poczwarkę, oblekły mnie w skórę, bym mógł wychodzić do ludzi. Nawet odgłos ssania przez mojego ojca nie nabitej fajki przynosił mi pociechę. Słyszałem jak ojciec wzdycha i wyobrażałem sobie, że rozmyśla o swoich zmarnowanych plonach. O zbiorach myślał jak o przedłużeniu samego siebie. Nieurodzaj traktował jak osobiste niepowodzenie; gdy plony dopisywały, rozkwitał. Tego roku, kiedy stonka wyjadła mu kartofle, powiedział mi, że czuje się tak, jakby jego własna skóra była pokryta śluzem tych szkodników. Przed pójściem na wojnę uważałem, że powinien otrząsnąć się z letargu, przestać się zadrećczać, zacząć znowu grać w karty lub włóczyć się po wsi i razem z innymi śpiewać serenady. Dopiero kiedy straciłem rękę i wzrok, zrozumiałem, jak ciężko jest żyć człowiekowi, który czuje się niekompletny.

W tamtych pierwszych latach chciałem się nawet ruszać, ale nie umiałem się przemóc. Jakby mi z ramieniem odjęto część woli. Bardzo się przywiązałem do mojego ojca w ostatnim roku jego życia. Wciąż siedział przy ogniu i pewnie w niego patrzył, gdyż zawsze to robił. Ja siedziałem na wiklinowym krześle w kącie między umywalką a oknem. Za każdym razem, gdy ktoś chciał się umyć, opryskiwał mnie przy nalewaniu do umywalki wody z wiadra. Czułem się wtedy jak podlewana roślina. Wyobrażałem sobie nawet, że woda, naczepiana z wiejskiej studni i wlewana do tak dobrze mi znanej wyszczerbionej kamiennej umywalki, może odbudować me ciało.



I wyleczyła mnie, choć w inny sposób. Zmyła ze mnie sporo gniewu i goryczy. Kiedy wróciłem do domu, czułem się oszukany, nie tylko przez Duce i jego stronników w czarnych koszulach, ale przez samo życie. Gdybym miał siłę dowiec się do kościoła, stanąłbym przed figurą Najświętszej Pani i zaczął przeklinać jak stary Ferini. Gdyby w gardle nie dławili mnie wciąż blizny, oskarżyłbym świat o to, że zostałem oszukany. Osiągnąłem pełnoletność. Mój brat Elio umarł i wtedy, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zacząłem widzieć bez oczu.

Za to co mnie spotykało, oskarżałem przedtem innych. Zawsze tak robiłem, już nawet jako dziecko. Kiedy spadłem z drzewa, była to czyjaś wina. Kiedy nie było pod ręką nikogo, na kogo mógłbym zwalić winę, obwinałem los. Moja matka inaczej pojmowała życie. Winą za wszystko obarczała siebie, jak prawdziwa córka Kościoła. Kiedy przed wojną w święto Najświętszej Pani wychodziliśmy co roku z procesją do mostu i z powrotem, żeby zapewnić błogosławieństwo polom i uchronić je od szkody, cała gmina powtarzała za księdzem modlitwę. Łacina nastęczała niektórym z nas pewnych trudności, ale były i łatwiejsze fragmenty, w które włączaliśmy się chórem. Należało do nich wyznanie win, *mea culpa*. Schodziliśmy więc krętym gościńcem za niesioną na nosidełkach małą malowaną Madonną. Mnisi z San Crescentino wznosili nad Nią rusztowanie i ozdabiali je kwiatami janowca, żeby oni i ksiądz mieli trochę cienia w czasie mszy. Reszta stała w skwarze, im dalej od modlitw i kazania, tym bardziej dokazując. Budowali też rusztowanie podobne do szubienicy i zawieszali na nim dzwon, który wzywał wiernych na nabożeństwo. Widziałem, że za każdym razem, gdy biliśmy się w piersi i powtarzali *mea culpa*, moja matka mówiła to z dumą i gorliwością, przekonana, że wszystko było naprawdę jej winą, bardziej jej niż czyjakolwiek. Wpatrywała się w szubieniczną dzwonnice jak zahipnotyzowana, jakby

wyobrażała sobie, że to ją karzą za jej liczne i niewybaczalne grzechy.

Słyszałam często, jak powtarzała, że moja ślepotą jest karą dla niej za zaniedbywanie domu. Kiedy byliśmy dziećmi, robiła jeszcze wyjątek dla mojego ojca: wiele z tego, co nas spotykało, było jego winą. Później dokonała jednak ponownego obrachunku sumienia i doszła do wniosku, że nawet depresja ojca ją obarcza: toć inne kobiety nie miały mężów, którzy by zadręczali się przez cały czas i gapili w ogień jak jej Secondo. Kiedy zginął Elio, zastrzelony przez Niemców w górach gdzieś koło Umbertide, poczuła się winna ponad wszelką pociechę. Całymi godzinami siedziała w kuchni i tylko płakała.

Mieszkailiśmy w pomieszczeniu niewiele większym od tego pokoju, podzielonym na parter i pięterko. Kiedy przebywaliśmy w domu całą szóstką, bezustannie na siebie wpadaliśmy jak króliki w klatce. Kiedy siedzieliśmy w kuchni, matka, która szlochała, ojciec gapiący się w ogień i posysający fajkę, Elenita gotująca lub szyjąca, ja tkwiący nieruchomo na krześle, mieliśmy jedno drugiego na wyciągnięcie ręki, a mimo to nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Szloch matki brzmiał tak, jakby chciała utopić się we własnych łzach, wydawała dźwięki tak okropne jak niektórzy pacjenci na moim oddziale w szpitalu w Perugii. Przerzywałam milczenie głównie po to, by móc z nią rozmawiać. Chciałam jej wytłumaczyć zagadnienie winy, powiedzieć, że jest dobrą kobietą i matką, i że sama jej bliskość działa na mnie kojąco.

Zastanawiam się nieraz, jakie sukienki mogłaby sobie kupić za moją rentę. Mogłaby mieć dom na miarę swoich pragnień i wszystko, czego by tylko chciała lub mogła sobie zamarzyć.

Zostałam hojnie wynagrodzony za moją stratę. Zapłacono mi za uszczerbki wojenne: tyle i tyle za rękę, tyle i tyle za kiszki plus dodatek nadzwyczajny za oczy. Los

mnie wynagrodził. Mogłem przez czterdzieści lat siedzieć i rozmyślać. Gdybym nie był zakochany, już dawno umarłbym z samotności, lecz ja nosiłem w sercu Valentine. Moja matka umarła w biedzie, jaką klepała przez całe życie. Obliczali już dla mnie rentę w Castello, ale przysłali mi ją dopiero po śmierci matki. Przypuszczam, że nie chcieli ustalać jej wysokości przed zakończeniem wojny z obawy, by nie trzeba jej później mnożyć przez miliony.

Myszę nieraz o moim bracie Elio. Czy bardzo cierpiał umierając? Czy wiedział, że śmierć nadchodzi, czy też spadła na niego jak niespodziewany cios w kark? Myszę o królikach w klatce, walczących o miejsce dla swoich małych i tracących je tyle razy, iż wydawałoby się, że powinny wreszcie zaprzestać rozmnażania się. Myszę o wyrazie przerażenia w ich ślepkach za każdym razem, gdy do klatki wsuwa się czyjaś ręka, by wyciągnąć z niej za uszy kolację. Między nami a nimi nie ma znów takiej wielkiej różnicy.

Wyobrażam sobie, jak Elio musiał tęsknić za akordeonem. Jaką muzykę mogli grać tam w górach? Prawdopodobnie nie mogli nawet śpiewać z obawy, by ich nie wykryto. Wciąż mam gdzieś jego akordeon, zdaje się pod łóżkiem. Weź go sobie.

Kiedy Stefano chciał zaprotestować, że nie może przyjąć takiego prezentu, rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju, nie poczekawszy na odpowiedź na swoje suche: „Czy można?“, wpadł doktor Mearelli z czarną torbą.

Po jego wyjściu Mezzanotte sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi.

— Nie zostawiaj mnie nigdy samego z tym łapiduchem, dobrze?

— Jasne, skoro pan sobie tego życzy.

— Dziękuję. Boję się ich, dostrzegają pęknięcia w mojej skorupie. Musisz zamykać mnie na klucz, kiedy wychodzisz, żeby nikt nie mógł tu wejść.

— Nigdzie się nie wybieram, zostanę tu z panem.

— Nawet dzisiejszej nocy? — zapytał z niepokojem Mezzanotte.

— Oczywiście... A co jest takiego szczególnego w dzisiejszej nocy?

— Widzisz, to jakby rocznica. Cieszę się, że zostaniesz. Z jakiegoś powodu wydaje mi się to ważne. Zatrzymuję cię jednak z dala od domu.

— Czy nie od tego właśnie jest wojsko: żeby z chłopców robić mężczyzn?

— Zawsze odczuwałem sympatię dla dezertarów. Postępowali właściwie. Po co walczyć za właścicieli ciężarówek z bydlęm rzeźnym?... Zaczyna mnie morzyć sen... — szepnął i sen spadł na niego równie nagle jak przedtem lekarz i wgniół w poduszkę jego okaleczoną głowę.

— Massimo twierdził — opowiadał Mezzanotte — że nie jesteśmy przygotowani do wojny. Mówił, że nasza armia to kiepski żart. Wtedy nie wszystko z tego, co mi mówił na takie tematy, rozumiałem. Pochodziliśmy z dwóch różnych światów: on był robotnikiem, ja chłopem. Mówił, że Strzelcy Alpejscy muszą znosić chłoszczące wichry w górach Grecji, ubrani jedynie w tekturowe buciki i cienkie paletka. A ja nie wiedziałem nawet, gdzie leżą te greckie góry. Słyszałem o jakichś księżycowych górach w stronę krainy Irregni za La Marche, ale o tych greckich nie miałem zielonego pojęcia. Już lepiej się orientowałem w miastach i miasteczkach: potrafiłem zlokalizować na mapie i znałem każdą miejscowość, w której był dworzec kolejowy. Wiedziałem, gdzie leży Nicea, Paryż, Calais, Zurych i Wiedeń, bo miasta te wymieniano w kolejowych rozkładach jazdy. Z państwami było już gorzej.

Do Afryki co prawda pociągi nie chodziły, ale wiedziałem o niej to i owo z dzienników radiowych. Przez całą zimę roku 1935 głośnik na plebanii ogłaszał wiadomości na całą dolinę. Donoszono o paśmie zwycięstw, o walkach

i zwycięstwach, dzień po dniu. W sześć miesięcy później mieliśmy już Imperium. Opowiadano o wyścigach rydwanów i triumfalnych paradach. Opowiadano, że w Colosseum pojawiły się znowu lwy i dzikie bestie. Wcześniej w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje aż tyle rzeczy, o których można mówić. To w tym mniej więcej czasie po raz pierwszy usłyszałem radio. Rozjazgotało się nagle i potem już gadało, gadało... Elio lubił grywać na akordeonie „Faccetta Nera”, to była jedna z jego ulubionych melodii. Kiedy w radiu przestawali gadać, również nadawali „Faccetta Nera” .

Nie zastanawiałem się zbyt nad wojną. Mieliśmy nasze własne bitwy do stoczenia: grad i suszę, stonkę, która zniszczyła mojemu ojcu kartofle, ryjkowce, które zjadały zboża, choroby, nieszczęśliwe wypadki, wreszcie ciągły lęk przed przyszłością. Przyszłości bali się wszyscy; doświadczenie uczyło, że nigdy nie przynosiła niczego prócz kłopotów.

Przypuszczam, że gdyby kazano mi powiedzieć, czym jest wojna, opisałbym ją jako gadanie wielu osób, trochę bitew krótkotrwałych jak ruchome obrazki, kilka piosenek i znowu gadanie bez końca, jeszcze głośniejsze i prędsze. Zwycięstwo trwa krótko, szeptane plotki rezerwuje się dla klęski.

Nigdy nie sądziłem, że wojna polega na leżeniu w koszarach i walce z głupimi dowcipami. Lwia jej część zesłała mi na czekaniu. Najpierw czekaliśmy na wiadomość, czy wyślą nas do Afryki. Do Libii jednak wysłano okrętami inne oddziały. Wypadki rozgrywały się tak daleko od nas, jak za mgłą. Nawet naloty lotnicze zdarzały się zawsze gdzie indziej. Nigdy nie widziałem bomb przebijających dachy ani budynków zapadających się jak domki z kart. Takie rzeczy nigdy nie zdarzały się w pobliżu, plotkowano o nich tylko, podsycaly atmosferę strachu. Żołnierze z naszego batalionu dezertowali dziesiątkami. Wiedziałem, że wielu

z nich rozstrzelivano. Wciąż się o tym słyszało. Nie powiem, abym żałował, że nigdy nie trafiłem do plutonu egzekucyjnego. Raz tylko spotkałem kogoś, kto w nim służył, i na tym koniec. Nie chcę powiedzieć, że brakowało mi obrazów wojny, lecz tylko tyle, że wciąż się z nią rozmijałem. Nie widziałem jej nigdy w akcji. Mieszkalem w koszarach, kładłem się do łóżka w mundurze, sypiałem w rowach, straciłem przyjaciela i te wszystkie członki mego ciała, ale nigdy nie widziałem bitwy.

To zabawne, ale tu we wsi ludzie boją się ze mną rozmawiać o wojnie. Widzą, jaki jestem poraniony, pamiętają, jaka ona była straszna dla nich, więc sądzą, że dla mnie musiała być jeszcze straszniejsza. Tymczasem jedyne okropności, na jakie patrzyłem, przyśniły mi się w szpitalu. Słyszałem, jak szeptałem karcono nieraz ludzi, że mówią o moich ranach jako o następstwie wypadku. Tymczasem to w znacznym stopniu naprawdę był wypadek. Padłem ofiarą przypadkowego ataku. Nikt się nie wysiłał, żeby chwycić za karabin i mnie zastrzelić, nikt nie przeciągnął po mnie serią z erkaemu, nie wystrzelił do mnie z działa czołgista i nie zrzucił na mnie bomby lotnik. Ja...

Napad suchego kaszlu przerwał kalece, a potem w jego piersi zagrał wyczerpany chrapliwy oddech.

— Wybacz mi, Stefano, dzień mija, chciałbyś się pewnie trochę przewietrzyć. Muszę przyznać, że gadanie przynosi mi ulgę. Nic dziwnego, że wszyscy pokochaliśmy radio: jest podobne do nas, gada byle gadać, choćby i do pustego pokoju. Fontanna słów kontrolowana gałką. Elektryczny monolog, gadająca pamięć, przykrwanie prawdy do własnych potrzeb, rozpowszechniane z oficjalną pieczęcią. To jak ja, Stefano: na mnie też przybili urzędowy stempel, jestem urzędowym weteranem wojennym, urzędowym kaleką, urzędowym ślepcem. Siostra powiedziała mi kiedyś, że nawet moja sztuczna ręka zostanie ostemplowana: „Własność rządu”. Możesz więc przyjąć, że moje

wspomnienia wojenne będą oficjalnymi wspomnieniami, wersją urzędową. Mógłbym je w takim razie zawrzeć w dwóch zdaniach. Po nalocie lotniczym na Colle Val D'Elsa wyleciały w powietrze ruiny pewnej chaty i zabiły mojego przyjaciela, szeregowca Massima Gavariniego. Następnie mógłbym powiedzieć, że od wstąpienia do wojska aż do wypadku żyłem w stanie lekkiego oszołomienia, ostatnią rzeczą zaś, jaką widziałem, było morze.

W moim domu w ogóle nie mówiło się o morzu. Jeśli ktoś o nim wspominał, miał naprawdę na myśli Jezioro Trazymeńskie. Mieszkaliśmy w głębi lądu; morze było nie tylko czymś dalekim, ale i zupełnie dla nas niepojętym, bardziej chyba niż księżyc. Księżyc widywaliśmy prawie każdej nocy. Sialiśmy według jego faz, pod jego dyktando przycinaliśmy krzewy winorośli i flancowaliśmy rozsądę. Jego tarcza była nam znajoma, znaliśmy też jego nazwę i nazwy jego gór, wyraźnie widocznych w pogodnej nocy ze szczytu Muccignano.

Zjeździłem co prawda za cyrkiem Maestra Rossiego kraj wzdłuż i wszerz, lecz był to cyrk lądowy, nastawiony na mizerne zarobki wieśniaków i niewiele wyższe dochody mieszkańców małych miasteczek w głębi lądu. W światku lunaparków obowiązywało niepisane prawo, zgodnie z którym cyrki lądowe nie wachały nigdy morza, natomiast ich morscy rywale trzymali się wybrzeży. Podróżowałem więc po całym kraju, ale nigdy nie widziałem morza.

Wiosną czterdziestego drugiego przerzucili nas do Rawenny. Krążyły słuchy, że wojna niedługo się skończy. Jedni twierdzili, że zwycięstwem, drudzy, że klęską, ale i ci, i ci zgadzali się co do tego, że długo już nie potrwa. Słabo się orientowaliśmy, co się naprawdę dzieje. Radio bombardowało nas wiadomościami, wezwaniami do spełnienia obowiązku i nie kończącymi się pochwałami. Słuchaliśmy o stratach naszych batalionów jak o wpadkach na szachownicy. Byliśmy na niej zwykłymi pionkami, okrytymi co



prawda chwałą, gdyż służyły Duce. Byliśmy przeznaczeni na ofiarę, podstawieni pod bicie przez niefrasobliwe dziecko rozgrywające partię przeciwko wielkiemu mistrzowi. Całe-państwa traciliśmy jak figury szachowe. Normą stało się niezauważanie faktów, udawanie, że nie dostrzega się rzeczywistości, i udawanie tego tak skutecznie, że pewne fakty istotnie przestawały istnieć. W naszej dolinie przetrwaliśmy dziesięciolecia — ba, stulecia! — dzięki temu, że zawęziliśmy świat do znajomych opłotków rodzinnej wioski. Wszystko, co poza nią, stanowiło zagrożenie. Opuścić wieś znaczyło zwrócić na własne gniazdo uwagę drapieżników, przyciągnąć je, zwabić. Moje przedwojenne włóczęgi śladem Valentyny dlatego między innymi napełniały moją rodzinę taką trwogą.

W radiu dużo teraz mówią o regionalizmie, tyle że myślą regiony. Ja pochodzę z Umbrii, ale dla mnie to tylko słowo. Kiedy spotkam kogoś z Le Marche, będzie on dla mnie Irregno, a ja dla niego Papalino: tych nazw używamy i rozumiemy je. Ale mój prawdziwy region mieści się w granicach tej wioski. Teren wznosi się tu na wschód grzbietem Zeno Poggio, opada ku San Severino na północy, wspina się na Rocagnano, Muccignano i Sant Agnese, na zachód rozciąga się daleko po zboczu wzgórza od Bolbina po Nuvole, obejmuje sosnowe gaje wzdłuż przeciwnego grzbietu, gdzie cyprysy stoją na straży nad szachownicą poletek i lasów, opadających do serca doliny. Dwie biegnące pagórkami drogi jak główne arterie łączą dwa kościoły, parafialny i klasztorny, i dwa współzawodniczące ze sobą dzwony. Pola na obu brzegach rzeki rozkładają się na kształt rozchylonych płetw. Droga i liczne jej odnogi przypominają zakrzywione ości. Na południe wieś zwięza się w głowę, wskazującą otwartym pyszczkiem w stronę Castello.

Za moich ziomków uważam tych, co urodzili się i mieszkają w obrębie tych granic. Naszym językiem jest dialekt z tych wzgórz. W San Severino mówią już inaczej.

Starzy ludzie z naszych wsi nie najlepiej się rozumieją. Nie ślubowaliśmy wierności ani Duce, ani królowi, chrześcijańskim demokratom ani komunistom. Wierności dochowujemy tylko sobie samym. Wybieraliśmy jedni drugich, bez agitacji wyborczej i kartek do głosowania. Popieraliśmy jedni drugich, rosnąc jak dzikie wino i drzewo, tak ze sobą splecione, iż rozdzielenie ich jest wręcz fizycznie niemożliwe.

Ta wojna nie była tak naprawdę naszą wojną, więc i zwycięstwa nie uznaliśmy za własne. Gdy jednak nadeszło, klęska okazała się już naszą klęską. Być może to dlatego żołnierze, którzy nie wykazywali żywszego zainteresowania wojną, okazali je dla pokoju. W naszym oddziale znajdowali się żołnierze zagubieni znacznie bardziej niż ja, tacy, którzy w czasie, kiedy przierzucano nas do Rawenny, nie mówili nawet po włosku. Nauczyli się rozumieć kilka podstawowych rozkazów, dość, by nie popadać stale w tarapaty, ale na co dzień mówili ojczystą gwara. Ja i Massimo dogadywaliśmy się ze sobą jako tako; niektóre słowa i zwroty musieliśmy sobie co prawda wyjaśniać, ale na ogół rozumieliśmy się nie najgorzej. Nie zapominaj, że Massimo rozmawiał ze mną po włosku. Kiedy pojechaliśmy odwiedzić jego rodzinę, zaczął się posługiwać swoim dialektem i wtedy znacznie trudniej było mi go zrozumieć.

Mieliśmy w naszym oddziale chłopców z Południa, którzy równie dobrze mogliby mówić po niemiecku, tyleśmy ich rozumieli. Na przykład jeden Sardyńczyk — chłopak każdej nocy popłakiwał przez sen — bez przerwy mnie zagadywał, dawał mi papierosy, włóczył się za mną wszędzie i usta mu się nie zamykały, lecz dla mnie jego mowa była tylko niezrozumiałym bełkotem. Miał oczy czarne jak smoła, które nie odbijały światła. Chłonęły cię, a światło wypijały. Niepokojące oczy. Z początku zachowywał się jak dzikie zwierzę w klatce, które miota się bez przerwy i skacze na

ogrodzenie, potem na pewien czas wsadzili go do aresztu. Wyszedł stamtąd jakby poskromiony i złamany. Opowiadano, że na początku służby usiłował się zastrzelić, ale nie umiał się posłużyć karabinem. Po wyjściu z aresztu przestał się za mną włościć. Nie zwracałem na niego uwagi, póki się nie powiesił na drutach kolczastych, którymi był ogrodzony nasz obóz. Jego ciała nie odesłali do domu. Chodziły plotki, że wysłali do jego rodziny na Sardynii list informujący, iż ich syn „zaginął podczas akcji”. A tymczasem trudno sobie wyobrazić dotkliwszy brak akcji od apatii, jaka panowała w naszym obozie.

Byłem przyzwyczajony do wstawania do pracy w polu o piątej rano. Przez te monotonne dni spędzone w wojsku stałem się ociężały i otepiały. Najbardziej podniecającą i najruchliwszą porą dnia był czas pobudki. Należało wstać, ubrać się, zasać łóżko, wyczyścić sprzęt i wybiec na defiladę. Potem dzień schodził nam na bezczynności. Jeśli wypadała akurat moja kolej na służbę wartowniczą, stawiałem na warcie, jeśli nie — rznąłem w karcięta. Dużo czasu spędzałem na rozmyślaniu o Valentinie. Pisałem do niej listy i wyczekiwałem odpowiedzi. Nadejście poczty śledziłem o wiele pilniej niż wojnę.

Po Nowym Roku co miesiąc przysyłała mi kartkę. Wysyłała je zawsze piętnastego, przychodziły jednak dopiero po paru tygodniach. Były to pocztówki z katedrami z miast, które odwiedzała. Każda z taką samą wiadomością: „Pamiętam o Tobie, Twoja Valentina”, każda nadana z innego miasta. Fotografia i stempel pocztowy nigdy się ze sobą nie zgadzały. W styczniu, lutym, marcu i kwietniu dostałem tę samą wiadomość. Valentina zawsze zachowywała się w sposób niekonwencjonalny, była osobą niezwykle skomplikowaną. Przywykła do prowadzenia gry. Zawsze tak robiła: wymyślała sobie sytuacje, które potem wydawały jej się bardziej rzeczywiste od prawdziwego życia. Wiem,

że wojna ją przygnębiała. Okropnie się bała owadów. Wszystko, co latało w powietrzu i miało żądło, przerażało ją. Szczególnie nienawidziła os, pszczoł, gzów końskich i szerszeni. Kiedyś użądliła ją osa i potem cały dzień przeleżała w śpiączce. Sama myśl o samolotach i bombach przejmowała ją trwogą.

Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wymyśliła sobie drugiego Alessandra i stworzyła inną sztukę z własną osobą w roli głównej. Ignorowała wojnę, prawdopodobnie udawała, że nie jestem żołnierzem. Pocztówki miały mnie przywabić. Już przedtem mnie tak nęciła. Miała w swoim charakterze pewną dozę okrucieństwa. Wiedziałem na przykład, że była bardzo przywiązana do niektórych z cyrkowych zwierząt. Kiedy jedna z małp zdechła, płakała tak rzewnie, aż spuchła jej głowa, i sama podawała lekarstwa psom, gdy chorowały. Tymczasem kiedy były na łańcuchu, lubiła się z nimi drażnić, kłuła je patykiem i dręczyła, aż zaczynały szczyryć na nią kły.

Wiedziałem, że w końcu złagodnieje — zawsze się tak działo — i wróci do domu słodka i uległa, najmilsza pod słońcem. Bawiła się ze mną, a ja nie miałem nic przeciwko temu. Zdawałem sobie sprawę, że jest dzikim zwierzęciem, które obłaskawiałem swoją miłością. Jej gra należała do rytuału, osobliwego rytuału zalotów, który, jak sądziłem, należał do obyczajów jej plemienia.

Tymczasem pisałem do niej na wszystkie adresy i miejsca postojów cyrku, jakie tylko przychodziły mi do głowy. Doniosłem jej o śmierci Massima, o naszych przenosinach do Rawenny; pisałem o pożądaniu, które zżerało mnie po nocach, i tęsknocie, która mnie spalała za dnia. Przede wszystkim jednak pisałem jej o tym, że ją kocham i zawsze będę kochał.

Dziesiątego maja wynagrodziła mnie listem. Valentina nigdy nie chodziła do szkoły. Czytać i pisać nauczyła ją Cyganka Agata, która wcale nie okazała się taką wiedźmą,

za jaką ją brałem. Kochała na przykład poezję. Wprowadzała w nią Valentine, nauczyła ją dziesiątków wierszy o pięknie i miłości. Valentina umiała pisać piękne listy, jeśli tylko chciała. Brzmiały jak poezja. Używała słów tak delikatnych, że odbierałem je jak czułe pieszczoty.

Po wizycie w szpitalu wojskowym napisała do mnie cztery listy. Przechowuję je jak najcenniejszy skarb. Są balsamem na moje rany, moim wzrokiem, ramieniem, dotykiem. Znaczą dla mnie więcej niż całe moje życie. Obecnie ich już nie wyjmuję. Kiedyś dotykałem je i wahałem bezustannie, od czego papier zrobił się szorstki i przesiąkł moim zapachem. Przeczytano mi je, gdy nadeszły, nauczyłem się ich na pamięć, jak Valentina wierszy Agaty. Cztery pocałunki, cztery cuda, Stefano.

Miałem ci opowiedzieć o morzu. Już się do tego zabierałem, kiedy zerwał się w mojej głowie ten wiatr. Jestem oszołomiony. Co tu zrobić, co mam powiedzieć?

Czuję w pokoju krew, a w ustach swąd dymu. Napiłbym się czegoś.

Stefano był rad z tej przerwy. Od kilku już minut wiercił się niespokojnie, wypruwał nitkę z pożyczonego swetra i bawił się nią. Udzielił mu się niepokój Mezzanottego. Dotąd chłopak znajdował oparcie w jego spokoju.

— Przyniosę coś z baru — zaofiarował się.

Wyszedł; nie dał staremu czasu na odrzucenie tej propozycji. Wybiegł na dwór bez palta, po drodze chwycił tylko szalik, okręcił nim szyję i zakrył usta. Mróz był tak silny, że momentalnie popękały mu wargi. Stefano oddychał przez wilgotną wełnę, głęboko wciągając powietrze, jakby chciał oczyścić płuca z zarazków, jakie rozsiewał świszczący oddech Mezzanottego. Znalazłszy się wśród oślepiająco białych, aż niebieskawych kop śniegu poczuł uniesienie i zawrót głowy jak po alkoholu. To podsunęło mu myśl, żeby naprawdę się upić, czego już od tygodni nie robił.

Zaopatrzył się u Concetty jak na przyjęcie. Kilku bywalców baru zagadnęło go: „Jak on się miewa?“, na co odpowiadał nieodmiennie: „Doskonale, doskonale.“ Za każdym razem, gdy wypowiadał to słowo, robiło mu się niedobrze, jakby zdawał sobie sprawę, że Mezzanotte wcale nie miewa się doskonale. Jego racjonalny umysł wierzył zapewniением doktora Mearellego, lecz intuicja Stefana żyła już w wewnętrznym świecie ślepcy.

Chłopak domyślał się, że stary opowiedział mu już wszystkie mniej ważne fakty ze swojego życia. Mezzanotte nie wyjaśnił mu jednak dotąd dwóch rzeczy: jak się skończyła jego miłość i co spowodowało „wypadek“. Stefano zdawał sobie sprawę, że ślepiec zbiera się do opowiedzenia mu o tym. Ludzie uważali go za postać tajemniczą i mroczną, twierdząc sekretów. Co pozostanie z twierdzy, gdy wszystkie sekrety zostaną odkryte? Stary szykował się do opróżnienia swojej głowy ze wszystkich myśli i wspomnień. Odstępował swoją przeszłość i marzenia, podnosił kotwicę, zrywał korzenie. Gdy je zerwie i rozsypie jak garść nasion, co mu pozostanie, co go powstrzyma od pożegłowania z prądem? Choroba i śnieżycy wytrąciły Mezzanottego z równowagi. Budowane od pół wieku rusztowanie zostało usunięte.

Stefano wracał głębokim śnieżnym tunelem. Po obu stronach miał białe usypane szpadlami ściany. Doświadczał urojonych zawrotów głowy. Było tak ślisko, że musiał się podierać o ściany zamrożonego korytarza. Licząca sto metrów droga, którą już tyle razy przebiegał, wydawała mu się teraz nieskończenie długa. Stawiał kroki ostrożnie i niepewnie.

Kiedy skręcał w kopny śnieg zalegający w ogrodzie Assunty, uświadomił sobie, że wieś jest jak wymarła. Poza paru osobami w barze Concetty nie spotkał po drodze ani żywej duszy. Obejrzał się na oślepiające zasy i zadrżał, bardziej ze strachu niż zimna. Ta uliczka nigdy dotąd nie

bywała tak pusta. Wieś nigdy jeszcze nie sprawiała wrażenia tak wymiecionej z przyjaznych twarzy. Wbiegł do mrocznego wnętrza pokoju chorego i zaryglował za sobą drzwi.

Choć wieś wydawała się wymarła, przez cały dzień ktoś do nich zaglądał, ani na chwilę nie dawano im spokoju. Zjawił się też doktor Mearelli, przygnany irytującą troską o swego pacjenta.

— I jak się dzisiaj czujemy? — zapytał.

Pytanie to przeobraziło się w jego ustach w zawoalowaną zaczepkę.

— Dobrze, panie doktorze, nie narzekam.

— To świetnie, doskonale.

Wydawało się, że doktor Mearelli niezależnie od odpowiedzi pacjenta ma wyrobioną opinię na temat jego samopoczucia. Spojrzał na Mezzanottego i jego wzrok już się od niego nie oderwał, niczym przyszpilony do kartonika motyl. Doktor czuł się tak, jak gdyby ktoś podkraść się do niego od tyłu i sparaliżował mu wolę. Uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie widział oczu ślepcy. Miał ochotę zdjąć te ciemne okulary i zbadać mu oczy. Zdziwił się, że po siedemnastu latach uprawiania swojego zawodu okazuje się tak nie przygotowany do podobnego czynu. W zmieszanie wprawiło go odkrycie, że zachowuje się raczej jak znachor niż lekarz z dyplomem. Wolałby, żeby Mezzanotte opuścił swoją czarną tarczę.

— Czy pozbawiłby pan ślimaka jego skorupy? — zapytał nagle ślepiec.

Doktor Mearelli zaczerwienił się i wybąkał:

— No cóż, nie mogę siedzieć tu u pana cały dzień. Zajrzę jeszcze wieczorem.

— Ja wcześniej chodzę spać, doktorze — skłamał Mezzanotte. — Może lepiej niech pan przyjdzie jutro.

— Jestem pewien, że pański opiekun mnie wpuści — nie ustępował doktor Mearelli.

— Stefano kończy służbę o szóstej. Jest zmęczony i również położy się wcześniej.

Doktor Mearelli brnął wolno przez śnieg, który znów sypał puszystymi płatkami, ścieląc je na już spiętrzonych zaspach, wybielając plamy, zacierając powierzchowne draśnięcia pazurków głodnych ptaków i wypełniając wgłębienia ludzkich śladów. Niebo zaciągała mleczna biel. Doktorowi przyszedł na myśl szpitalny magazyn bielizny z setkami krochmalonych poskładanych prześcieradeł i obuwia; pomyślał też o pierwszej komunii. Pragnąłby zaprzyjaźnić się ze ślepym starcem. Zawsze dotąd myślał o sobie jako o człowieku delikatnym i zdolniejszym od innych. Tyle już razy trzymał w dłoni różne skalpele i noże, jego kunszt z istoty swojej wymagał delikatności. A mimo to, brnąc w śniegowcach przez zasy i zapadając się co jakiś czas w ich zdradliwe głębie, miał wrażenie, jakby zacierał mu się obraz samego siebie. Pierwszy raz w życiu czuł się niezręcznie. Trzepnął dłonią w rękawicy w śnieżną przyzmę i obsypał lodowym pudrem pole za murem. Z odrazą przyjrzał się swojej ciepło otulonej pięści, jakby nie do niego należała. Przywykł do delikatnych gumowych rękawic sali operacyjnej i tanecznych ruchów związanych z jego profesją. Opuścił rękę i pozwolił jej zwisnąć bezwładnie u boku.

W tej parze, ślepcu i jego opiece, było coś, co stanowiło dla niego zagrożenie. Im dalej odchodził od ula wsi i tej niepokojącej celi niewidomego starca, tym czuł się bezpieczniejszy. Kiedy zbliżał się do skraju winnicy, gdzie spod śniegu wystrzelały odarte z gałęzi pnie drzew, postanowił, że wróci nazajutrz do Mezzanottego i usprawiedliwi się przed nim ze swego zachowania. Weźmie ze sobą starszego syna, Roberta, by zabezpieczyć się przed zakłopotaniem, jakie go ogarniało, ilekroć wchodził do izby chorego starca. Nadciągała śnieżycyca. Płatki śniegu obsypywały mu twarz miękkimi pocałunkami i krążyły wokół jego głowy, jak krążą w lecie motyle.



Po wyjściu doktora zjawiła się Assunta z jedzeniem na tacy i koszem prowiantu. Po Assuncie wpadła Rosina z bochenkiem świeżo upieczonego chleba, po Rosinie Estelio z żoną i prezentem od całej wioski: butelką *cynaru* z szyjką ozdobioną wielką złocistą kokardą oraz bukietem kwiatów. Po ich wyjściu zamieć śnieżna zaczęła owijać wieś białymi bandażami, przywiązując każdego do jego kominika, a orkiestra wiatru zagłuszyła wszelkie dźwięki. Wichura tłukła okiennicami i łomotała w drzwi, odłamywała od zamarzniętych drzew obciążone śniegiem gałęzie, porywała śnieżne okiście, rozpylała je na pył podobny do sproszkowanego szkła i miotła na ludzi i psy. Oczyszczywszy sobie w ten sposób przedpole, wzięła się za bardziej twórcze zadania: rzeźbiła zasy, wznosiła prymitywne posągi i modelowała gładkie fale w białym krajobrazie. Zapieczętowała też drzwi pokoju Mezzanottego; nawaliła na nie śniegu aż po klamkę i wzięła starca za zakładnika przenikliwego zimna i samotności śnieżnej kurzawicy.

Do wieczora wieś zmieniła się nie do poznania. Concetta, która była zapaloną kinomanką i znała z ekranu pejzaże całego świata, obdzwoniła wszystkich krewniaków w Castello, by ich zawiadomić, że jej wieś została przeobrażona w rosyjski front. Później tego samego wieczora chciała zatelefonować do nich po raz drugi, aby im donieść, że krajobraz po zamieci znów się zmienił. Obecnie przypomina Antarktydę. Z okna sypialni Concetty rozciągał się widok na północną stronę doliny. Blask księżyca odbijał się w ponętnych krągłościach zasp. Kiedy Generale Umberto Nobile leciał na biegun południowy, w kronice filmowej pokazywali taki właśnie krajobraz. Od trzydziestu lat leżały tam uwiecznione w lodach zamarznięte ciała członków jego ekspedycji. Concetta nie mogła jednak zadzwonić, telefon ogłuchł. Domyśliła się, że śnieżnica zerwała linię. Odcięci od świata, jakież to romantyczne! Rano pomoże mężowi wykopać tunel w otulającym ich kokonie. Tymczasem śnieg

obudził w niej pożądanie. Im posepniejszy był świat za oknem, tym ona stawiała się chutliwsza. O dziesiątej obudziła drzemiącego przy ogniu męża, żeby wziął udział w tym jej niespodzianym odmłodnieniu.

W dwadzieścia minut później rozszedł się po dolinie niski jęk, wydłużający się w bolesny skowyt; lata rozczarowań i nie spełnionych marzeń wyfrunęły w noc jak uwięzione ptaki z klatki. Polująca sowa płomykówka podjęła ten dźwięk i poniosła go na obciążoną okiścią gałąź pinii. Od czasu do czasu rozlegał się w ciszy jej krzyk. Obudził Mezzanottego z niespokojnego snu, a jego towarzysza z ciężkiego stuporu.

W zamkniętej kapsule pokoju pory doby przestały mieć znaczenie. Spali z przerwami od świtu do zmierzchu, a izbę oświetlała jedynie odbita od śniegu poświata księżyca. We śnie oddech Mezzanottego nabierał przyspieszenia. Świszczał teraz regularnie, jakby to było normalne. Nie słyszało się już w nim chrapliwych pozgrzytywań, jedynie ten regularny świst, przypominający odgłos pracującego gdzieś w oddali silnika.

— Wiesz, Stefano, noc zapaliła w moich oczach ogień. Przy jednym siedzi mój ojciec i gapi się w płomienie posysając fajkę, na której nabicie go nie stać. Drugi właśnie wybuchnął, podpałka dopiero co zajęła się płomieniem. Gałązki janowca trzaskają teraz i pryskają iskrami, parząc wszystkich dokoła. Przed naszą chatą ludzie czekają w kolejce, by móc podejść i podmuchać w skaczące płomienie. Elio chwycił za miechy. Przechylny przez okno w kuchni dmucha w piec i podsycza ogień. Zawsze był w gorącej wodzie kąpany. W moim oku pojawił się las pod Muccignano, na tym trójkątym wertepie, gdzie zawsze wybuchały pożary. Moje oko wciska się w najsuchszy młodnik i kępy wysuszonych paproci i rozpala płomień. Moja matka usiłuje przetrząsnąć popioły na ruszcie, aby odsiać rozżarzone żuźle i ukryć je na piersi. Ale tego ognia niepodobna już okieł-

znać, nie sposób opanować. Popioły same rosną, a potem rozsiewają się na wietrze.

Moja matka jest przygnębiona — ciągnął Mezzanotte — ponieważ nie udało jej się wybrać żuźli z ognia. Siedzi u szczytu poobijanego stołu, podpierając rękami skołataną głowę. Przypomina sobie dzień, kiedy narwała lilii nad rzeką i zanosła je na *camposanto* na grób swojej matki. Pamięta, że drabina cementarna była już przystawiona. Pamięta, jak się po niej wdrapywała, mijając piętra powtykanych w tę ogromną i makabryczną komodę trumien, żeby włożyć kwiaty do blaszanego wazonika stojącego przed matczyną fotografią. Po zejściu chciała odstawić drabinę, ale wtedy rozległ się jakiś głos z któregoś z grobowców: „Nie zabieraj tej drabiny, bo nie będę mógł zejść.” Matka krzyknęła i uciekła przerażona, więc już nie zobaczyła skołtunionej łepetyny włóczęgi, wynurzającej się z jednej z pustych jeszcze nisz.

Teraz siedzi w kuchni i podpira rękami głowę, przypominając sobie, jakiego wtedy najadła się strachu i ilu później doznała cierpienia. Słyszała głos zza grobu, widziała bomby spadające na jej wieś i zabijające jej przyjaciół. Za dużo już w życiu przeszła. Jest już tym zmęczona. Pochłania ją ogień, liżąc spięte spinaczami siwe włosy.

Moje lewe oko wpatruje się jak zahipnotyzowane w mojego ojca, przeszywa je ból stygnącego płomienia jego rozpacz. W moim prawym oku płonie żar. Nisko przelatujący lotnicy zrzucają w nie paczki ulotek propagandowych, a ono je pożera, następnie zaś sięga po samoloty. Z kłębow dymu wylatuje szara angielska maszyna. Otwiera luki bombowe i zrzuca rozżarzone węgle. Moje oko je chwyta; wyskakuje z oczodołu jak kule podrzucane przez Annibalego D'Agnana, cyrkowego żonglera.

Mógłbym sięgnąć ręką i wyjąć rozżarzony żużelek, ale już na to za późno. Ona tu dziś była. W tym pokoju pachnie liliami. Przyszła po worki. Szyje sobie nowy fartuch.

Spruwa worki na nici. Nitka chwyta płomień i płonie jak sznurek, powoli niczym lont.

Wiatr chował się dotychczas w mojej głowie, północno-wschodni wiatr. Teraz zerwał się z mojego drugiego oka i utworzył tunel ognia. U jego podstawy płonie niebieskie jądro. Niebieskie jak Adriatyk na początku czerwca.

Woda gasi ogień, więc ogień z sykiem nakrywa się płaszczem pian. Moje powieki zamykają się i otwierają w rytm fal. To wpływają na brzeg, to z niego spływają. Na piasku jeżą się małe kopczyki usypane przez jakieś robaki. Wygląda to tak, jakby tysiące drożdżów ustawiło się w rządki i rozbiło tysiące ślimaczych muszli, aż z ich skorupki utworzył się długi łańcuch. Morze podnosi go i zmusza do tańca niestrudżonymi wargami fal, podrzuca go w takt polki wzdłuż brzegu, nad którym ze skwirem krążą mewy. Niebo jest błękitne jak sukienka Najświętszej Pani, morze niebieskoszare, miejscami zmatowiałe jak złuszczonej farby malunku na wozie Valenty. Cienie są takie same jak kredowy cień na tym spłowiałym widoczku. W miejscach gdzie słońce przypieka wodę, wyskakują bąble oparzelizny. Piasek ma jasnożółtą barwę mielonego ziarna, ale wolnego od plew. W taki to sposób po raz pierwszy zobaczyłem morze.

Choć w Rawennie nie mamy właściwie nic do roboty, prócz udawania, że jesteśmy szalenie zajęci, gdy zbliża się jakiś oficer lub inspektor ze sztabu, wychodnego prawie nam nie dają. Przepustki dostajemy jedynie na godziny, nie na dni. Mówią nam, że nasi towarzysze broni walczą o byt i chwałę Imperium na pustyni i na równinach. Chodzą słuchy, że mamy obsadzić wyspy greckie. Mówią nam, że musimy trwać z bronią u nogi, w ciągłej gotowości wypełnienia luk, jakie mogą powstać. Chodzą plotki, że straty są już tak wielkie, iż nie wypełniłaby ich cała ludność Włoch. Niektórzy pilnie śledzą losy wojny. W wolnych chwilach zbierają się i słuchają radia z Londynu. Ja mam tylko dwa

wątki myśli, które splatam i rozplatom. Bawię się nimi jak grzesznik różańcem. Jeden jest poświęcony Massimowi, drugi Valentine. Rozmyślam o jego śmierci i jej życiu. Moja miłość jest straszliwie samolubna, tak samolubna, że często zagłusza w moim sercu żal. Żyję tylko dla Valentine.

Dostaliśmy dziś rozkaz rozwinięcia wzdłuż plaży zwojów drutu kolczastego. Powiedziano nam, że partyzanci z ruchu oporu otrzymują tą drogą broń z Jugosławii. W nocy zauważono przy brzegu łódź. Prace zaczęła już inna jednostka. Powstał plan przekształcenia tego niewinnie wyglądającego pasma piasku w pole minowe. Zwoje drutu kolczastego mają tymczasem służyć jako środek odstraszający. Oznajmiono nam, że komuniści z Reggio Emilia muszą zostać zgniecen. Czuję się jak barbarzyńca brukający morze. Ciężarówka przywiozła zwoje drutu. Rozdano nam nożyce do jego cięcia, jedną parę na trzech. Pracujemy w zespołach. Zwoje drutu są zbyt ciężkie, nie dają się ruszyć, a ciężarówki nie są wywrotkami. Część oddziału otrzymuje zadanie wyładowania drutu na plażę. Reszta nie ma nic do roboty, poza dokładaniem starań, by na to nie patrzeć.

Jestem rybą, która oddycha słoną wodą filtrowaną przez skrzela. Zanurzam palce w chłodnej, płytkiej wodzie i czuję cudowny prąd Adriatyku, który mnie wciąga, wabi, przywołuje. Bierze mnie pokusa, żeby pobiec za odpływającą falą. Zazdroszczę mewom ich swobody. Kusi mnie, żeby skoczyć do morza. Piasek przylepia mi się do rąk, gdy nimi poruszam. Staram się zapamiętać na zawsze cudowne piękno morza. Wciągam w płuca jego słony zapach. Oddycham głęboko. To działa jak narkotyk. Porywa mnie uniesienie. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł przyprowadzić tu Valentine, żeby i jej pokazać te cuda. Postanawiam, że gdy wojna się skończy i zwiną już drut kolczasty, spędzimy na tej plaży nasz miesiąc miodowy. Będziemy leżeli obok siebie na piasku oblepieni jego ziarenkami. Po-

zwolimy omywać się wodzie. Będziemy nurkowali i skwirzyli jak mewy. Massimo chciał mi pokazać, jak cudownie przeciska się piasek przez palce stóp. Czuję w żyłach roz-tętnioną krew.

Rozciągamy się wzdłuż plaży, linia żołnierzy równolegle do linii muszelek. Za nami wznoszą się niskie wydmy. Chcę oglądać tylko morze, więc odwracam się od nich i od leżącego za nimi lądu. Brniemy po piasku ciągnąc za sobą drut. Co chwila ktoś wybucha przekleństwami — kolce kaleczą ręce i rozdierają mundury. Zatrzymujemy się. Rozkazy przekazujemy sobie wzdłuż linii jak zdania w zabawie w głuchy telefon. Fale i mewy zagłuszają słowa. Morze pie-ni się grzywaczami aż po horyzont. Wygląda jak bezbrzeżne jezioro. Wpatruję się zauroczony w tę jedwabistą kipieli. Mewa z czarnym łebkiem nurkuje z wysoka i przysiada na fali. Wpatruję się w nią i staję się tym czarnym łebkiem. Zanurzył się pod wodę. Zanurzył się i więcej nie wynurzył.

Nie wiedzieliśmy, że plażę już zaminowano.

Z następnego miesiąca nie pamiętam nic.

Potem przeleżałem pół roku w szpitalu wojskowym w Perugii. Pół roku piekła.

# V

## VALENTINA

14

**S**tefano, Stefano! — zawołał stary, choć doskonale wiedział, że chłopak jest w pokoju; pragnął jednak wymówić jego imię, aby je móc usłyszeć, stało mu się bowiem drogie. — Stefano, czy czułeś kiedyś, jak chodzi ci po twarzy owad? Modliszka? Czy otworzyłeś wtedy oko, ostrożnie, bo mroziło ci krew w żyłach łaskotanie odnóży, i zobaczyłeś lśniąca pomarańczowo modliszkę ze złożonymi modlitewnie nad grzbietem twojego nosa rączkami?

— Nie, chyba nie. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem modliszki.

— Pod koniec sierpnia, kiedy zwoziliśmy pszenicę, polatywały w wysokich trawach i sitowiu na skraju pola. To była ciężka robota, wyciskała z człowieka siódme poty. W chwilach odpoczynku, gdy przerywaliśmy pracę, żeby ugasić pragnienie, przekąsić coś lub napić się wina, kładłem się pod łanem koszonego zboża i leżałem w pasemkach jego cienia, a modliszki przychodziły zobaczyć co to takiego. Ciekawskie były jak sami mnisi. Ksiądz proboszcz nie był ciekawy; nie miał potrzeby, wiedział o nas więcej niż my sami. Z konfesjonau.

Pomyśl tylko — ciągnął Mezzanotte — wiedział na przykład, kto był naprawdę czyim ojcem! Tymczasem mni-  
si uwielbiali pałętać się po wsi idąc w górę pod Muccignano  
lub w dół od ich kościoła w San Crescentino. Powiewali  
brązowymi habitami i człapali sandałami po piachu i po  
lodzie, niepoprawni plotkarze, przynajmniej niektórzy  
z nich. Matka mówiła, że ponieważ sami nie mogą mieć  
kobiety, lubią słuchać, co robią w łóżku inni. Uwielbiali  
plotki. W niedziele przychodzili na msze do naszego koś-  
cioła i czy stali, czy klęczeli, wyciągali szyje usiłując odgad-  
nąć kto jest kim, dopasować twarze do zasłyszanych plo-  
tek.

Podobnie jak tyle innych rzeczy, które istniały przed  
wojną w naszej dolinie, i oni zniknęli, gdy wojna się skoń-  
czyła... Na czym to stanąłem? — zapytał nagle Mezzanotte.

— Na modliszkach — przypomniał mu miękko Stefano  
wyciągnięty na wznak na łóżku polowym.

— Ano, *si, si* — przypomniał sobie stary. — Jeśli ta noc  
potrwa trochę dłużej, nad ranem będę już chyba zgrzy-  
białym sklerotykiem. Może byśmy się czegoś napili? Co ty  
na to?

— Z chęcią, zaraz przyniosę — powiedział Stefano  
i zsunął się z łóżka na zimne płytki z terakoty.

Butelka *cynaru* była już do połowy opróżniona. Chło-  
pak zaczął się głośno zastanawiać, czy przyjmowanie anty-  
biotyku nie będzie się kłóciło z tym lepkiem z kar-  
czochów. Mogą ze sobą reagować. Stryj Andrea miał hopla  
na punkcie kolidujących ze sobą lekarstw, to był jeden  
z jego koników.

— W moim organizmie mieszczą się takie złoża chemi-  
kaliów, że można by uruchomić przedsiębiorstwo górnicze  
— zaśmiał się Mezzanotte. — Jeśli masz w sobie żyłkę  
przedsiębiorcy, powinienes po mojej śmierci zabrać się do  
eksploatacji związków chemicznych z moich żył. Wydoby-  
cie minerałów. Jestem workiem starych wycinków praso-



wych i popiołów, parczanym workiem pełnym starych kronik i soli. Osławionej soli ziemi. Kryje się we mnie sól czysta jak ta, którą przywoziliśmy na rowerach z Volterry. Taki prosty człowiek, taki niewinny stary człowiek, a jak zmyślnie sfastrygowany!

Jakby pod działaniem jakiegoś procesu chemicznego dobry humor Mezzanottego ustąpił miejsca złości, a ta z kolei zwykłej u starego melancholii. Stefano nalał ślepcowi pół kubka *cynaru*. Zaczynał się go bać. Śnieg odciął ich od świata. Nie było ucieczki. Chłopak pociągnął długi łyk z butelki i wstrząsnął się, gdy gorzko-słodki napój zapiekł go w gardle.

— Proszę — powiedział i zrobił dwa kroki, które wystarczyły, żeby wyjść z tak zwanej kuchni i podejść do łóżka Mezzanottego. W pokoju było ciemno. Zbyt ciemno, by mógł coś widzieć, przestrzeń była jednak ograniczona, a do wykonania miał tylko kilka ruchów, więc poruszał się w znanym sobie pomieszczeniu, jakby i on był ślepy. Mógł zapalić światło, włącznik miał pod ręką, jak zresztą i inne przedmioty, ale po raz pierwszy bardziej bał się ciemności niż tego, co mógłby zobaczyć przy świetle. Położył się na stercie koców, nisko nad podłogą obok znacznie wyższego łóżka Mezzanottego.

Po chwili opuścił go strach, a ciemność przyniosła uspokojenie. Podobnie kojąco działał głęboki schrypnięty głos starego.

— Popływałbym sobie w morzu. Wróciłbym nad Adriatyk i pozwolił słonej wodzie mnie omywać. Pojechałbym tam z Valentina. Ale nic z tego: już nie pojedę. Jediną wodą, jaką w życiu poznałem, nie licząc święconej przy chrzcie, była woda z wiadra, którą mnie polewano, gdy się myłem. Z wodą w naszej wiosce było krucho, nie wolno jej było marnować. Słyszałem, że ponoć ludzie pławią się w rzekach dla samej przyjemności. Myśmy tego nigdy nie robili. Od wody trzymaliśmy się z daleka.

Kiedyś jeden z braci Assunty — ciągnął Mezzanotte — przepłynął co prawda Tyber w Castello. Kursował tam prom, ale przewoźnik gdzieś się zawieruszył, a rzeka tak wezbrała, że nie było mowy o przebyciu jej w bród. Brat Assunty musiał się przeprawić na drugi brzeg z żoną i małym dzieckiem, które rozpałała taka gorączka, że już nie wiedzieli co robić. Posadził żonę z płaczącym w objęciach dzieckiem na pokładzie z desek i sam usiłował przepchnąć prom na drugą stronę. Pragnienie ocalenia dziecka wzięło w nim górę nad zdrowym rozsądkiem. Podobnie jak my wszyscy nigdy wcześniej nie wchodził do wody. Był styczeń, prawie mróz. Brata Assunty porwał prąd. Chłop byłby utonął, gdyby nie dojrzał go z brzegu jakiś żołnierz i nie skoczył mu na ratunek. Dziecko umarło i od tamtej pory nikt z nas już nigdy nie pływał.

A jednak w szpitalu śniło mi się czasami, że tonę, i to mnie budziło. Leżałem przykuty do łóżyska rzeki. Woda była tak zimna, że aż parzyła, na przemian: mroziła mnie i parzyła. Ciężkie jak ołów łańcuchy promu oplotły i darły moje ciało, szorując po nim w tę i z powrotem. Gdy próbowałem zaczerpnąć tchu, usta wypełniała mi woda i ogniwą tego łańcucha. Moje usta nie były moją częścią, to ja byłem nimi; obnażonym mięsem u wlotu tunelu śmierci.

Czasem się budziłem i widziałem siebie, zabandażowanego od czubka głowy po pachwiny, zawiniętego w zakrwawione płótna. Patrzyłem, jak duszę się i miotam na białym żelaznym koniu. Jakaś czarna pięść w żelaznej rękawicy przebijała mi tułów, urywała przód głowy. Wystawała mi z ust jak kukielka. Prężyła się w moim gardle jak łeb olbrzymiego węża, gryząc i kęsając, od czego przybywało jej mocy. Potem wsunęła się jeszcze dalej i zakręciła korbą karuzeli, masywną korbą umieszczoną z boku mojego konia. Zakręciła nią z taką szybkością, że muzyka katarynki przeszła w piskliwy wizg. Kręciła korbą tak mocno, aż wirujące na karuzeli konie oblały się krwawą pianą. Byłem

przywiązany do mojego białego konia, przymocowany do jego grzbietu i utrzymywany w pozycji pionowej przez tę rękę w żelaznej rękawicy.

Czasem znikala i wtedy na żelaznym koniu utrzymywa-  
ły mnie bandażę; wirowałem lotem błyskawicy przed twa-  
rzami cyrkowców z trupy Maestra Rossiego. Valentina  
również się wśród nich znajdowała; zwisła do góry nogami  
jak nietoperz, a oczodoły miała zakorkowane połówkami  
swej naszywanej paciorkami torebki. Gdy obok niej przela-  
tywałem, wyciągnęła do mnie brunatne łapki ucięte w sta-  
wach i ociekające krwią. Znajdowały się tam również obie  
Cyganki, Agata i Emiliana, oraz sam Maestro Rossi, który  
zamiast wąsów miał dwie mały py ze skręconymi karkami.  
Byli tam również kobieta-pająk, garbuska i Annibale  
D'Agnano; wszyscy zwisali do góry nogami na wieńcu ka-  
ruzeli niczym lambrekin z ludzi. Tyle że zamiast rąk mieli  
brązowe skrzydła nietoperzy. Konie wirowały wznosząc się  
i opadając, aż zaczęła dymić główna oś, a potem buchnął  
płomień i rozerwał wszystkie konie w serii potężnych wy-  
buchów. Po każdej z tych eksplozji nietoperze wydawały  
pisk, rozpinały skrzydła i odlatywały. A potem zjawiał się  
mój ojciec ze swoją zniszczoną laską z cyprysowego drewna,  
walił mnie nią po głowie i krzyczał: „To ty nie wiesz, że  
musimy oszczędzać? Wszystko, nawet to co zepsute!”

Pod ciosami jego laski głowa mi opadła i zobaczyłem, że  
przez palce u nóg przeciska mi się szlam: błoto ze zmarnowa-  
nych plonów ojca, pulpa gnijących kartofli. Stałem na  
zagonie pełnym gnijących bulw. Ojciec bił mnie swoją cyp-  
rysową laską. Był taki smutny i taki wściekły, aż nie okazy-  
wał mi litości. Bił mnie tak długo, aż głowa spłynęła mi  
krwią. Zmusił mnie, żebym podnosił gnijące pacyny i wkła-  
dał je do worka, który niosłem. Na każdej, po którą się  
schylałem, czerwieniła krew. Pomyślałem sobie: „To krew  
z laski mojego ojca.” Ale to była krew z kawałków mięsa,  
kawałków mojego ciała, pociętego i rozrzuconego w błocie.

Mezzanotte umilkł, ale tylko po to, żeby pociągnąć łyk *cy-naru* z kubka. Wydawał się podniecony, niespokojny, jakby raz przystąpiwszy do wyjawiania swoich ostatnich tajemnic, pragnął uporać się z tym jak najprędzej.

— Ani mężczyzna, ani chłopiec: zwierzę. Przestałem być sobą, ale część mnie była jednak w tym rannym zwierzęciu uwięziona, dławiała się jego krwią, tonęła w niej, przesywał ją jego ból: wszechobecny, szarpiący, zgniatający i miażdżący. Przestałem istnieć. Zamieniłem ciało na ból. Tylko czasami wydobywałem się ze stanu majaczenia i wzbijałem pod sklepienie tego oddziału zabandażowanych. Chciałem się stamtąd wyrwać. Przez okno szpitala widziałem długi pałac z rzędami okiennic, a w perspektywie wąskiej uliczki, która biegła obok, dzwonnice jakiegoś kościoła. Miałem przed oczyma korytarz słonecznego światła ujętego w mury i całym wysiłkiem woli wyrywałem się, aby nim uciec, wydostać się z cierpienia tym tunelem rozpalonej jasności. Leżąca na łożku krwawa miazga była jednak silniejsza i za każdym razem ściągała mnie w dół, wtłaczała z powrotem w swój koszmar, dusiła ochłapami odartego ze

skóry mięsa, biczowała poszarpanymi nerwami, złamanymi kośćmi, które lekarze zbili na gwoździe i wepchnęli w bezkształtny wór stężałego bólu.

Tak samo jak dzieliłem się na siebie wiszącego wysoko pod sklepieniem sali i na to zabandażowane ciało na łóżku w dole, próbowałem dzielić się dalej, stać się wieloma różnymi rzeczami i tym chytrym sposobem wymknąć się cierpieniu. Okazałem się zbyt żywotny. Słyszałem, jak jeden lekarz to powiedział. Unosiłem się właśnie pod sufitem, gdy na oddział weszło trzech lekarzy w asyście zastępy siostr. Niektóre były ubrane w mundury Czerwonego Krzyża, inne były siostrami miłosierdzia. Szeleściły białymi kitlami, a na głowach miały białe krochmalone czepki. Jeden z lekarzy przypominał Duce. Wszyscy mu się kłaniali. Zatrzymał się przy moim łóżku i obrócił z uśmiechem do swego orszaku.

„Niewiarygodne, nieprawdaż? Nigdy bym nie uwierzył, że człowiek może przeżyć w takim stanie. Z medycznego punktu widzenia ten chłopiec powinien umrzeć w kilka dni po wypadku. No cóż, ci wieśniacy to twarde sztuki, na nieszczęście dla tego biedaka nawet zbyt żywotne. Wygląda na to, że może z tego wyjść. Jest jak robocze bydło, tylko instynkt trzyma go przy życiu”.

Wycwaniłem się jeszcze bardziej: podzieliłem się na małe cząsteczki. Czerpałem z różnych stron, nie tylko z jednej. Pewnego razu udało mi się dotrzeć aż na skraj słonecznej jasności, jeszcze chwilka, a byłbym uciekł. Ale siostry miłosierdzia miłosierdzia mi nie okazały. Przytrzymały siłą. Zmusiły, żebym nadal oddychał cierpieniem. Nie pozwoliły mi opuścić oddziału. Potem spędziłem dużo czasu pod wodą; uczyłem się pływać. Moje ręce i nogi buntowały się jednak przeciwko mnie i niezliczoną liczbę razy, gdy już, już miałem utonąć, wynosiły mnie na brzeg i wcierały mi w rany szorstki piasek.

Zaczynając moją jazdę na karuzeli zdawałem sobie spr-

wę, że gdyby tylko udało mi się zwrócić uwagę Valentyny, przysłaby mi z pomocą. Za każdym razem, gdy mój żelazny koń przelatywał obok niej, próbowałem do niej zawołać. Wystarczyłoby jedno słowo. Całymi tygodniami usiłowałem wymówić jej imię, ale ono miało ostre kanty i więzło mi w gardle. Przybywało mi tylko potem ran i cierpiałem jeszcze sroższe męki. Nie mogłem sobie poradzić z ostrymi jak brzytwa kantami jej imienia. W końcu zrozumiałem, że mój trud jest daremny, i pogodziłem się z tym. Żeby móc do niej uciec, musiałem się z tym pogodzić. Przeciskałem się przez tunel z własnego ciała. Za każdym razem, kiedy mijalem wiszącą na karuzeli Valentine, krzyczałem: „Ratunku!” I to słowo nie przechodziło mi łatwo przez poszarpane gardło.

Przyglądałem się kiedyś, jak zongler Annibale bawi się ogniem. Zanurzył pałeczkę w benzynie, podpalił ją, po czym otworzył szeroko usta i pocałował płomień jak kochankę. Zrobił to na moich oczach kilka razy, aż nagle wyrwał pałeczkę z ust, cisnął na ziemię i zaczął dokoła niej tańczyć. Następnie wsadził głowę do beczki z wodą, wyjąwszy ją zaś stamtąd zaczął wrzeszczeć jak małpy Maestra. Poparzył sobie język i gardło. W tamtej eksplozji też musiała się kryć taka pałeczka: głównia, którą los wraził mi w gardło. Poruszałem otworem, który był niegdyś moimi ustami, i wołałem szeptem: „Ratunku”. Czasem udało mi się wydobyć z gardła jakiś dźwięk, częściej nie. Słów wymówić nie byłem w stanie. Trwało to kilka miesięcy. Nic dziwnego, że Valentina nie mogła mnie usłyszeć. Nie wiedziała, że tam jestem. Ten podziemny świat był dla niej ziemią nie znaną — należała do krainy światła. Miała swoją własną krainę światła, wolną od śmierci. Tyle razy leżałem w tej krainie z czarną główką Valentyny na ramieniu i odprowadzałem zmęczone ciało mojej dziewczyny w sen.

Gdybym tylko mógł, uwolniłbym się słowem lub czynem od tego łoża tortur. Przyznałbym się do wszystkich

zbrodni świata i wziął na siebie wszystkie jego winy, gdyby mogło to przynieść ulgę w moich mękach nie do opisania. Gdy w końcu zelzały, dawno już porzuciłem nadzieję. Wolny od wszystkich ludzkich cech, pograżyłem się w najczarniejszej rozpacz.

Któregoś dnia obudziłem się po kolejnej nocy, w czasie której fale lizały moją skórę, i stwierdziłem, że stoi przy mnie moja siostra, Elenita. Poznałem ją po głosie. Spłynęła na mnie radość i ulga, lecz i one zmieniły się zaraz w ból. Potem znowu usłyszałem jej głos, ciepły i kojący. Poczułem w dłoni jej drobne szorstkie palce. Ścisnąłem je i usłyszałem, że Elenita płacze. Pomyślałem sobie: „Stałem się cały bólem, nawet mój dotyk sprawia ból. Zraniłem moją siostrę.” Jej szloch przypominał okrzyki zdziwienia. Od dziecka w ten sposób płakała. Po chwili przestała płakać i znowu się odezwała. Powiedziała, że już wiele razy do mnie przychodziła i wiele godzin przesiedziała przy moim łóżku. Ponownie uściśnąłem jej rękę, tym razem delikatniej.

Zapytała: „Czy ty jesteś tam w środku? Czy nadal jesteś Alessandrem, moim bratem?” Ścisnąłem jej rękę dwa razy, a potem zaczęły mnie znowu przywoływać fale. Wody przyplwy zmywały z plaży szczątki po wybuchu. Morze wciągało w swoją toń kawałki pogieętego żelastwa. W górze ze skwirem krążyły mewy, a potem lądowały i rządkiem siadały na złomowisku. Grzywacze piany na szczytach fal miały kolor beżowy, podobny do rozgotowanych kasztanów. Takiego samego koloru była zimą skóra Valentyny. Jej pasma ubite jak merenga rozciągnięto na grzbietach fal. Próbowałem wymówić imię mojej ukochanej, ale usta wypełniła mi słona woda i płatki rdzy. Próbowałem wymówić je w myśli, lecz moje myśli odpłynęły już w morze; unosiły się gdzieś w pobliżu szarego horyzontu.

Zapadałem w otępienie i ocykałem się z niego, pograżałem się i budziłem z majaków. Elenita odwiedzała mnie co

tydzień. Siadała przy mnie i opisywała mi świat: najbliższe otoczenie łóżka, oddział, szpital, wreszcie dzielnicę Perugii, w której się znajdował. Nigdy nie byłem w Perugii, choć odwiedziłem tyle różnych miejsc. Bywałem co prawda na dworcu Ponte San Giovanni, bo zdarzało mi się na nim przesiadać, ale nigdy jakoś nie znalazłem tych paru wolnych minut, jakich było trzeba, aby dotrzeć do śródmieścia. Cyrk nigdy się tam nie zatrzymał; w Perugii rozbijał namioty na polu za stacją kolejową. No i nie zobaczyłem stolicy Etrusków. Dla mnie Perugia to wieś San Giovami i krótkie godziny spędzone na cmentarzu z dala od wścibskich spojrzeń. Kiedy bowiem nie udawało nam się znaleźć innego ustronnego miejsca, kryliśmy się na *campo-santo*.

Ja się cmentarzy nie boję. Nie boję się śmierci. Po wybuchu próbowałem umrzeć. Chciałem tego. Chciałem, żeby mnie uśpiono jak zwierzę. Potem trzymała mnie przy życiu siła mojej miłości, moja wiara. Pokarmu, jak widzisz, nie trzeba mi wiele. Przetykanie przychodzi mi z trudem. I to nawet nie tyle z powodu bólu, ile lęku. Mam wrażenie, że kiedy składali mnie do kupy, poplątali mi zmysły. Jedzenie i strach mylą mi się gdzieś w głębi gardła. Łączy je dalekie pokrewieństwo. Jak więc widzisz, mam jednak jakichś krewnych. Powinienem powiedzieć o tym Assuncie. Biedaczka tak się trapi, że nie mam żadnej rodziny.

Zamilkł; ciszę wypełniło jego świszczące dyszenie.

— Boisz się śmierci, Stefano?

— Nie wiem. Chyba nie... Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Kiedyś bałem się, że moja matka umrze. Umarła, gdy miałem siedemnaście lat. Bałem się ciemności. Okropnie się jej bałem. A w tej chwili jest ciemno, zgasił światło, a mimo to czuję się dobrze.

— Chodź i usiądź tu koło mnie, jak kiedyś. Mówię, że nie boję się umierać, ale czuję jednak pewien niepokój. Czuję, że jest jeszcze coś, co chciałbym ci powiedzieć. Tyle się



już nagadałem, wygrzebałem z pamięci ten cały gazetowy farsz, te wszystkie podarte kawałki, posklejałem do kupy i tobie zostawiam je w spadku. Co jeszcze da się powiedzieć o życiu pojedynczego człowieka, do tego, mógłby ktoś dodać, człowieka w osiemdziesięciu procentach? Tyle że ja składałam się wyłącznie z mojej miłości, a ta jest niepodzielna.

Zaczyna mi się spieszyć. „A jeśli cię prawa ręka twoja gorszy, odetnij ją.” Moja prawa ręka nigdy mnie nie gorszyła. Ledwo ją znałem. Byliśmy jak nieznajomi. Dopiero kiedy nasze drogi się rozeszły, moja prawa ręka stała mi się bliska. To przecież ona pieściła połowę aksamitnej skóry mojej kochanki. Wplatała palce w jej włosy. Trzymała ją za rękę. To moja prawa ręka towarzyszyła Massimowi, kiedy umierał. Moja prawa ręka przyniosła mi setki nowin. Może to dlatego tak naprawdę nigdy się nie rozstaliśmy. Duch moich palców wciąż daje mi znaki.

Czy wiesz, kto się do nas teraz przysiadł? Brzeg rzeki. Mamy czerwiec. Środkiem nurtu płynie kilka pstrągów. Poziom wody jest niski, upały zrobiły swoje. Pod olchą i akacjami, pochylającymi się nad wodą koło mostu, rosną w kępach dzikie lilie. Mijamy je niosąc w procesji Madonnuccia. Ksiądz, towarzyszący mu zakonnicy i parafianie zatrzymują się na moście i ksiądz intonuje modlitwy. Prosi o pieczę nad płonami. Przysłuchujemy się uważnie, od tego przecież zależy nasza pomyślność. Nieurodzaj oznaczałby dla nas głód. „Zachowaj je, o Panie, od gradu i pioruna... Zachowaj je, o Panie, od suszy i zarazy. Zachowaj je, o Panie...” Zagrożeń jest tyle, że głos kapłana spowija monotonia, i uwaga chłopca słabnie. Przyglądam się liliom, białym trąbkom z długimi pręcikami, które słońce liże złocistym jęzorem. Zapach kwiatów dociera przez listowie drzew aż na most. Napęlnia mi nozdrza i przyprawia o nagły zawrót głowy. Piękno lilii zniewala mnie i bierze zakładnikiem swych upojnych woni. Następnie procesja rusza dalej.

Czuję tu zapach lilii. Musiała znajdować się wśród kwiatów, które przyniósł Estelio. Postaw je tu, Stefano, koło łóżka. (Ile to kwiaty śmierci) Nigdy nie zrywaliśmy tych nadrzecznych lilii i nie wnosiliśmy do domów, przeznaczone były dla cmentarza. Wiele słodkich rzeczy zarezerwowano dla cmentarzy: najśłodsze kwiaty, kradzione pocałunki, wieczne odpoczywanie. Widzisz ten bukiet?

Stefano umościł się właśnie wygodnie; oparł głowę o deskę w nogach łóżka, ozdobioną złuszczonym prymitywnym malunkiem przedstawiającym morze. Przez jedyną nie zasłoniętą szybkę w oknie wciskał się promień księżyca; tajemniczą przekątną przecinał pokój. Ciemność rozpraszał tylko na tyle, że widziało się zarysy przedmiotów. Stefano przeniósł dzban z kwiatami i postawił go na nocnym stoliku wśród pigulek, maści i pustych szklanek. W dzbanku rzeczywiście stała duża woskowa biało-różowa lilia.

— Piękna, co? — szepnął Mezzanotte.

Kiedy Stefano nachylił się nad starym człowiekiem, zauważył, że jego twarz się zmieniła. Odpłynęły z niej wszystkie kolory, pozostały tylko cienkie blizny, przecinające ją niczym mapę geometry znaki graficzne oznaczające płoty. Reszta białała woskową przejrzystością świecy wotywniej.

— Kiedy byłem mały — podjął Mezzanotte — widywałem ludzi tak starych, iż wydawało mi się, że gdyby ich wyniesiono spod ich pieców na powietrze, rozsypaliby się w proch jak za długo przechowywany w kufrze jedwab, który na słońcu tleje. Nie podobałoby mi się dożywanie do takiej miałkości, stanie się znowu całkowicie bezbronnym. Mnie okaleczono już za młodu. Pamiętaj, że to/prawdziwy dar niebios, gdy oszczędzone jest człowiekowi niedołęstwo zgrzybiałego wieku

(Cnąć życia jest czymś naturalnym)— ciągnął ślepiec. — Siedzi we mnie coś, co pożąda tych kilku więcej godzin, tych paru jeszcze dni. Mimo tylu lat przygotowań mam

wrażenie, że mnie stąd wypędzają. Pamiętaj jednak, że cie-  
szę się odchodząc takim, jakim odchodzę. Wierzę, że mi-  
łość tak szczerą jak moja zostanie nagrodzona. Ona była,  
w najdosłowniejszym znaczeniu, światłem moich dni. Roz-  
praszała ciemności i utrzymywała przy życiu moje pohara-  
tane cielsko.

W duchu jestem nadal dwudziestoletnim chłopcem,  
który w dodatku czuje się wciąż dziewiętnastolatkiem,  
gdyż rok spędził poza domem i nie otrzymał życzeń  
z okazji dwudziestych urodzin ani dnia imienin. W pamięci  
stałe widzę siebie takiego, jaki wtedy byłem: wysoki bar-  
czysty chłopak ze wsi, o zdrowej cerze i kędzierzawych  
włosach. Wtedy w Rawennie spotykałem się z Lilianą  
w wolne wieczory pod pomnikiem przed dworcem kolej-  
owym, a potem szliśmy tymi wspaniałymi ulicami — ja  
w mundurze, ona w pelerynie — na główny plac. Przecho-  
dziliśmy pod granitową kolumnadą zawsze tą samą trasą,  
jak mrówki dążące do mrowiska. Dla nas była nim kawia-  
renka na tyłach tego dziwnego kościoła San Vitale. Na  
ścianach wisiały lustra w złożonych ramach. W tej kawia-  
rence umawiali się na randki również inni żołnierze; być  
może niektórzy, tak jak ja, spotykali się z jedną dziewczy-  
ną, żeby jej opowiadać o innej. No cóż, używałem Liliany  
jak konfesjonału; przez cały czas widziałem w lustrze tył jej  
głowy i moją twarz. Mówiąc do niej wyobrażałem sobie, że  
na jej miejscu siedzi Valentina.

Od Elenity dowiedziałem się, że Liliana przyjechała do  
Perugii na początku mojego pobytu w szpitalu, żeby mnie  
odwiedzić. Długa podróż, jeśli zważyć, że odbyło się ją tyl-  
ko po to, aby zobaczyć poćć zawiniętego w bandażę jęczą-  
cego mięsa i usłyszeć, że to twój przyjaciel. Ten, którego  
ona знаła, odszedł. Ten, którego znałem ja, nigdy mojego  
ciała nie opuścił. Wciąż jestem tym samym młodzieńcem  
o szczerzej twarzy, garbatym nosie i szeroko rozstawionych  
piwnych oczach.

Gdybyś mnie poprosił, żebym ci opisał moją twarz, jak ona teraz wygląda, umiałbym to zrobić, choć nigdy jej nie widziałem. Widzę swoją twarz taką, jaką zapamiętałem z młodości, choć zdaję sobie sprawę, że teraz pokrywa ją siatka szram, która ją upodabnia do starej mapy wsi. Na policzkach mam pstrokaciznę pólki: łąn pszenicy, łąn lnu, zagon kartofli, zagon jęczmienia, poletko warzyw, zagon arbuźów, grządkę dyni nad rowem, a środkiem rządki winorośli.

Czy wiesz, że Valentina odwiedziła mnie w szpitalu?... Ósmego listopada, w tym samym tygodniu, kiedy dali mi nową rękę. Dali mi ją dla podniesienia mnie na duchu. Przypuszczam, że kiedy zdjęli mi bandaż, wzięła ich litość na widok, jaki ukazał się ich oczom. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że nie będę mógł zobaczyć ani poczuć tego, co wyjrzało spod bandażu. Mój duch znajdował się w stanie euforii, jakiej nie doświadczał od wybuchu: miała mnie odwiedzić Valentina! Napisała, że przyjedzie ósmego o szesnastej.

To Elenita ją znalazła. Dowiedziała się o miejscu pobytu cyrku od jakiegoś wracającego z frontu żołnierza i napisała do Valentyny. Nie wiem, co jej napisała, ale obawiam się, że nie przygotowała należycie mojej ukochanej na czekający ją wstrząs. Nie powinienem oczywiście zdejmować bandażu. Anonimowa zabandażowana twarz jest znacznie łatwiejsza do zaakceptowania od nagich szram i blizn. Trzeba było zasłonić twarz. Tak dużo i tak wnikliwie o Valentynie myślałem, iż dotąd wprost pojąć nie potrafię, jak mogłem być tak głupi, by sądzić, że biedactwo będzie w stanie znieść podobny szok.

Próbowałem sobie wyobrazić jej najdroższe wyraziste rysy zniekształcone przez blizny i zastanawiałem się, jakie wrażenie zrobiłby na mnie taki widok. Znając jej próżność, z pewnością bym jej współczuł, ale moja miłość na pewno by nie ucierpiała. Nie sądzę, bym mógł kochać Valentine

jeszcze mocniej, lecz gdyby to w ogóle było możliwe, moje współczucie zdołałoby to sprawić. Wydawało mi się — samolubnemu durniowi! — że będzie chciała mnie zobaczyć takim, jakim mnie знаła. Włosy mi już przecież odrosły. Lekarz namówił mnie, żebym przyjął plastikową rękę, powiedział, że doda mi to pewności siebie. Nie dodało, wprawiło tylko w zakłopotanie. Miałem wrażenie, jakby ciągnęła mnie ku ziemi uwierająca i sprawiająca ból bryła ołowiu. Chciałem ją odpiąć, lecz było już za późno.

Elenita, która siedziała obok, uprzedziła mnie: „Już idzie.” Potem wstała, przy czym zrzuciła jakiś metalowy przedmiot na podłogę. W głębi oddziału rozległ się stukot wysokich obcasów, cudowny dźwięk, na który zareagowali również inni pacjenci. Poczulem, jak nasza długa sala tężeje i napęnia się wonią pożądania. Stukot stawał się coraz głośniejszy, zbliżył się do nóg mojego łóżka i urwał. Czekałem, kiedy Valentina podejdzie bliżej, lecz obcasy nie ruszały się z miejsca. Owiał mnie zapach olejku rozmarynowego. Serce przestało mi bić i zrobiło się takie ogromne, aż przestraszyłem się, że wyskoczy mi z piersi. A potem krew zaczęła mi pulsować w żyłach i zatętniła w uszach; terkotała jak karabin maszynowy i niemal całkiem zagłuszyła inne dźwięki. Na oddziale podniósł się szum, takie brzęczenie, jakby ktoś rozdrażnił rój pszczół. Elenita coś mówiła, wypowiadała słowa, które zlewały się i ginęły, zagłuszane werblem mojej krwi. Zdawało mi się, że usłyszałem słowa „na zewnątrz”, ale pewności nie miałem.

Język leżał w moich ustach niczym śnięta ryba. Usiłowałem go obudzić, zmusić, żeby się ruszył. Tyle razy wymawiałem jej imię. Zasyślałem powtarzając sylaby Va - len - ti - na i setki razy budziłem się z nimi na ustach. Były moją modlitwą, moim zaśpiewem, moim życiem. Próbowałem je wymówić. Morze przerwało wydmy, którymi się od niego odgradziłem, i znów zalało moją głowę.

Usłyszałem jej głos, jej miękki melodyjny głos. Brzmiał wyżej niż zwykle, był jakiś dziwny, zaczął się. Domyśliłem się, że Valentina płacze. Nienawidziłem siebie za to, że ją zraniłem. Ja sam miałem aż pięć miesięcy na oswojenie się z tym szokiem, ona jedynie kilka krótkich minut.

Zmusiłem się do wydania głosu. Zawołałem: „Ratunku!” Chciałem: «Valentino!»

Usłyszałem, jak wydmuchuje nos. Powiedziała coś, czego nie dosłyszałem, a potem: „Tak mi przykro, tak mi przykro! Och, Alessandro! Ach, mój Boże!”

Chciałem wstać i pocieszyć ją. Potrafiłem już wstawać, bardzo powoli, z niewielką pomocą. Unosiłem się ostrożnie, żeby nie urazić moich wewnętrznych poszarpanych organów. Potrafiłem też chodzić. Przeklinałem siebie za to, że leżę taki bezradny i nie umiem ulżyć jej w rozpacz. A także za to, iż poddałem się zbyt ucuciom, aż mnie praktycznie sparaliżowały.

Zmusiłem się, żeby coś powiedzieć. Wykrzyknąłem jej imię. Usłyszałem, jak mój okrzyk rozchodzi się echem po wysokiej sali. Usłyszałem szurające kroki sióstr miłosierdzia podbiegających do mojego łóżka. Silne ręce unieruchomiły moje prężące się ciało. Poczułem na twarzy czyjś gorący oddech. Ktoś z personelu szepnął: „No już, uspokój się, grzeczny chłopiec, grzeczny...”

Czyjaś ręka dotknęła mojego nowego ramienia. Poczułem, jak drgnęło na kikucie. Nie wiedziałem, czy to zakonnicza, czy Valentina. Poczułem, że ktoś go dotknął, lecz nie wiedziałem kto. Wmawiam sobie, że to ona. Bo kto wie?

Później, znacznie później, wróciła Elenita. Przyniosła torbę z podarkami, które przywiozła dla mnie Valentina. Znajdowały się w niej pocztówki z malarstwem florenckim, trochę sucharów, talia kart, krawat i jakaś fotografia. Valentina oznajmiła mojej siostrze, że potrzebuje nieco czasu, żeby przywyknąć do mojego wyglądu. Elenita wyjaśniła jej

z kolei, że byłem nadmiernie pobudzony i naprawdę mam się znacznie lepiej niż wyglądałem. Valentina obiecała, że przyjedzie znów na Capodanno. Kazała mnie ucałować i powiedziała, że następnym razem wszystko wypadnie lepiej.

Niektórzy mówią, że(nie można umrzeć z powodu złamanego serca?? Może i nie, nie wiem. Niewykluczone jednak, że można umrzeć z powodu kłęski. Mój ojciec przez to umarł. Gdyby nie te listy, cztery listy, które dostałem po Nowym Roku, myślę że i ja mógłbym umrzeć z powodu kłęski. Jakże mógłbym dalej żyć, gdybym nie miał szansy zapewniać Valentiny o swojej miłości? Moje listy dyktowałem Elenicie. I to Elenita przeczytała mi cztery listy od Valentiny.

„Alessandro, mój kochany, najukochańszy, wkrótce się zobaczymy.” Jej najśodsze słowa były słośnie od wszelkich lekarstw i lepiej niż sam czas goiły rany. ^Czas znieczula i pozwala zapomnieć; zaciera rany, ale czy leczy?)Tego nie jestem pewien.

**By twoją piękność uwiecznić jedynie  
W czasie, co darzy i ograbia potem...<sup>1</sup>**

Elenita tylko raz przeczytała mi ten list, a ja zapamiętałem ów sonet na zawsze. Był to jedyne wiersz, jaki umiałem na pamięć. Pochodził z jedynej książki, jaką mieliśmy w domu. Kiedy Valentina zaczęła pisać przed wojną te swoje piękne, wypełnione poezją listy, kupiła *Sonety* Michała Anioła i oboje z Elenita staraliśmy się nauczyć tego wiersza na pamięć, żeby choć w części podzielić jej uwielbienie dla rymów. Z pomocą przyszedł nam w końcu Elio: przerobił go na piosenkę.

<sup>1</sup>Sonet Michała Anioła „Sol perché tue bellezze al mondo sieno...” w tłum. L. Staffa (przyp. tłum).

Mezzanotte uśmiechnął się.

— «Alessandro, mój kochany, najdroższy! Gdybyś Ty wiedział, jak ja za Tobą tęskniłam, jak się o Ciebie lękałam!..." Widzisz, pod tą okaleczoną powłoką pozostałem tym samym człowiekiem, jakim zawsze byłem. Los dał mi szansę uporządkowania myśli, uładzenia poglądów. Pewne rzeczy mniejszej wagi uległy we mnie zmianie. Nie czuję już żalu ani goryczy. Zaznałem samotności, ale ustrzegłem się pustki. Stałem się mężczyzną. Poznałem wszystkie uczucia, ale moja miłość nie osłabła...

Stefano czekał cierpliwie, kiedy stary podejmie swą opowieść. Wiatr uderzył w okno i strącił płat śniegu, co na chwilę odwróciło jego uwagę. Gdzieś w oddali krzyknęła sowa, po czym znowu zapadła cisza.

— Panie Mezzanotte — odezwał się szeptem Stefano — czy pan śpi?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wstał ostrożnie z łóżka. Przedłużająca się cisza zaczynała go męczyć. Od wielu już dni nie słyszał takiej ciszy. Potem uświadomił sobie, czego mu zabrakło, i wyciągnął rękę, by dotknąć dłoni Mezzanottego. Stał jednak po niewłaściwej stronie: zdrowe ramię starego leżało za daleko, spod kocy wyglądał tylko kawałek jego ciała.

— Panie Mezzanotte, panie Mezzanotte!

Dotknął piersi starego; usiłował przywrócić rżężenie, które dotąd dźwięczało w pokoju jak pracujący na wolnych obrotach silnik. Pomyślał: „Jeśli położę się teraz spać, rano je znowu usłyszę." Położył się więc na łóżku polowym i naciągnął na głowę koce; spróbował przypomnieć sobie niektóre z monologów starego człowieka, żeby mieć w nich jakieś towarzystwo.

Kiedy się obudził po około godzinie, było jeszcze ciemno. Zapalił światło i pokój zalał oślepiający blask nagiej żarówki. Stefano wmawiał sobie przez chwilę, że się pomylił



i że Mezzanotte żyje. Stary wyglądał prawie tak samo jak zawsze. Wydawało się, że woskowy połysk jego skóry znikła. Twarz weterana znieruchomiała na chwilę przed uniesieniem się w uśmiechu kącika ust, powodującym zmarszczenie blizn.

— Och, panie Mezzanotte — szepnął Stefano. Wykrzywił usta. Wiedział w duchu, że ślepiec nie żyje.

Czuł się rozdwojony. Jedna jego część miała ochotę płakać, druga na to nie pozwalała. Wygładził więc tylko okrywające zmarłego koce i sprzątnął w pokoju. Nigdy dotąd nie zajmował się nieboszczykami. Widział na filmach, że zamykano im powieki. Z pewnym niepokojem uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie oglądał oczu Mezzanottego. Uznał, że lepiej samemu zrobić to, co i tak niezbędne, niż zostawić to komuś obcemu. Zdjął staremu wielkie czarne okulary, które Mezzanotte zawsze nosił w jego obecności, uzbroidł się w odwagę i spojrzał. Był przygotowany na widok oczu w najokropniejszym stanie. To, co ujrzał, wstrząsnęło nim do głębi. W ogóle bowiem nie zobaczył oczu. Oczodoły zarastała gładka skóra. Wydawało się, że nie pokrywają jej nawet blizny. Tylko gładka skóra i wrażenie pustki. Patrzył na tę obnażoną twarz i usiłował sobie wyobrazić, jaką ujrzała ją przed laty Valentina. Obecnie twarz Mezzanottego przypominała intarsję wykonaną przez genialnego rzemieślnika. Całość połatana z kawałków doskonalej, niżby sobie mogła tego życzyć najwybredniejsza siostra miłosierdzia. Ale czterdzieści osiem lat temu musiała być spuchnięta, zniekształcona, krwawiąca i straszna.

Stefano postanowił, że zaczeka do rana z wezwaniem lekarza. Mearelli tak czy owak nie miał tu już nic do roboty.

Chłopak znowu położył się na połówce. Kiedy zamykał powieki, słyszał, jak morze jęzorem przyływu wylizuje

popiół z oczu Mezzanottego. To samo morze, które ugasiło ogień, ten ogień, który zgasił jego wzrok. Stefano rozejrzał się po pokoju; starał się jak najdokładniej zapisać sobie w pamięci jego wygląd. Pod łóżkiem, z pewnością bardziej wysunięty niż przed kilkoma dniami, dostrzegł zakurzony futerał akordeonu Elia Mezzanottego. Wyciągnął go za czarny skórzany pasek, który zaraz urwał mu się w rękę. Otworzył pudło i zawstydził się własnej ciekawości, jak gdyby był hieną cmentarną. Zaczął się tłumaczyć sam przed sobą: przecież powiedział, że mogą go wziąć. Lecz to nie przywłaszczenie sobie cudzej własności spowodowało jego niepokój, a samo dotknięcie, pogwałcenie relikwii.

W środku znajdowała się biała rozeta z brudnego atłasu, taka, jaką chłopcy przypinają na pierwszą komunię świętą, kosmyk dziecięcych włosów koloru rudawych igieł, które obleciały z bożonarodzeniowej choinki, mały drewniany kozik wyrzeźbiony z drewna oliwki, wreszcie akordeon ze zniszczoną klawiaturą i bokami z czarnej skóry. Kiedy Stefano go podniósł, instrument wydał niski pomruk, od którego przebiegł chłopaka dreszcz trwogi. Stefano odłożył z powrotem akordeon i jego wzrok padł na paczuszkę listów obwiązanych kawałkiem niebieskiej wstążki. Do wstążki była przywiązana etykiетка podróżna, zapisana staroświeckim dziewczęcym charakterem pisma. Przeczytał: „Proszę nigdy nie czytać tych listów mojemu bratu Alessandrowi, ponieważ pękłoby mu od tego serce.” Podpisano niewprawną ręką: „Elena Mezzanotte, 1943”.

Stefano rozwinął paczkę. Nie przyszło mu to łatwo, gdyż ręce mu drżały, a stary supeł był mocno zaciśnięty. W środku znalazł cztery listy, każdy w osobnej kopercie. Stemple pocztowe pozostały wyraźnie czytelne. Pierwszy list wysłano z Massa-Carrary, pozostałe z Modeny. Napisało je na kartkach wydartych ze szkolnego zeszytu w linie. W pierwszym liście Stefano przeczytał:

Marzec 1943

Najdroższy Alessandro!

Nie mogę przyjechać, żeby się z Tobą zobaczyć. Nie potrafię się na razie na to zdobyć. Jestem zaręczona z kimś innym i co innego mam na głowie. Tak mi przykro, że spotkało Cię to nieszczęście i zostałeś niewidomy. Ja się chorób okropnie lękam. Lękam się też Ciebie, choć jestem pewna, że któregoś dnia zostaniemy znowu przyjaciółmi.

By twoją piękność uwiecznić jedynie  
 W czasie, co darzy i ograbia potem,  
 Natura, sądę, odbiera z powrotem  
 Wszystko, co w tobie każdego dnia ginie,

I przechowuje k'odrodzen godzinie  
 Na pomyślniejszy los, aby istotę  
 Ukształcić, w której się nowym żywotem  
 Twój wdzięk anielsko pogodny rozwinie.

Przesyłam najserdeczniejsze uściski Elenicie oraz najlepsze życzenia Tobie i całej Twojej rodzinie z okazji Nowego Roku.

Twoja Valentina.

W drugim liście Stefano przeczytał:

Kwiecień 1943

Najdroższy Alessandro!

Dużo o Tobie myślałam. Przepraszam, że byłam ostatnio taka nieprzyjemna, ale okropnie mną wstrząsnęło, kiedy zobaczyłam, jak straszny spotkał Cię wypadek. Bałam się, że będziesz się upierał przy naszym narzeczeństwie, prześladował mnie albo coś. Teraz widzę, że byłam głupia. Twój list był bardzo miły, ale na pewno zrozumiesz, kiedy Cię poproszę, żebyś już więcej takich listów do mnie nie pisał, bo mam teraz nowego *fidanzato*. Na imię Mu Domenico i jest szalenie zazdrosny. Kiedy Mu powiedziałam, że miałam przyjaciela, który został na wojnie kaleką, powiedział mi, że Partia zatroszczy się o wszystkich swoich bohaterów, więc nie potrzebujesz się martwić. Mój narzeczony pracuje

w miejscowym oddziale Partii, więc świetnie sobie radzi, co znaczy, że i o mnie nie musisz się martwić, bo dobrze mi się powodzi. Mam nowe buciki i ubranie, a kiedy się pobierzemy, Duce da nam wszystko, czego będziemy potrzebować do założenia domu.

Mój ojciec robi nam trudności, ale przecież Go znasz. Odkąd Agata odeszła z cyrku, czułam się bardzo osamotniona. Jedna z bliźniaczek Cotechini uciekła, więc numer diabli wzięli.

Cieszę się, że jesteś już z powrotem w domu. Ten szpital był taki okropny! Nie mogę się już doczekać, kiedy odejdę z cyrku. Z każdym dniem trudniej w nim wytrzymać. Wojna wkroczyła i tutaj i wszyscy się ze wszystkimi żrą. Nie mam tu już żadnych przyjaciół.

Najserdeczniej pozdrawiam Elenitę, Twoich rodziców i Ciebie.

Twoja Valentina

W trzecim liście Stefano przeczytał:

Lipiec 1943

Droga Eleno!

Byłam dotąd zbyt wściekła, żeby do Ciebie napisać, co Ci mam do powiedzenia. Nie pisz do mnie więcej! Nie otworzę więcej żadnego listu od Ciebie ani Twojego brata, więc przestań wtykać nos w nie swoje sprawy! Jeśli masz ochotę poślubić potwora, idź i poszukaj sobie jakiegoś, pełno się ich dookoła kręci, odkąd Amerykanie zaczęli bombardować nasze miasta. Jeśli nie, a zależy Ci na Twoim bracie tak bardzo, jak twierdzisz, musisz go sobie sama pielegnować.

Zresztą i tak mnie nie znajdziecie, bo już nie jestem przy cyrku. Uciekłam po wyjeździe z Modeny. Prawdę powiedziawszy, to cyrk wyjechał, a ja zostałam, ale to na jedno wychodzi. Jesteśmy już po ślubie z Domenikiem, a ja spodziewam się dziecka.

Twoja Valentina.

Czwarty list informował:

Grudzień 1943

Najdroższy Alessandro!

Jutro Nowy Rok, więc pomyślałam sobie o Tobie. Wspominam czas, kiedy byliśmy razem, a także okresy rozłąki. Przepraszam, jeśli Cię

skrzywdziłam. Kiedy byliśmy ze sobą, kochałam Cię, może nie tak jak Ty mnie, ale też mocno. Chcę, żebyś wiedział, że Cię kochałam, kiedy ze sobą chodziliśmy. Nie potrafiłam znieść rozłąki, ale przede wszystkim nie umiałam się pogodzić z Twoim kalectwem. Przykro mi. Mam nadzieję, że nie czujesz do mnie nienawiści. Ułożyłam sobie nowe życie i dobrze mi się powodzi. Trzy tygodnie temu urodził mi się synek, Alessandro Benito. Jestem niewymownie szczęśliwa.

Przyjmij, proszę, moje najlepsze życzenia noworoczne.

Valentina

Stefano włożył zetłale listy do zetłalych kopert i zamknął je z powrotem w pudle akordeonu. Obszedł wysokie łóżko i usiadł na jego wolnym skraju. Dotknął zakutej już w stężenie pośmiertne sztywnej ręki Mezzanottego. Doleciał go dźwięk dzwonu kościelnego. Musiała być ósma, ksiądz zwoływał wiernych na nabożeństwo poranne. Niewielu się na nie wybierze, zaspasy były praktycznie nie do przebycia. Stefano postanowił, że pójdzie na mszę i powie komuś nie tak wrogo nastawionemu jak doktor Mearelli o śmierci Mezzanottego.

W jego wewnętrznym rozdwojeniu nastąpiła przemiana, zmagające się ze sobą części zawarły rozejm: całą swoją istotą pragnąłby zapłakać, tymczasem oczy odmawiały napełnienia się łzami. Odryglował i otworzył drzwi — i stanął przed ścianą śniegu tak prawie wysoką jak on. Śnieżycza zasypała w nocy dom i pieczętowała ich w białym kokonie. Stefano zamierzał powiadomić księdza, żeby zaczął przygotowania do pogrzebu, a tymczasem północno-wschodni wiatr już dokonał pochówku. Oto Stefano był zamknięty w komorze grobowej jak egipski sługa pogrzebany wraz ze zmarłym panem. Rozejrzał się po pokoju i niewielu znajdujących się w nim sprzętach; będą musiały wystarczyć Mezzanottemu w podróży na tamten świat.

Dzwony przestały bić. Rozdzwonią się znowu pod koniec dnia, aby obwieścić zgon Alessandra Mezzanottego.

Na drodze w dole dał się słyszeć warkot, podobny do hurkotu zbliżającej się kolumny czołgów. To pług śnieżny przystąpił do dzieła. Niedługo zostaną odkopani z tego grobowca, odgrzebani rękoma ciekawskich.

Przez cały dzień i noc Stefano siedział przy sztywnym ciele nieboszczyka, a mimo to nie przestawał wierzyć, że Mezzanotte się jeszcze obudzi. Przywykł do widoku głęboko śpiącego człowieka, wszak przez tyle lat obserwował pogrążoną w transie matkę, na pozór martwą dla świata, głuchą na jego pytania i niewrażliwą na pieczyoty. Kiedy miał cztery, a potem pięć lat, siadywał przy niej, łamiąc rozkaz ojca, by zostawiono własnemu losowi jego skamieniałą żonę, a czasem kładł się obok na łóżku i szeptał daremne słowa miłości i pociechy. W obecności matki czuł się bezpieczny. Nie bał się jej, dopóki nie zaczęli się do nich wtrącać obcy ludzie. Wscibskie przyjaciółki Fabrizii radziły mu: „Zostaw swoją biedną matkę w spokoju, synku, nie powinieneś się do niej zbliżać, twoja mama jest bardzo chora.” Nie rozumiał ich. Jak to chora? Nie była chora, po prostu spała — odkąd pamiętał, spała. W jednej minucie potrafiła obudzić się i zanieść śmiechem, a potem równie łatwo płaczem. Bała się, że we śnie wywiozą ją gdzieś i zamkną. Stefano bał się również, że w nocy ją straci i gdy się obudzi, już jej nie zobaczy.

Kiedy pewnego razu wrócił do domu z przedszkola, a ją wynoszono akurat na noszach, ugryzł w rękę jednego z sanitariuszy. Od tej pory matkę wywożono zawsze pod osłoną nocy, a on przez lata zmagał się z ciemnością, która nawet w snach dręczyła go koszmarami. Potem zaakceptował wersję oficjalną: że matka już pod koniec nic nie czuła i że lepiej jej będzie w tej klinice w Lombardii, gdzie też i umarła. Wożono go do niej dwa razy w roku. Dwa razy w roku siadał koło matki i wsłuchiwał się w jej spokojny oddech. Czasem przyglądał się kroplom kapiącym w przezroczystej rurce kroplówki. Patrzył na nieruchomą anielską twarz matki, wypatrując na niej jakichś oznak, że go poznaje, nie znajdując zaś żadnych, zawieszał wzrok na wielkim tykającym nad drzwiami zegarze i czekał, kiedy minuty zsumują się w godzinę, kiedy przyjdzie któraś z sióstr i wybawi go. Za każdym razem bał się, że nie zdoła przetrwać tej godziny. Kiedy jego katusze się kończyły, Fabrizia eskortowała go drżącego przez ciche korytarze kliniki i wyprowadzała na posępne słońce Północy, o chorobliwie białych promieniach.

Podczas czuwania przy Mezzanottem nie zaznawał podobnych lęków. Jakiś dziwny paradoks sprawiał, iż kiedy spała jego matka, Stefano bał się, że już umarła, tymczasem teraz, gdy umarł Mezzanotte, miał nadzieję, że stary tylko śpi. Kiedy pług śnieżny w końcu ich odkopał, wielu mieszkańców wsi przyszło pożegnać się ze zmarłym. Ubożuchny pokój jeszcze nigdy nie wyglądał tak dostatnio. Ciało Mezzanottego umyto i złożono w trumnie z drewna kasztanowca, ustawionej na stole wspartym na krzyżakach i nakrytym czarną krepą. Wokół trumny niczym warta honorowa stały cztery gromnice w mosiężnych lichtarzach, a pokój tonął w kwiatach. Lilie pachniały tak mocno, że mogłyby obudzić zmarłego, ludzie przynieśli też białe goździki i chryzantemy, ale najwięcej lilii, których duszny zapach przenikał całe pomieszczenie.



Stefano czuł się oszołomiony. Mdląca woń kwiatów dławiała go. Ludzie wchodzili i wychodzili, klepali go po plecach, coś do niego zagadywali. Niektórzy płakali nad ciałem Mezzanottego. Więcej mówiono o nim teraz, kiedy leżał martwy, niż rozmawiano z nim za życia. Osuszając filiżanki kawy, szczerze zakrapianej likierem, i wychylając szklanki wina krajanie opłakiwali kolejne etapy jego życia niczym stacje Krzyża. Lamentowali nad znojami jego dzieciństwa oraz nad błędem, jaki popełnił, że odsunął się od wspólnoty. Opłakiwali wojnę, która go zabrała, a potem zwróciła w kawałkach. Wylewali łzy nad jego przypadłymi oczami, nad utraconą miłością i rodziną. Boleli nad tym, że nie umiał, jak oni, zakopać swoich ran i zbudować na nich nowego życia. Płakali nad tym, że nie potrafili wspierać go skuteczniej w jego sieroctwie i osamotnieniu.

Wiedząc, że Mezzanottego i Stefana połączył w ostatnich miesiącach ich konspiracyjnego niemal związku jakiś tajemniczy węzeł, chcieli potwierdzić swoje przywiązanie do nieboszczyka i wyznać przy okazji własne wady.

— *Dio buono* — westchnął Estelio — tyle lat milczenia!

— Ej, *si, si* - przytaknął Gelsomino.

Estelio i doktor Mearelli stali obok siebie wpatrując się w spoczywającą w trumnie na aksamitnej poduszce porysowaną bliznami woskową twarz.

— Zналиśmy go wszyscy jako prawego i solidnego człowieka. Podśmiewaliśmy się, prawda, z jego jadłospisu, ale przecież wiedzieliśmy, że Alessandro żyje marzeniami i godnością. Jak myślisz, Stefano, czy on wiedział, jak bardzo nam zależało na zbliżeniu się z nim? Widzisz, był jedynym z nas...

Estelio urwał, bo chwycił go za gardło płacz. Mearelli podniósł rękę i ścisnął go za ramię. Następnie cofnął się, niezdolny wykrztusić słowa.

Mezzanottego pochowano nazajutrz rano przy biciu dzwonów kościoła Santa Maria. Choć w nocy śnieg już nie padał, w całej dolinie nadal leżały kopne zasy. Okoliczne lasy uginały się pod jego ciężarem. Główną drogę przetarł przysłany z gminy pług śnieżny, uliczki wsi oczyścił traktor. Droga na cmentarz, po ubitym śniegu i lodzie, była jednak śliska. Ksiądz polecił, aby przed konduktem żałobnym sypano sól, mimo to przetransportowanie trumny z nieboszczykiem z jego pokoju na *camposanto* okazało się uciążliwą i powolną wspinaczką.

W odróżnieniu od innych pogrzebów, na które zjeżdżali się krewni i przyjaciele zmarłego z różnych stron, ten pochówek był uroczystością prywatną jednej wsi. Trumnę nieśli Stefano i trzech synów Assunty. Przez całą drogę ślizgali się po lodzie. Pierwszy raz zatrzymali się u wylotu ścieżki, która schodziła do piwnicy, gdzie Mezzanotte mieszkał, drugi raz koło schodów prowadzących do mieszkania Assunty. Pierwszy raz pośliznęli się na zakręcie drogi zatarasowanym przez chlebowy piec Rosiny, drugi raz na wybojach powyżej szkoły, w której Mezzanotte uczył się recytować mowy Dyktatora. Żeby odpocząć, zatrzymali się na rozstajach, skąd zbiegała droga do nowego osiedla. Jeden z synów Assunty skręcił nogę w kostce na rogu winnicy, i musiał go zastąpić jego ojciec, który był o głowę niższy, toteż trumna niebezpiecznie się przechyliła.

Po raz drugi zatrzymali się przy rowie, w którym Gelsomino uprawiał wiosną sadzonki. W miejscu gdzie droga skręcała na nowe boisko, poprawili ciężar. Pośliznęli się i potknęli znowu koło cyprysów przed cmentarzem. W bramie zczekali, aż się połączy rozciągnięty za nimi kondukt; kilku żałobników przewróciło się na śniegu. Stefano spowodował przystąpienie tragarzy trumny przed pomnikiem ofiar wojny, po czym ponieśli ją na miejsce przeznaczenia obok katakumb z pięcioma trumnami jedna nad drugą pod bocznym murem cmentarza. Alessandra miano

tam zacementować obok Seconda, Agostiny, Elia, Eleny i Esmeraldy Mezzanotte, o czym świadczyły ich imiona i fotografie. Nie opodal, w podobnym grobowcu, spoczywali jego dziadkowie i bratowa uwieczniona na ślubnej fotografii, z prawym ramieniem jakby amputowanym w miejscu, gdzie zdjęcie przecięto, aby usunąć z niego jej męża, Marca. W rogu cmentarza, w pobliżu krypty del Campo i bramy uwypuklały się wzgórci gróbków z litanią imion nie ochrzczonych dzieci, wśród nich Lucii, Quinta i Giacomina Mezzanotte. Ponad śnieżne poduchy sterczały tylko małe krzyże.

Pomimo tak obfitych śnieżyc następnego dnia wypłynęło na niebo wodniste słońce i anemicznymi promieniami usiłowało rozluźnić okowy mrozu. Ziemia jakby przeciągała się pod śniegiem, krusząc grubą skorupę, która ją okuła, a gałęzie drzew płakały cichymi łzami.

Stefano brnął w stronę cmentarza po brei, w jaką poprzedniego dnia zmienił ścieżkę kondukt pogrzebowy, a następnie lekka odwilż. Niósł bukiet lilii na grób Mezzanottego. Śnieżna biel kwiatów kontrastowała z błotnistą mazią pod jego nogami. Dzwon Santa Maria in Alto bił ociężale, a wtórowało mu niosące się po dolinie głuche i spóźnione echo, podchwytywane przez mniejszy dzwon San Crescentino. Do tego tercetu dołączyło stłumione bicie sygnaturki Muccignano wydzwaniającej godzinę. Było południe — *mezzogiorno* — lecz to Mezzanotte zajmował myśli Stefana. Zbliżając się do zmarłego przyjaciela, chłopak miał wrażenie, że spotka się za chwilę z żywym. Rosina, Gelsomino, Concetta, Rosanna, Mario i Luisella zwrócili uwagę, że jego nastrój nie przypomina ani trochę nastroju żałobnika. Wydawało się, że ze Stefana emanuje spokojna pewność siebie.

W noc po pogrzebie Stefano był jak oczadziały. Został w pokoju Mezzanottego pozornie po to, aby przejrzeć ubogi

dobytek nieboszczyka, a w istocie z chęci odwleczenia nieuchronnej godziny powrotu do Castello. Jego zwykły strach przed zasypianiem nasilił się do tego stopnia, że chłopak nie dopuszczał do siebie znużenia dopóty, dopóki nie zaczęły go piec oczy i w końcu go nie zdradziły. Z ulgą stwierdził, że ciemność choć tym razem przyniosła mu ukojenie.

Rosina, odprowadzając go wzrokiem ze swojego punktu obserwacyjnego przy wciąż gorącym piecu na zakręcie pnącej się stromo drogi, widziała, jak młodzieniec dochodzi do bramy cmentarza, po czym znika jej z oczu za rzędem cyprysów. Stefano pchnął zardzewiałe, najeżone żelaznymi szpikulcami wrota i aż przystanął, zdumiony łatwością, z jaką się obróciły na naoliwionych zawiasach, nienaturalnie i zaskakująco cicho, jakby odezwały się do niego szepcetem czyjeś okaleczone usta.

Obudził się tego rana przygotowany na dobrze mu znane uczucie całkowitej utraty kilku godzin z własnego życia, doskwierające wrażenie amputowanego czasu, jakby cierpiał na amnezję po ciężkim wypadku. Tymczasem przed oczyma przelatywały mu jakieś obrazy, jakby klatki filmu o namiętnej miłości. W jego pamięci trwały obrazy tak wyraźne i piękne jak czarodziejskie wizje. Musiało minąć trochę czasu, nim uświadomił sobie, że przypominają mu się jego własne sny. Pierwszy raz w życiu zaludniła się i ożyła otchłań nocnej pustki. Zdawał sobie sprawę, że należy do introwertyków muskających jedynie powierzchnię realnego życia niczym ćma firankę. Tego ranka, wciąż mając w głowie swoje pierwsze sny, przypomniał sobie, jak — będąc chłopcem — stał kiedyś na skalnych wzniesieniach niedaleko Castello i patrzył z góry na staw. Woda w nim była tak nieruchoma i przejrzysta, że trudno było zgadnąć, czy w ogóle istnieje. Zaintrygowany, podniósł kamień i rzucił go w dół; chciał zmusić gładkie lustro stawu, by się objawiło, zdradziło zmarszczkami i falami. Mezzanotte odegrał wo-

bec niego role tamtego kamienia: wrzucony w pustkę jego duszy, obudził w nim życie.

Ostrożnie stawiając kroki na śliskich jeszcze ścieżkach mijał spiętrzone szuflady mieszczące zwłoki osób dawno zmarłych, których fotografie w kolorze sepii przypominały pociemniały śnieg. Kiedy doszedł do świeżo zacementowanego grobu Mezzanottego, wnęki na trzecim piętrze z wazonem kwiatów i stertą pobladłych z zimna wieńców, mała pusta ramka, z której powinna wyglądać czarno-biała podobizna jego przyjaciela, sprawiała wrażenie osleplej — jedyna pusta ramka na *camposanto*. Stefano pomyślał, że Mezzanotte życzyłby sobie, aby w tej ramce umieścić kawałek gazety, czarno-biały strzęp z rodzaju tych, z jakich składał się collage jego życia.

Położył kwiaty na zwiędłych już wiązkach z poprzedniego dnia i przyglądał się anonimowemu pod każdym innym względem miejscu spoczynku Alessandra Mezzanottego. Kiedy tak stał, przytupując dla rozgrzewki w posolonym śniegu, zerwał się nagle wiatr; zaczął chłostać gałęziami o mur *camposanto* i przewracać wazon. Nasilał się i mroźnymi powijakami okręcał głowę Stefana. Trudno było wytrzymać jego przenikliwy napór, lecz z jakiegoś powodu jeszcze trudniej było stamtąd odejść. Chłopak coraz wyraźniej przypominał sobie szczegóły swojego snu.

Plażą idzie młodzieńczym krokiem jakiś barczysty młody człowiek w mundurze. Przystaje i odwraca głowę. Ma ciemne kręcone włosy, na nosie słoneczne okulary. Mewy zrywają się z piasku jak ulatujący kłęb dymu. Stefano natychmiast rozpoznał w młodzieńcu Mezzanottego.

Morze kipiało wzburzone, świszczący wiatr porwał pozdrowienie Stefana i poniósł na nagie wydmy, a mimo to Mezzanotte uśmiechnął się i pomachał mu prawą ręką — nie z plastyku, ale z krwi i kości. Alessandro szedł po jęziorach fal, które z hukiem rozbijały się w głowie Stefana. Zdawało się, że Mezzanotte drobi kroki w jakimś zawitym

tańcu, rozchlapując stopami wodę, a ta dzieli się liniami haftów, pięknymi białymi ściegami, u których krawędzi trzepoczą skrawki papieru niczym strzępki podartych listów. W górze znowu pojawiły się mewy, formowały w locie jakiś dziwny szyk. Wolno jak człowiek pijany Stefano odwrócił głowę i ujrzał spiętrzoną się ogromną falę.

Krzyknął do Mezzanottego, żeby go ostrzec, zaskwirzał jak mewa. Alessandro obrócił się w jego stronę. Ogromna ściana wody przysuwała się coraz bliżej, a on jej nie widział. Stefano wymachiwał rękami i krzychał. Mezzanotte pomachał mu w odpowiedzi – mechanicznie i wolno poruszał ręką, jakby wycieraczka samochodowa ścierała niebo nad brzegiem morza. Stefano rzucił się ku niemu biegiem; po drodze potykał się w piasku. Krzychał jak opętany, lecz wiatr darł jego krzyk na strzępy, wiał, wzmagął się, a fala rosła, i oba te żywioły jednocześnie wywlekały ze Stefana nerwy, przyprawiając go o strach i ból, gdy tak pruć mu ciało niczym po partacku zrobioną na drutach skarpetkę i zaścierały nitkami plażę.

Mewy rozkrzyczały się jednym głosem i dopiero wtedy Mezzanotte obejrzał się i zobaczył falę, która załamywała się już nad jego głową. Podniósł ręce, aby zakryć twarz, i grzywa topieli spadła na niego z grzmotem. Zbiła go z nóg i poniosła koziołkującego w spienionym warze. Wzburzona sycząca kipiela zakryła go zupełnie, a potem znieruchomiła na chwilę i zaczęła się cofać, porzuciwszy daleko na plaży rozciągnięte pod koronkowym prześcieradłem ciało. Stefano biegł po piasku ile sił w nogach, a dobiegłszy, przykleknął przy zmasakrowanym przyjacielu. Z wysiłkiem odwrócił głowę na plecy. Twarz Mezzanottego była podrapana i posiniaczona, okulary mu spadły, oczy miał zamknięte. Raptem rozległ się wystrzał, jakby z pistoletu startowego, i na piasek upadł skowronek. Mezzanotte odsunął się od Stefana, skrzywił, zakasłał, splunął i wstał. Uśmiechnął się do klęczącego przyjaciela, a następnie ruszył

biegiem. Biegając zachęcał go gestami, by za nim podążał. Gdzie przedtem rozsnuwała się na wydmach wełna ze sprutej skarpety, teraz ciągnął się płót z drutu kolczastego, za którym wirowała karuzela metalowych mew.

Mezzanotte odwrócił się i krzyknął do Stefana: „No, rusz się, prędeej!”

Ponownie zerwał się wiatr i chłostał Stefana w twarz, kiedy mknął za Alessandrem w stronę cyrku.

Wiatr na cmentarzu wzmógł się, w zaułkach wysokich nagrobków wyostrzył się w grot i wypchnął w końcu Stefana pomiędzy ściśniętych grobowców z ich urnami, wazonami, terakotowym aniołem z ułamanym skrzydłem, skradzionym przed laty z ruin *palazzo*, i pomiędzy marmurowych tablic z wyrytymi na nich pokoleniami imion. Na pogrzebie Mezzanottego ksiądz powiedział w kazaniu: „Okręt śmierci nie pozostawia śladu na wodzie i nie ciągną za nim mewy.” A jednak Stefano wciąż miał w uszach skwir mew ciągnących za okrętem, i postępował jego śladem pewien, że Mezzanotte przeprowadzi go przez wszystkie światła i przez każdą ciemność, jakie miał spotkać po drodze. Jak długo tak będzie, nie wiedział, lecz czuł, że przynajmniej dopóty, dopóki nie będzie gotów do samodzielnej podróży.

KONIEC